



Polon.

Kraushar

122^o (2)

<36614636780018

<36614636780018

Bayer. Staatsbibliothek

DROBIAZGI HISTORYCZNE.

DROBIAZGI HISTORYCZNE

Alexandra Kraushara

autora: Olbrachta Łaskiego, Czarów na dworze Batorego,
Sprawy Zygmunta Unruğa.

II

MAREK REVERDIL.
OBRAZEK WARSZAWY. — WSPOMNIENIA TRYBUNALSKIE.
PRZYGODY FRANCUZA PAYEN'A.
NOTATKI ANGLIKA MORISONA. — MASKA ŻELAZNA.
RAMSES BALTAZZANI.

PETERSBURG.

KSIĘGARNIA POLSKA BR. RYMOWICZ.

1892.

= Div. p. 626



MAREK REVERDIL

LEKTOR I BIBLIOTEKARZ

KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA

(1765 – 1787).



W bibliotece ordynackiej hr. Krasieńskich w Warszawie, znajduje się portret olejny pędzla Bacciarellego, przedstawiający króla Stanisława Augusta, w ubraniu rannem, noszącym cudzoziemskie, prozaiczne, *schlafrocka* miano...

Zniewieściałe, wyświeżone, nie pozbawione wszakże powabu wyższej inteligencji oblicze króla spogląda z ram owego portretu na widza, jakby chciało przeniknąć ciekawie do jego duszy, wywołać w niej uczucie sympatii dla upadłej wielkości i zatrzeć bolesne wspomnienia o człowieku, który, igrzyskiem losu wyniesiony na najwyższy szczybel posłannictwa dziejowego, nie chciał, nie mógł, a raczej nie umiał, utrzymać się na wyżynie, z godnością majestatowi królewskiemu odpowiednią.

Nie można podejrzewać Bacciarellego, aby portretowi, o jakim mowa, pragnął być nadać znaczenie symboliczne.

Nie stanowi również dzieło słynnego malarza ilustracji tego działu literatury, która, przedstawiając ludzi historycznych *en robe de chambre*, obniża nieco ich majestat i sprowadza do poziomu codzienności

tych, na których zwykli śmiertelnicy z otchłani swojej nicości spoglądają.

Kaprys królewski podyktował Bacciarellemu szkic do portretu, przeznaczonego prawdopodobnie dla jednej z licznych kochanek Stanisława Augusta, której ów strój negliżowy najbardziej do gustu przypadął...

Jakkolwiek historia obyczajów dworu polskiego z końca XVIII wieku zaznaczyła już wiele rysów, posługujących do uwydatnienia charakterystyki Stanisława Augusta, w otoczeniu dworaków i ulubieniec królewskich; jednakże, rysy te, kopiowane przez niezbyt skrupulatnych w wyborze materiału dziejopisów i powtarzające znane już ogólnie fakta, pozostawiają wiele braków, domagających się szczegółowszego wykończenia.

Traf szczęśliwy podsunął mi pod rękę innego rodzaju portret króla Stanisława, nie tyle moralny, w wyższym tego przymiotnika znaczeniu, ile literacki, w formie materiału arcy-ciekawego i charakterystycznego, i na jego to podstawie mogę wycieniować blade i niewyraźne oblicze Stanisława Augusta kilkoma krótkimi, uwypuklającymi nam tę postać na tle zakulisowego życia dworskiego, w otoczeniu najbliższem, nie tylko wśród zajęć poziomych i erotycznych, lecz także na tle upodobań króla do rozrywek umysłowych i estetycznych, jakimi swe długie zaznaczył panowanie.

Materiałem owym jest niewielki rękopis, w ósemce, przechowywany w jednej z bogatszych bibliotek prywatnych w Warszawie, (Z). pisany językiem francuskim,

niedo zanedbanym, bez tytułowej karty i nazwiska jego autora.

Staranne omijanie owego nazwiska wśród tekstu pamiętnika, obejmującego okres czasu od wstąpienia na tron ostatniego króla, aż do podróży jego do Kaniowa (1787), dowodzi, że pamiętnikarz pragnął utrzymać swe nazwisko w ścisłej tajemnicy, że się obawiał niedyskretnych oczu dworaków i następstw, jakieby ogłoszenie owych tajnych wynurzeń mogło być za sobą dla autora pociągnąć.

W jednym tylko miejscu zdradza się mimowoli autor z nazwiskiem swoim, gdy wśród skarg na niewdzięczność króla i jego skąpstwo, przytacza: że mu tylko pozwolono o polepszenie doli, zgodnie z symbolicznym początkiem nazwiska — marzyć (*rêver*).

Pomimo jednak takiego wymuszonego *incognito* i natury zwierzeń, pisanych widocznie przez pamiętnikarza dla ulżenia samemu sobie niechęci do króla i jego otoczenia; z pożółkłych kartek pamiętnika wyziera przejrzyste oblicze karyerowicza-cudzoziemca, który, przyjechawszy, jako doktor obojga praw uniwersytetu zagranicznego, na dwór królewski do Polski, ze sporym zapasem wiadomości lingwistycznych, a z większą jeszcze dozą ambicyi, sądził, że się dlań otworzą świetne na przyszłość widoki; że, oprócz odznaczeń i splendoru dworskiego życia, znajdzie w tem Eldorado fortunę, do jakiej wzdychał, a tymczasem spotkało go rozczarowanie nad wyraz, lekceważenie ze strony protektora i dworaków i skąpstwo, znanego z rozrzutności króla, tak rażące, że nie waha

się w jednym miejscu swego pamiętnika piętnować nową swą ojczyznę mianem: *un pays de médiocrité*...

Stąd też cała treść pamiętnika nosi na sobie piętno wielkiego rozgoryczenia i posuwa się nieraz do zwierzeń tak niedyskretnych, że, gdyby nie fakta i dowody, przemawiające za prawdą owych wynurzeń, możnaby w istocie mniemać, że się tu ma do czynienia z paszkwilem, wymierzonym przez zawiedzionego w nadziejach swych dworaka, przeciwko dobrze obsłużonemu, a mimo to niewdzięcznemu panu.

Ta jedna, nie sympatyczna strona pamiętnika, nie wyklucza bynajmniej jego obyczajowej, a nawet i historycznej wartości.

Ciekawym był zawsze i pozostanie punkt widzenia cudzoziemca, względnie do osób i stosunków obcego kraju.

Niepoślednie budzić zawsze będą zajęcie, wynurzenia przybysza z obcych kątów, o osobach i wypadkach, wśród których chwilowo żył i rozwijał się; o ile te osoby i te wypadki zarysowują się w jego wyobrażeniu, w sposób odmienny od ustalonego co do nich typu.

Cudzoziemiec, Szwajcar, niepozbawiony zmysłu obserwacyjnego, zasobny w wiedzę rozległą i różnorodną, przybywający w końcu XVIII-go wieku na dwór polski i znajdujący się w otoczeniu niezmiernie typowego monarchy, wśród ludzi uczonych, dyplomatów, dam, artystów, rzeźbiarzy, malarzy i muzyków, którego zadaniem być miało towarzyszenie królowi w zaciszu gabinetowego życia, odczytywanie mu dzieł naukowych i beletrystycznych, utworzenie

i skatalogowanie jednego z najbogatszych, naówczas, po bibliotece Załuskich, księgozbiorów; osobistość taka, obniżająca następnie przymusowo, a może i dobrowolnie, zaszczytną swą rolę, do poziomu prostego najemnictwa w kolejnem i parokrotnem żenieniu się z pośledniejszego gatunku kochankami króla, toż to jest figura ciekawa, warta pobieżnego, chociażby poznania!

I.

Poszukiwania autorstwa rękopisu. — Sekretarz króla duńskiego. — Dzieło Lagreze'a. — Eliasza Salomona Reverdila. — Struensee. — Alexander Roger. — Rodzina Reverdila.

Szczegółów osobistych, do lepszego scharakteryzowania autora pamiętnika posługiwać mogących, rękopis nasz nie dostarcza.

Kartki jego pisane dorywczo, z niedomówieniami co do nazwisk, dat i wypadków, żadnego w tej mierze nie czynią ułatwienia.

Należało się kierować domysłami, szukać po innych źródłach współczesnych, aby osobę pamiętnikarza, w przepołowionem nazwisku zaledwie wskazaną, umieć odnaleźć, w znanych i wybitniejszych na dworze króla Stanisława postaciach.

Milczenie pamiętnikarza o wpływach, przyczynach i stosunkach, jakie go na zamek warszawski przywiodły; brak zupełny wiadomości o gnieździe, z którego był wyszedł i koligacjach, z jakimi był związany, należało wypełniać ową sztuką kombinacyjną, która, kierowana względną wprawą, a cza-

sami i instynktem, pozwala w dziedzinie historycznych poszukiwań robić odkrycia niespodziewane, stwierdzające trafnością i zgodnością szczegółów zamglone pierwotne domysły.

Droga np. jaką doszedłem do proveniencji autora pamiętnika, ujawni trudności, z jakimi niejednokrotnie borykać się przychodzi, gdy się ma do czynienia z wstrzemięźliwym i niedowierzającym pamiętnikarzem.

Po odcyfrowaniu przez sz. kustosza biblioteki, w której się nasz rękopis znajduje, nazwiska Reverdila, ukrytego, jak już nadmieniono, pod osłoną dowcipnego kalamburu; po skonstatowaniu ogólnikowo przytoczonego przez pamiętnikarza faktu, iż na sejmie warszawskim w r. 1768 otrzymał, jako Marek Reverdil, indygenat polski, *sine scartabellatu*, (Vol. leg., VII, 373, wyd. Ohr.), należało wykryć pochodzenie autora, by tym sposobem dotrzeć do tej sfery, wśród której na rodzinnej swej ziemi się obracał, zanim widoki karyery, do Polski, na dwór królewski go sprowadziły.

Parokrotne wzmianki, zamieszczone w pamiętniku, o świetnej karyerze brata autora, zdobytej na dworze u „*roi de Dann...*“ i o dziwnem igrzysku fortuny, która dwóm rodzonym braciom odmienne i sprzeczne ze sobą wydzielila dary, obsypawszy jednego dostatkami i zaszczytami, drugiego zaś „nędzą“ i upokorzeniem, nasunęły piszącemu te słowa, instynktowo, że tak powiem, nazwisko pewnego dygnitarza, przelotnie kiedyś w procesie słynnego ministra

Struensee'go gdzieś wyczytane, eufonicznie do nazwiska pamiętnikarza naszego zbliżone.

Poszukiwania dalsze, w tym kierunku poprowadzone, stwierdziły nadspodziewanie trafność owego nieokreślonego zrazu domysłu.

Wydana przez kilkoma laty ciekawa monografia historyczna C. B. de Lagreze'a pod tyt.: „*La reine Caroline Mathilde et le Comte Struensee*“ (Paris, 1887), w spisie źródeł w niej spożytkowanych, obejmuje między innemi tytuł dzieła: „*Memoires de Reverdil, Conseiller d'état du roi Chrétien VII*“ wydanego w Paryżu, w r. 1858.

Był to więc tym razem szczegół pozytywny, zgodny z ogólnikową wzmianką naszego Reverdila, iż owym dygnitarzem, którego los zazdrości godny, brat rodzony, w pamiętniku swoim, „nędzy“ własnej przeciwstawia, był Eliasza-Salomona-Franciszka trzech imion Reverdil, mentor i radca stanu na dworze fantastyka koronowanego Chrystyana VII-go duńskiego (1766—1808), autor głośnego swego czasu memoryału: *Lettres sur le Dannemarck* (Genewa, 1764) i współredaktor dziennika *Mercur danois*, wspólnie z Malletem w r. 1760 w Kopenhadze wydawanego.

Nitka owych poszukiwań, niebawem, choć nie bez trudności, doprowadziła mnie do kłębka dalszych informacji.

Przedewszystkiem wszakże należało dotrzeć do źródła, mianowicie, do owych pamiętników radcy duńskiego Reverdila, w tem przypuszczeniu, że prawdopodobnie w przedmowie, lub w samym ich tekście, znajdą się bliższe osobiste szczegóły do rodziny

autora, a zatem i do naszego nobilitowanego doktora obojga praw, się odnoszące.

Nadspodziewanie, w bogatszych nawet księgozbiorach *Memoir'ów* Reverdila nie odnalazłem. Książka ta, wyczerpana u nakładcy swego w Paryżu, odszukaną została drogą antykwarską aż w Kopenhadze, a choć treść jej nie odpowiadała oczekiwaniom, jednakże w głównym przedmiocie, który do pogoni za nią dał powód, najzupełniej stwierdziła moje pierwotne, luźne domysły, co do osoby naszego Reverdila.

P. Aleksander Roger, wydawca pamiętnika Reverdila duńskiego, w przedmowie do dzieła swego, noszącego tytuł: *Struensee et la Cour de Copenhague (1760—1772). Memoires de Reverdil, Conseiller d'état du roi Chrétien VII*, podaje krótkie, lecz wyczerpujące wiadomości o rodzinie Reverdilów.

Ojciec obu nas obchodzących dygnitarzy królewskich: duńskiego i polskiego, Urban Reverdil, był około r. 1732 sekretarzem sądowym w Nyon, małym miasteczku szwajcarskiem, w dystrykcie Vaud, podówczas podległym kantonowi Berneńskiemu. Matka Reverdilów odznaczać się miała niepospolitem wykształceniem umysłowem, a owdowiawszy wcześniej, poświęciła się w zupełności wychowaniu czworga dzieci swoich: Salomona, późniejszego radcy duńskiego, Marka Ludwika „*qui fut longtemps bibliothecaire de Sa Majesté, Stanislas, roi de Pologne*“, pani Favre, żony autora wstępu do „Prawa natury“ Burlamaqui'ego, i pani Roger, matki wydawcy pamiętników.

Filozof fernejski, Voltaire, w zażyłych z rodziną Reverdilów pozostawał stosunkach i losem obu młodzińców bardzo się zajmował. Rokując świetną przyszłość starszemu Reverdilowi, zwykł był o nim mawiać: „*on peut avoir autant d'esprit que Reverdil, mais pas davantage.*“

Dalsze szczegóły o rodzinie Reverdilów na teraz są nam obojętne. Wrócimy do nich na chwilę, we właściwym miejscu, gdy będzie mowa o Salomonie Reverdilu, z powodu odnośnych o nich wzmianek, w tekście pamiętnika naszego uczynionych.

Tyle jeszcze nadmienić w tem miejscu należy, że trafność domysłów, jaka się wykazała w wykryciu pochodzenia zamaskowanego Marka Reverdila, nie zawiodła mnie i w dalszych poszukiwaniach, gdy wypadło odnaleźć te wpływy i stosunki, jakie bohatera niniejszego szkicu, umieściły w najbliższem otoczeniu króla Stanisława, w charakterze lektora, a następnie i bibliotekarza.

II.

List p. St. Saphorino. — Pożegnanie z Voltairem. — Stanisław August. — Poszukiwanie lektora. — Korespondencya z panią Geoffrin. — Jakób Scheidenmantel. — Odpowiedź ze Szwajcaryi. — Rady pani Geoffrin.

W początkowych notatkach swego dziennika wzmiankuje Marek Reverdil o liście, jaki w r. 1766 otrzymał w Genewie od pana St. Saph... z Warszawy.

Było to prawdopodobnie wezwanie do objęcia posady sekretarza i lektora przy boku króla polskiego, przed dwoma przed tem niespełna laty na tron Rzpltej wyniesionego.

O powołaniu swoim na urząd sekretarza królewskiego do Polski i o wyjeździe do tego kraju przez Włochy, pośpieszył Reverdil uprzedzić przyjaciela rodziny, Voltaire'a, który przy tej sposobności w patetyczny sposób oświadczył:

— *Vous allez dans le pays, où les prêtres foulent aux pieds les autels des Scipions et dans un autre, où il y a bien de l'esprit caché.*"

Nazwisko St. Saph..., protektora Reverdila, odnosiło się widocznie do posła duńskiego, St. Sapho-

rino, w Warszawie podówczas akredytowanego i naprowadza na domysł, że skutkiem starań radcy duńskiego, Salomona Reverdila, król Stanisław August po długiem szukaniu odpowiedniego dla siebie lektora, zdecydował się posadę tę, powierzyć, zalecanemu przez rezydenta duńskiego Reverdilowi¹⁾.

Zaraz po objęciu tronu rozpoczął był Stanisław August gorliwe poszukiwania osobistości, któraby najodpowiedniejsze dla tego urzędu posiadała warunki.

Wydana w r. 1875 przez p. Karola de Mouy korespondencya króla Stanisława z panią Geoffrin (1764—1777)²⁾ dowodzi, że zaufana przyjaciółka królewska już przedtem w tym kierunku czynić poczęła starania.

W pierwszej odpowiedzi króla z dnia 20 października 1764 r. na dwa listy pani Geoffrin, czytamy:

„Wolałbym raczej usłyszeć od Ciebie, jakieby warunki stawiał lektor, którego masz dla mnie na widoku, aniżeli od siebie je stawiać. Donoszę Ci jednocześnie, że mam odpowiedź ze Szwajcaryi, która mi czyni nadzieję zadośćuczynienia w tej mierze. Wszelako, jeżeli Twój protegowany jest doskonałą

¹⁾ Ów St. Saphorino zakupił w Warszawie w r. 1767 plac przy ulicy Królewskiej, na którym stanął później kościół ewangelicki. Początkowo była to szopa, zbudowana na prędcie, w której Jakób Scheidemantel, kaznodzieja poselstwa duńskiego, pierwszy zaczął nabożeństwa odprawiać. F. M. Sobieszczański; „*Rys. hist. Warsz.*“ 1848, str. 104.

²⁾ „*Corresp. inédite du roi Stan. Auguste Poniat. et Mm. Geoffrin*“. Paris. Plon. —

osobistością, jak twierdzisz, dałbym mu chętnie posadę. Osobistość taka dobrze utracona jest skarbem. Jeżeli Ciebie mieć nie mogę, przynajmniej będę miał kogoś z Twojej poręki“ ¹⁾).

Musiała prawdopodobnie co do daty przytoczonego listu zajść omyłka, gdyż niepojętą wydaje się rychła, we dni cztery zaledwie później, nadesłana nań odpowiedź, w której, czyniąc nacisk na jak najtrafniejszy wybór poszukiwanej osobistości, pani Geoffrin pisze:

„Nie wątpię, że Wasza Król. Mość znajdzie w Szwajcaryi sekretarzy, ilu ich tylko zapragniesz, lecz tylko w Paryżu znajdzie ludzi uczonych, mających znajomość świata w ogólności, ludzi zaś w szczególności i rzeczy. Nie przysłałabym nigdy Waszej Król. Mości człowieka przydatnego do biura, do pisania listów, do czytania i do rozmawiania po łacinie i po grecku, kiedy tego W. K. M. zażadasz. Jeżelibym się zdecydowała przysłać W. K. M. sekretarza, według swego wyboru, byłby to człowiek najzupełniej oddany Waszej Król. Mości, umieszczony w pałacu i nie mający z nikim styczności, a któryby skutkiem tego należał i bezpośrednio i pośrednio tylko do Waszej Król. Mości, któryby nadto nie mieszał się do żadnych spraw. Jedynem jego zadaniem, byłoby zabawiać Waszą Król. Mość i starać się Jej przypodobać. Trzeba mieć nieco czasu, aby go znaleźć, a każdy inny, któryby takim nie był, nie zasługiwałby na to, by być przysłanym Waszej

¹⁾ De Mouy, str. 13.

Król. Mości. Do nikogo zaś o wybór ten się nie zwrócę. Mogę to oświadczyć, a nawet zapewnić, że znam bardzo dobrze ludzi, a Wasza Król. Mość nie zawiedziesz się na tem“ ¹⁾).

Widocznie, pragnąc dogodzić w tej mierze usilnym nastawaniom pani Geoffrin, zdecydował się Stanisław August obniżyć następnie skalę swoich wymagań i rozdzielił funkcję sekretarza przybocznego od posady lektora.

Tem łatwiej przyszło mu to uczynić, iż sekretarzem jego przybocznym został Karol Schmidt, starosta Brodnicki, mąż kobiety niezwyklej urody, która też niebawem została kochanką króla, a pan starosta wysłanym został w r. 1766 do Paryża, może być, jak się domyśla Korzon ²⁾, „dla usunięcia od żony“, w każdym razie, w charakterze „*secrétaire privé et l'intendant de la maison du roi*“, gdzie też tak dalece przypadł pani Geoffrin do upodobania, że go uczyniła powiernikiem swej korespondencji z królem i, w listach swoich, z największemi się o nim zawsze odzywała pochwałami.

¹⁾ De Mouy: str. 117 i 118.

²⁾ „*Dzieje wewn.*“, III, 19, 26. —

III.

Podróż Reverdila do Polski. — Spotkanie z doktorami Boecklerem i Herrenschwandtem. — Przyjazd do Warszawy. — Bierhaus. — Burgrabia Fontana. — Piotr Fergusson Tepper. — Pierwsza audyencya Reverdila u króla. — Duhamel. — Ogrodzki.

Marek Reverdil wybrał się w drogę do Warszawy, w pierwszej połowie roku 1766-go.

Początkowe karty jego dziennika obejmują wspomnienia z podróży po Włoszech. Ta część pamiętnika mało nas obchodzi, lecz w epoce, gdy jeszcze drukowanych przewodników podróży, w rodzaju Boedeckera, nie było prywatne notatki turysty wykształconego wszechstronnie, znawcy i miłośnika dzieł sztuki, zapisującego skrzętnie wszystko, co było podówczas uwagi godnem w miastach i muzeach włoskich, nie są pozbawione wartości.

Drogą przez Genuę, Pizę, Florencję, Rzym, Bolonię, Padwę, i Wenecję, dostał się Reverdil do Wiednia, gdzie się spotkał z wybierającymi się również podówczas do Warszawy doktorami: Boeckle-

rem i Herrenschwandtem i 23-go listopada 1766-go roku przybył do stolicy¹⁾.

Nie spodziewano się widocznie na dworze tak rychłego przyjazdu Reverdila, gdyż nie urządzono dla niego odpowiedniego mieszkania. Nie mając tymczasowego nawet przytuliska, spędzał nasz turysta pierwsze chwile przyjazdu do Warszawy w „bierhauzie“ i w teatrze.

Dopiero dyrektor gabinetu królewskiego, Ogrodzki²⁾, po porozumieniu się z kasztelanem Karasiem³⁾,

¹⁾ Herrenschwandt i Boekler zajmowali następnie kolejno posady lekarzy przybocznych Stan. Augusta. *Corresp.* str. 351.

²⁾ Ogrodzki, starosta luboczański, obrany sekretarzem konfederacyi sejmu konwokacyjnego w r. 1764, został następnie pisarzem w. koronnym. Był posłem na sejm 1767 r. z ziemi warsz. Był to człowiek światły, wydawca uchwał „*Conf. gener. omnium ord. Regni*“ (Warsz. 1764, in folio). Stan. August w pamiętniku swoim tak go charakteryzuje: wychowany po wyjściu z uniwersytetu krakowskiego w domu mojego ojca, towarzyszył mi w podróży do Francyi; zostawiony przy braciach w Holandyi, pobierał nauki u Kauderbacha. Był zarządcą kancel. u kancel. Załuskiego. Nietylko znał prawie wszystkich Polaków i Litwinów z twarzy i imienia, ale miał dokładną wiadomość o ich interesach, przygodach i stosunkach. Pracowity, ścisły, tajemnicę zachować umiejący, skromny, cierpliwy, spokojny.“ Korzon, III, 17.

³⁾ Karaś Kazimierz, kasztelan wiski, urodz. 1711 r., spędził młodość na dworze ojca Stan. Augusta. Wzrósł na figurę znaczną za staraniem „familii.“ Został marszałkiem nadwornym króla i otrzymał administracyą poczt po Mokronowskim. W r. 1766 został członkiem kompanii manufaktur wełnianych. Umarł w r. 1775. Korzon kilkoma słowy wzmian-

zakrzętnęli się około cudzoziemca, a dowiedziawszy się, że doktor Boeckler zajął mieszkanie, odpowiednie dla Reverdila, przy pomocy burgrabiego Fontany¹⁾, wyeksmitowali ztamtąd pana doktora i wprowadzili naszego gościa do domu niejakiego Szubalskiego.

Pierwszą wizytę złożył Reverdil wszechwładnemu podówczas w Warszawie bankierowi, Piotrowi Fergussonowi Tepperowi, który, utrzymując dom swój na wspaniałej stopie, gromadził około swoich, zawsze suto zastawionych stołów, wielki świat warszawski.

Tam też zawiadomił Reverdila Ogrodzki, że następnego dnia odbędzie się na zamku festyn galowy z powodu uroczystości ś. Katarzyny, zawsze solennie przez króla obchodzonej.

Z upragnieniem wyczekiwał Reverdil tej pożądanej chwili pierwszego przedstawienia się królowi.

Stanisław August z wrodzoną sobie uprzejmością powitał cudzoziemca słowami:

— *Enfin je vous tiens!* co Reverdila takim przejęło ambitem, iż w tej chwili przypomniał sobie po-

kuje o Karasiu (III, 16), nadmieniając, że o charakterze jego „żadnych nie mógł powziąć informacji.“ Tymczasem istnieją o kasztelanie wiskim źródłowe monografie Bartoszewicza w „*Księdze Świata*“ z r. 1851, w art. „*Kaś. Karaś i jego dzieci*“ w „*Znakomitych mężach polskich XVIII wieku*“, t. III, str. 97 i w „*Enc. Org*“, XIV, 67. Materiał to obfity i cenny do charakterystyki Karasia.

¹⁾ F. M. Sobieszczański: w „*Rysie hist. Warsz.*“ (78, 83) wspomina o kapitanie Jakóbie Fontana, architekcie J. K. M.

dobne słowa, wyrzeczone przez ks. Ferrary do Michała Anioła i króla Karola IX-go do admirała Coligny'ego.

Wezwał go król niezwłocznie do swego gabinetu i długo z nim rozmawiał, przeważnie angielskim językiem.

„Nieźle to było, notuje Reverdil; był to bowiem rodzaj egzaminu, lecz mniej nieco nieśmiałości z mej strony, a więcej znajomości angielszczyzny, wcaleby nie szkodziło...”

Zadał król Reverdilowi wiele pytań uprzejmych (*le plus obligeantes*) i wydał polecenia, co do jego osoby bardzo zaszczytne, zapowiadawszy, że tego dnia jeszcze wezwie go siebie na rozmowę.

„Nudziłem się też serdecznie w przedkoju czas długi, gdyż w obec strasznej niepogody niepodobna mi było wędrować od zamku do mieszkania i z powrotem”.

Uwolniony po długiem wyczekiwaniu, udał się Reverdil do Duhamela¹⁾, a stamtąd pośpieszył do teatru, który od niedawna, za zezwoleniem dworu saskiego, przy pałacu saskim otwartym został dla publiczności²⁾.

¹⁾ Jeden z sześciu pensyonowanych przez króla szambelanów, do których należeli: Corticelli, Camelli, Strzębosz, Sobolewski, Kownacki, Duchene, Duhamel. Korzon, III, 20.

²⁾ F. M. Sobieszczański: „*Rys hist. Warsz.*“ str. 106.

IV.

Ghigiotti. — Sesya sejmowa. — Odczyt u króla. — Historya Niemiec Barra. — Widoki Neapolu. — Tristram Shandy. — Angielszczyzna. — Sztuczka Scherffera. — Anekdoty z Gil-Blasa. — Pierwsze nieporozumienie.

Następnych dni rozpoczął Marek Reverdil wizytacje u osób wpływowych dworu królewskiego. Między innymi był u kanonika warmińskiego, Kajetana Ghigiotti, który pełnił urząd sekretarza przybocznego Stanisława Augusta¹⁾, u starosty Schmidta i u posła duńskiego, St. Saphorino.

Opisuje Reverdil jedno z posiedzeń sejmu z r. 1666-go, odbytego pod laską marszałka Czaplica, w czasie którego stał za tronem króla i ciekawie rozprawom się przysłuchiwał, jakkolwiek języka rozpraw nie rozumiał.

Zaproszony przez Schmidta na obiad, wynurzył

³⁾ Ghigiotti, agens negotiorum Regni, cum officio consiliarii Regni. Nobilitowany na sejmie 1768 r. (Vol. leg. VII, 373). Był autorem memoriału przesłanego do Rzymu: „État de la question entre la Rep. de Pol. et les princes de la maison de Condé, par rapport aux sommes napolitaines“.

tam żał swój przed współbiesiadnikiem Ghigiottim, iż nie znalazł na dworze króla spodziewanego przepychu¹⁾, obfitości jadła, co, gdy doniesionem zostało Jackowi Ogrodzkiemu, ten zapewnił, że będzie w tej mierze zaradzone.

„*Je compte bien n'y pas retourner,*“ zapisuje w tem miejscu pamiętnikarz.

Jakoż pod dniem 2 grudnia 1766 r. znajdujemy notatkę, że na obiedzie u marszałka był już wielki wybór wina i jadła.

5-go grudnia otrzymał Reverdil pierwsze wezwanie od króla do rozpoczęcia czynności lektora.

„Był to istotnie ciekawy widok — pisze Reverdil — gdym odziany futrem, z czapką pod pachą i z laską w rękę, brnął po śniegu, straszliwie utykając z powodu chorej nogi, do zamku, dokąd zostałem wezwany o wpół do dziewiątej rano“.

Król bardzo był zadowolony z tego debiutu i rzekł łaskawie:

— *Vous lisez fort bien...*

Pierwszą tą książką, czytana królowi, była historia Niemiec, kanonika J. Barra, kanclerza uniwersytetu paryskiego²⁾.

¹⁾ Sievers w „*Pamiętnikach*“ (wyd. Żupańs., 35, 36, 59. 169) opisuje skromne urządzenie mieszkania króla na zamku warsz. „Wyobraź sobie — pisał do córki — jak lichy jest mieszkanie króla. Jada w przedpokoju; na lewo gabinet, na prawo pokój sypialny i bawialny razem; wszystkiego, zdaje się, trzy pokoje, oprócz sal paradnych na audyencye“.

²⁾ „*Hist. d' Allemagne,*“ 1748, w 11 tomach. Autor zmarł w r. 1764.

Zapowiedział król, iż z przyjemnością słuchać będzie odczytów wierszy niemieckich.

Po ukończonej lekturze Reverdil przedstawił królowi czternaście widoków Neapolu d'Hancarvill'a¹⁾, plany Pompejańskie, topografię Wezuwiusza, sześć planów Florencyi. Wszystkie te okazy darował jednocześnie królowi usłużny lektor, a król podziękowawszy za dar, oświadczył, że poleci wszystkie te rysunki zaliczyć do swoich zbiorów.

Wartość owych rysunków wynosiła, według skrupulatnego obliczenia Reverdila, około 60 dukatów w złocie.

Następnego dnia zaniósł Reverdil królowi jakąś książeczkę zatytułowaną: *De quibusdam legibus inter se collatio* (?), z dedykacją napisaną przez S. W. Scheidemantla.

24-go grudnia paż królewski przybył do Reverdila z zawiadomieniem, iż król życzy sobie posłuchać czytania romansu *Trißystram Shandy* w języku angielskim²⁾.

Widocznie, popis ten nie udał się pomyślnie Reverdilowi, który niezbyt biegle językiem angielskim władał.

¹⁾ Hugo d'Hancarville, słynny archeolog (1729—1800), autor dzieł: „*Antiquités etrusques, grecques et romaines*,” tomów 4 i „*Recherches sur l'histoire, l'origine des arts en Grèce*,” 3 vol.

²⁾ Wawrzyniec Sterne, słynny humorysta angielski, był autorem „*Tristrama Shandy*,” obejmującego szereg obrazków i scen z domowego życia Anglików, przeplatanych dowcipami, lub rzewnemi refleksyami. Do 1766 r. ukazało się dziewięć tomów Sterna.

— *Cela n'est pas bien allé*, notuje z żalem pamiętnikarz, lecz nadmienia, że król go pocieszył łaskawem słowem:

— *Cela ira...*

— *Pour moi, je ne l'espère plus...* kończy z rezygnacją Reverdil.

Chcąc zatrzeć to niepowodzenie, wybrał się nasz lektor nazajutrz do króla i przedstawił mu modną podówczas, wynalezioną przez fizyka wiedeńskiego, O. Jezuitę Karola Scherffera, zabawkę, która polegała na tem, że gdy patrzący na obrazek, odpowiednio wymalowany, zwracał wzrok na białą ścianę, wówczas na siatkowce jego oka odbijał się ów obraz w kolorach odmiennych¹⁾.

Znajdujemy z kolei w dzienniku Reverdila wzmiankę o nieporozumieniu, jakie między nim a królem z niewiadomej przyczyny wynikło.

Stanisław August odznaczał się usposobieniem kapryśnem i zmiennem, i częstokroć przybocznych swoich nękał wybuchami złego humoru, co się i Reverdilowi, jak zobaczymy później, często przytrafiało. W gruncie serca jednak dobry i pobłażliwy, nie chował król przez czas długi żalu do osób, którym dokuczył i chętnie się do winy przyznawał.

¹⁾ Carolus Scherffer, autor dzieła: „*Istitutionum physicae pars prima et secunda, seu Phisica generalis conscripta*“ Vindobonae, 1763. Odwiedził owego Scherffera Reverdil w Wiedniu, jadąc do Warszawy i zanotował: „*Visite au Père Scherffer. Tableau curieux qu'il m'a fait voir, qui, fixé un moment, se retrace sur le mur blanc avec de couleurs différentes*“.

— Pogodziłem się z królem, pisze Reverdil. Uznał swą winę i przeprosił mnie. *Comment lui refuser son pardon?*

Widząc, że król chętnie przysłuchiwał się rzeczom lżejszym, umyślił Reverdil popisać się przed słuchaczem kilkoma anekdotkami Le Sage'a, autora „Gil-Blasa“, odnoszącemi się do rosterek religijnych między Genewczykami.

Widocznie król nie był zwolennikiem żartów tego rodzaju i jako głęboko wierzący, trzymał się ściśle dogmatu. Odmówił przeto wręcz Reverdilowi propozycji wysłuchania żartów Lesage'a.

— *Cela m'a fort surpris et affecté*, notuje w tem miejscu lektor...

V.

Przybycie pani Geoffrin do Warszawy. — Niechęć dworu. — Wojewodzina ruska. — *Nous autres!* — Korespondencya z Voltair'em. — Calas. — Sirven. — Du Barre. — Próżność pani Geoffrin. — Jej rozczarowanie.

Następne notatki Reverdila obejmują wspomnienia z pobytu pani Geoffrin na dworze królewskim w Warszawie. Projekt owej podróży przyjaciółki Stanisława Augusta do Polski, agitował się już od r. 1765. Korespondencya wydana przez p. de Mouy, ciekawą w tej mierze zawiera wymianę zdań między królem a podżyłą już paryżanką. Wysłany do Paryża szambelan Łojko, odprowadził ją do Wiednia, gdzie na dworze cesarzowej Maryi Teresy przyjaciółka króla doznała najżyczliwszego przyjęcia.

Od Wiednia towarzyszyli podróźnej specjalnie przez króla wysłani dworzanie. Na zamku królewskim w Warszawie, wyznaczono pani Geoffrin oddzielne mieszkanie, z którego wszakże, jak dowodzą jej listy, niezbyt była zadowolona.

O ile król był zachwycony towarzystwem swego gościa, o tyle, otoczenie dworskie z niechęcią spoglądało na dziwny ów stosunek młodego króla do

podżyłej i pretensjonalnej francuski, oparty wprawdzie na idealnych motywach przyjaźni, lecz rażący kontrastem wieku i nawyknięciami pani Geoffrin do przepychu i wystawności, którym dwór polski podolać nie był w stanie.

W notatkach Reverdila znajdujemy odgłosy niechęci otoczenia dworskiego gościa. Przybyła cudzoziemka do Warszawy w karecie umyślnie dla niej urządzonej i tak niskiej, że w kapeluszu na głowie siedzieć w niej nie można było. Kareta owa miała prócz tego jakieś specjalne zabezpieczenie od kurzu, które jej wygląd dziwaczniejszym czyniło.

Widocznie, uwagi i spostrzeżenia, jakie paryżanka czyniła w otoczeniu króla, nosiły na sobie odcień owej powierzchowności właściwej damom wielkiego świata paryskiego, jeśli Reverdil żartuje sobie z pani Geoffrin, gdy ta pochodzenie porcelany emalii przypisywała. Wspomina również z ironią o dowcipnej reprimendzie, jaką wojewodzina ruska, Czartoryska, Sieniawska z domu, udzieliła starej paryżance, gdy ta, w toku rozmowy zapomniawszy się, że ma do czynienia z jedną z najambitniejszych dam polskich, śmiała się wyrazić:

— *Nous autres, vieilles, pouvons bien nous dispenser de ces ceremonies!*

— *Nous autres* — zawołała gniewnie wojewodzina. — *Parlez pour vous, madame! Et puis: nous autres! Qu'est ce que c'est que tout cela?*¹⁾

¹⁾ Prawdopodobnie leży tu źródło owej niechęci pani Geoffrin do Czartoryskich, jaką jej listy wyrażają. De Mouy „Corresp.” str. 214, nota 2.

Król spędzał w towarzystwie pani Geoffrin wieczory i popisywał się przed nią piękną deklamacją i wymową francuską, w której niezaprzeczenie, jak zapewnniają współcześni, celował.

Stosunek króla do Voltaire'a, oddawna już nawiązany, stał się przez panią Geoffrin jeszcze żyłszym. Voltaire zajęty podówczas głośnemi sprawami Calasa, Sirvena i kawalera du Barre, które cały świat gorączkowo zajmowały, przesyłał za pośrednictwem pani Geoffrin błagalne do Stanisława Augusta listy, z prośbą o wdanie się w sprawę Sirvena, przez sądy francuskie za bluźnierstwo potępionego ¹⁾).

Próżność pani Geoffrin nasuwa Reverdilowi złośliwe i uszczypliwe uwagi, gdy np. z okazji jakiejś sztuki Voltaire'a, przez króla głośno odczytanej; śmiała się odezwać głośno:

— *L'auteur et le lecteur m'ont fait passer un soirée deliciouse...*

Wogóle, pobyt pani Geoffrin w Warszawie obudził wiele kwasów w otoczeniu dworskiem i w samym gościu nie utrwalił wspomnień sympatycznych.

— *J'ai trouvé une si grande différence entre les lettres et les actions...* — pisała już po powrocie z Polski do Paryża...

¹⁾ De Mouy, str.

VI.

Zajęcia umysłowe króla. — Schul-Ordnung. — Referaty Reverdila. — Przenosiny do zamku — Vitruwiusz De architectura. — Wesele żydowskie na Pradze. — Szykany kamerdynerów. — Kasztelan Karaś. — Ryx.

Sądząc z tytułów dzieł, które stanowiły przedmiot zajęć umysłowych Stanisława Augusta, podanych w notatkach Reverdila, należy przyjść do przekonania, że król, w początkach swego panowania, bardzo poważnie traktował nie tylko potrzeby własnego umysłu, lecz, że słuchając odczytów swego lektora, miał na widoku potrzeby oświaty narodu i pragnął w tej mierze zasięgać wzorów zagranicznych.

„Stanisław August — pisze Kalinka¹⁾ — miał z urodzenia niepospolite zdolności, a gruntownem wykształceniem wysoko je rozwinał. Zanim dom opuścił, władał dobrze językiem polskim i francuskim i pisał po łacinie; następnie doszedł do znacznej doskonałości w niemieckim, angielskim, ruskim i włoskim. Przykładał się szczególnie do historyi, filozofii

¹⁾ „*Ostatnie lata panow. St. Aug.*“ 1868, str. LI.

i wymowy; pracował nad matematyką; w rysunkach i architekturze okazywał wiele delikatnego gustu i zamiłowania“.

Oprócz odczytów lżejszego zakresu: powieści i poezji, Reverdil czytywał królowi dzieła historyczne, niemniej rozprawy specjalne z zakresu pedagogiki, które następnie Stanisław August w naradach z księciem generałem ziem podolskich, poważnie rozbierał i praktyczne z nich wyprowadzał wnioski.

Z notatki dnia 12 stycznia 1767 r. widzimy, iż przedmiotem zajęć ówczesnych króla, była rozprawa niemiecka pod tyt.: *Schul-Ordnung für die Churfürstlich-Braunschweig-Lüneburg'sche Lande*¹⁾.

Widocznie, zadaniem Reverdila miało być nie tylko suche odczytywanie treści książek, lecz obowiązkiem jego było: przygotowywanie własnych referatów o danym przedmiocie i przedstawianie ich królowi ze stosownemi uwagami.

Przytoczoną rozprawę opracował Reverdil w samodzielnym sprawozdaniu kilkustronicowym i otrzymał polecenie przedstawienia tego referatu ks. Czartoryskiemu.

Ta potrzeba nieustannego komunikowania się z lektorem, skłoniła króla do wyznaczenia Reverdilowi mieszkania w zamku królewskim, obok lokalu na urządzenie zamierzonej biblioteki przeznaczonego.

Mając na względzie upiększenie stolicy nowemi gmachami, król również gorliwie zajmował się architekturą. Jakoż, z notatek Reverdila widzimy, że

¹⁾ Wydana w Gettyndze, 1738 r.

przedmiotem odczytów było dzieło Marka Polliona Vitruwiusza: *De architectura*, odkryte przez Florentczyka Poggi w bibliotece St. Gallen.

Stosunki z królem stawały się coraz zażyłszymi i już z dalszych notatek widoczna, że zaczęto uważać Reverdila za wpływowego pośrednika w przedstawianiu królowi prośb różnych suplikantów.

W dniu 27 stycznia, rodak Reverdila, niejaki Bauman z Berna, przedstawił prośbę o wsparcie na podróż do Petersburga, gdzie się otworzył spadek po generale rosyjskim, Baumanie. Król, za wdaniem się Reverdila, przeznaczył proszącemu sto dukatów i algerkę futrzaną.

Stał się również Reverdil uczestnikiem rozrywek króla, zawsze chętnego widza wszelkich oryginalnych widowisk.

W lutym, 1787 r. pojechał z królem saniami na Pragę, dla przypatrzenia się ślubowi żydowskiemu, a uroczystość ta, odbyta przy akompaniamencie muzyki, pod gołym niebem, pod baldachimem, z nieodłącznym ceremoniałem stłuczenia szkanki przez nowożeńca i procesyjnym pochodem przez ulice, wśród jarzących świateł, bardzo przyjemne na Szwajcarze uczyniła wrażenie.

Taka względna zażyłość stosunku cudzoziemca do króla, obudziła w nim już na samym wstępie różowe nadzieje dalszej karyery. Niezadowolony pozyskanem już stanowiskiem, zaczął Reverdil sięgać wyżej i zamarzył o własnej karecie, „jak przystało na lektora Jego Królewskiej Mości“.

„Gdym 11 lutego — pisze — wśród gołoledzi

biegł na pocztę, upadłem na lewą nogę. Powracając, upadłem na nogę prawą... *I was in such a plight!* Musiało to być bardzo zabawne, widzieć bibliotekarza królewskiego unurzanego w błocie... lecz należało naturalnie zaopatrzyć go w karete...“

Im bardziej jednak wzmagala się ambicya cudzoziemca, tem zawistniejszym okiem spoglądała nań służba dworska króla, nieznosząca w takich razach zbytniego faworyzowania jednej osobistości, z wrzekomą szkodą innych.

Zaczeły się powtarzać zwykłe w podobnych razach szykany ze strony służby zamkowej, która, w niepozornym Reverdilu nie chciała uznać towarzysza rozrywek umysłowych króla, lecz uważała go za zwyczajnego dworzanina, nie mającego tytułu do żadnych przywilejów szczególnych.

Zaczynają się też w dzienniku skargi na zuchwalstwo lokajów dworskich, z których jeden posunął się nawet do tego stopnia śmiałości, że nie chciał podać Reverdilowi świecy, gdy tenże miał udać się na spoczynek do swego pokoju.

13 lutego, wieczorem, Reverdil pożegnany przez króla, sam wziął lichtarz ze świecą, by się udać do siebie, gdy w tem jakiś kamerdyner zbliżył się do niego i chciał wyrwać mu świecznik z ręki.

— *Sei doch nicht so unverschämt!* — zawołał Reverdil, uderzając lokaja po ręce, lecz po chwili, gdy postawiwszy świecznik na stole zbliżył się do okna, by je zamknąć, lokaj pochwycił lichtarz i pozostawił pana lektora w ciemności.

Skarżył się Reverdil przed kasztelanem Kara-

siem na taką zaczepkę ze strony służby i kasztelan zgromiwszy należycie zuchwałego lokaja, rozkazał, aby takie zajścia nadal się nie powtarzały.

Lecz takie zaczepki wydarzały się nietylko ze strony służby niższej. Nawet kamerdyner Ryx, późniejszy starosta Piaseczyński¹⁾ poważyl się obrazić Reverdila z powodu zawieruszenia się świecznika wśród pożaru, jaki wybuchł w jednym skrzydle zamkowem, w marcu 1767 r. Gdy Reverdil zaprzeczył, iżby miał w nocy pożaru zabrać ów świecznik do swego pokoju, Ryx stanowczo utrzymywał, że widział ów świecznik w ręku lektora.

— *Quelle indignité!* — woła nasz lektor — *et à quelles infamies un honnête homme est exposé à la Cour!*

¹⁾ Ryx załatwiał poufne zlecenia, drażliwej natury, chociaż służba jego urzędowa zależała na wkładaniu wstęgi orderowej na króla, gdy starszy kamer-lokaj Hoffman kończył ubieranie i zapinanie guzików na sukniach. Korzon III. 21.

VII.

Historya cesarzowej Ireny. — Komentarz do Ksenofonta. — Projekt urządzenia biblioteki. — Ks. Albertrandy. — Jan Beniamin Steinhäuser. — Zakup księgozbioru. — Drobne przykrości pana bibliotekarza.

W lutym 1767 r. zażądał król od Reverdila szeregu odczytów z dzieła Hainault'a o „*Historyi cesarzowej Ireny*“ i Lecoint'a komentarza do ksenofontowego „*Odwrotu tysiąca*“. Po ukończeniu tych dzieł, zabrano się na nowo do „*Historyi Niemiec*“ Barra.

W marcu, 1767 r. nastąpił uroczysty dla Reverdila dzień, w którym, do godności lektora miał mu być dodany tytuł — bibliotekarza Króla Jegomości.

Oddawna już przemyślał król nad urządzeniem w zamku księgozbioru, który, jakkolwiek nie mógł się równać bogactwami z biblioteką Załuskich, jednakże, według planu króla, miał, za wskazówką Albertrandego, stać się zbiornikiem poważnych dzieł historycznych, ekonomicznych i statystycznych, niezbędnych przy pracach, jakimi się umysł króla zaprętał.

Po długiem szukaniu wybór padł na urządzoną już zupełnie bibliotekę Jana Steinhaüsera, która oprócz druków obfitowała w znaczny zbiór rękopisów.

Jan Benjamin Steinhaüser, historyk, Sas rodem, był na dworze Augusta III konsyliarzem i mieszkał w Warszawie, gdzie zajmując się historią kraju, dostarczał Niesieckiemu rozmaitych wiadomości historycznych i heraldycznych do Herbarza. Był on autorem dzieła: *Memoires sur le gouvernement de la Pologne*, wydanego w Manheimie w r. 1759¹⁾. Od niego zakupił Stanisław August całą bibliotekę, złożoną z dzieł drukowanych i rękopisów, oraz zbioru medali, za trzy tysiące pięćset dukatów w złocie, i podczas obiadu wydanego przez starostę Schmidta, polecił przywołać Reverdila i oznajmił mu tę wiadomość, z rozkazem, aby bezwłocznie zajął się objęciem w posiadanie zakupionej biblioteki.

— *Enfin, la bombe a éclaté!* — notuje z radością Reverdil tę wiadomość pod datą 2 marca 1767 i zaraz zażądał od kasztelana Karasia, aby dla ułatwienia mu czynności, dał mu od tak dawna upragnioną karete, na co Karaś tym razem się zgodził.

Takie awansowanie na godność bibliotekarza królewskiego, obudziło w Reverdilu dawno już ży-

¹⁾ Niemiecki przekład pod tyt. „*Grundriss der heutigen Staatsverfassung von Polen*“; rosyjski przekład wyszedł w Petersburgu, w r. 1764. F. M. Sobieszcz. „*Enc. Org.*“ XXIV. 140. Rękopis Steinhaüsera ma biblioteka prywatna Z. w Warszawie.

wiony zamiar przedstawienia królowi memoryału, w przedmiocie stałej pensyi i widoków przyszłej kariery.

Memoryał ten wręczony został królowi dnia 13 kwietnia 1767 r.

Stanisław August odesłał Reverdila do Jacka Ogrodzkiego, z zaleceniem temuż, aby sprawę rozpatrzył i przedstawił do decyzji.

Nie spieszył się widocznie Ogrodzki z załatwieniem tego zlecenia i na usilne domagania się Reverdila odrzekł z niechęcią:

— *J'ai bien d'autres choses à lire!*

— Jakaż to zmiana tonu! — wykrzykuje z oburzeniem pamiętnikarz i niezadowolony biegiem sprawy, sam postanowił przypomnieć królowi swoją prośbę.

Król, spotkawszy pewnego razu Reverdila w przedpokoju, wyczekującego na posłuchanie, zbliżył się doń i oświadczył, że memoryał uznał za słuszny przyczem obiecał proszącemu dać sowite wynagrodzenie za przeszłość, t. j. za poniesione koszta podróży; na przyszłość zaś wyznaczył mu płacę, w kwocie dwudziestu dukatów miesięcznie, a prócz tego, dziesięć dukatów na koszta utrzymania karety. Było to nieco mniej, aniżeli żądał Reverdil, gdyż pragnął 400 dukatów rocznie i karety; *mais, ajoute, je suis content pour le coup et la porte me reste ouverte...*

Nadmienia przytem: „z tonu i z obejścia się Ogrodzkiego ze mną, mogłem się przekonać, jak wielka różnica zachodzi między traktowaniem z królem bezpośrednio, a jego ministrem.

Dziwił się nadto król, iż słyszał, jakoby się miał wyrazić, że nie uważam swego stanowiska za zaszczytne w oczach wszystkich (*que ma place n'étoit pas honorable à tous les yeux*)“.

20 kwietnia 1767 r. oświadczył kasztelan Karaś Reverdilowi, iż płaca miesięczna liczyć się będzie od początku roku 1767, poczem dał mu asygnacyę na czterdzieści dukatów do kasy generalnej, którą zawiadywał kasyer Bastian.

Co do mieszkania wyznaczonego Reverdilowi przy bibliotece, rzecz ta nie poszła tak gładko, gdyż Roch Kossowski, podskarbi nadworny, nie chciał się zgodzić na oddanie Reverdilowi pokoju, który, jak utrzymywał, winien być obrócony na pomieszczenie całkowite biblioteki Steinhaüsera.

— *Quelle injustice* — woła Reverdil — *quels découragemens! Oh Cours! Oh Cours!*

Wreszcie, 20 maja 1767 r. ukończył się transport biblioteki Steinhaüserowskiej do zamku, a jednocześnie, niejaki podsekretnarz, Wild de Ratisbonne, otrzymał uwolnienie z dotychczasowej posady, co było zapowiedzią środków oszczędności, mających się zaprowadzić w utrzymaniu dworu.

Z rozmaitych notatek dalszych naszego lektora, okazuje się zmienność i nerwowość usposobienia króla, względem otaczających go dworzan. Chwali np. Reverdil uprzejmość Stanisława Augusta, iż podczas wieczornego odczytu d. 7 sierpnia 1767 r. obdarował go trzema brzoskwiniami, a jednocześnie utyskuje, że mu król przez swego kamerdynera polecił oświadczyć, iż za długo sypia...

„Jestto poniżajacem, pisze Reverdil, ze względu na „kanał“ użyty do tego pośrednictwa. Jestto niesprawiedliwem, z uwagi na to, że sypiam istotnie mało, a pracuję wiele. Jestto okrutnem względem człowieka, który spędził większą część nocy nad ułożeniem memoryału, dziś nad ranem królowi przedstawionego...”

W dalszym ciągu, pod datą 11 sierpnia, pisze Reverdil:

„Król po przeczytaniu mego listu polecił mnie wezwać do siebie i oświadczył, iż żałuje przykrości mi wyrządzonej i prosi mnie o przebaczenie.

Było to powiedziane tak szczerze i z takim uczuciem, żem mu z całego serca wybaczył, podziwiając króla, który umie naprawiać błędy swoje. Pokochałem go od tej chwili silniej, aniżeli dotychczas.”

7 września 1767 odbyła się uroczystość galowa w rocznicę elekcyi. Król, zastawszy o 2-iej w nocy w przedpokoju lektora, pozwolił mu udać się na spoczynek, lecz w parę dni później zrobił wymówkę Reverdilowi, iż go nie widział w przedpokoju o 10-iej wieczorem.

— *Mais, est ce donc que je n'en doit jamais sortir?* — pyta z oburzeniem pamiętnikarz.

Angielszczyzna Reverdila okazała się niezbyt poprawną, gdyż król polecił mu brać lekcye języka angielskiego od pana Arundela, który miał być sumienniejszym nauczycielem od niejakiego pana Linda.

Za te lekcye przyrzekł król płacić z własnej szkatuły po cztery dukaty miesięcznie.

VIII.

Lekoye Reverdila. — Przenosiny biblioteki. — Opryskliwość króla. — Boekler. — Bacolarelli. — Katalog. — Glaire. — Sale bibliotekarza. — Ben servire é non aggradire.

Zajęcia Reverdila z dniem każdym stawały różnorodniejszemi i trudniejszemi. Nie poprzestał król na zaleceniu swemu lektorowi nauki języka angielskiego, lecz sam poruczał mu przekłady z innych języków na angielski, w rodzaju szkolarskiego *pensum*, które miało ulegać bacznemu egzaminowi ze strony nauczyciela.

„*Bickerstaff dans le Tatles*¹⁾ et *Luis XIV*,“ taki tytuł nosiła książka, dana 8 września 1767 r. przez króla Reverdilowi, ze wskazaniem pewnego jej ustępu do natychmiastowego przekładu na język angielski.

„Przetłómaczyłem ten ustęp bezzwłocznie, przed udaniem się na spoczynek i odniosłem pracę nad ranem królowi, który bardzo był z niej zadowolony i oświadczył, że przekład mój przeznacza dla wiel-

¹⁾ Bickerstaff napisany był przez Swifta, humorystę, autora Gulliwera.

kiej podkomorzyny litewskiej¹⁾. Zaniosłem go też pani szambelanowej, która mnie zaprosiła na wieczerzę. Zostałem tam króla, który się rychło oddalił. Jam zaś pozostał i siedziałem przy księciu Adamie i Repninie“.

Odczyty Reverdila odbywały się zwykle wieczorami, lecz zdarzało się, że i w rannych godzinach wzywano lektora do obowiązku. 25 września lektura trwała trzy godziny z rzędu, a w parę dni później kazano Reverdilowi kilka godzin wieczornych spędzić bez wytchnienia na czytaniu.

„Jestem istotnie nieszczęśliwym, pisze Reverdil dnia 29 września, gdyż jeśli król rozkaże mi trudzić się tak każdego wieczoru, nie znajdę nigdy sposobności do pomówienia o moich własnych sprawach... Żebyć przynajmniej Jego Królewska Mość raczyła okazywać mi nieco więcej przyjaźni i uprzejmości w postępowaniu ze mną!“

4 października 1767 r. przeniesiono bibliotekę do innego, przestronniejszego pokoju, od strony tarasu zamkowego, gdyż w dotychczasowym, trudno było do książek trafić, zwłaszcza, że pokój dawniejszy był przechodni i prowadził do komnaty kamerdynera.

Rozwodzi nowe żale Reverdil z powodu przeciążania go przekładami z łacińskiego i angielskiego

¹⁾ Godność szambelanów odpowiadająca godności podmorzych, powstała w Polsce za Stanisława Augusta i była przedmiotem zjadliwych docinków, ze względu na znaczną liczbę kreowanych przez króla dignitarzy tej rangi.

i z powodu dziwnej zmiany w królu, który niewiadomo dlaczego stał się dlań opryskliwym i surowym.

„Gniew mnie dławi — pisze 1 grudnia 1767 r. — Wczoraj wezwano mnie i kazano iść do pracowni malarskiej. Chciałem przejść przez gabinet króla, jak to zawsze czyniłem, gdy nagle usłyszałem głos opryskliwy:

— *Allons donc! Ne pouvez vous pas passer de l'autre coté?*

„Pominałem to w milczeniu, gdyż jeśli się jest popędliwym, nie należy być obraźliwym; lecz to, co nastąpiło później, wymaga zaznaczenia:

„Położyłem się spać wczoraj o północy, a dziś rano we wtorek, byłem w przedpokoju już o 9-tej ufryzowany i ubrany galowo. Jego Królewska Mość również ubrany był w swoim gabinecie, więc wy-
czekiwałem jego wyjścia, jak zazwyczaj. Król był względem wszystkich nader uprzejmy, zwłaszcza dla doktora (Boecklera) i malarza (Bacciarellego), nie spodziewałem się zatem, aby dobry jego humor zamienił się nagle na burzę względem mnie. W chwili, gdym miał zdać mu sprawę z kilku błahych zleceń, król zwraca się do mnie na pozór spokojny i żąda podania sobie gazety, którą też zabierałem się wy-
dostać z kieszeni z możliwym pośpiechem...

„Nie odpowiadało to widocznie niecierpliwości jego, gdyż wołając natarczywie: *Allons vite!!* jakby dla przyspieszenia czynności, która i tak dłużej nad sekundę trwać nie mogła, dowiódł istotnie wielkiego zmysłu oszczędności co do czasu, a zarazem chęci

ubliżenia dobremu służyć... (*C'est bien traiter un bon serviteur cavalièrement*).

„Niczem to jednak w porównaniu z tem, co nastąpiło później.

„Zwracając się do mnie zawołał król gniewnie: — Kiedyż nareszcie skończysz uporządkowanie biblioteki? To okropne, że nie wiesz nawet, gdzie która książka się znajduje!”

„Jakaż to niesprawiedliwość, traktować kogoś w podobny sposób! Widocznie ktoś musiał mi podstawić nogę, bo inaczej trudno wytłómaczyć sobie taki gniew, *à propos des bottes*! Prawda, że przed kilkoma dniami nie mogłem wyszukać Fontenella¹⁾, lecz czyż moja w tem wina, że biblioteka była ruszana z miejsca, że nie mam pomocnika, ani też potrzebnych wygod? Porządkowanie Steinhaüserowskiej biblioteki zajęło mi prawie całe lato, a potem trzeba było ją przenieść gdzieindziej i ustąpić miejsca Glairowi²⁾, co zwiększyło tylko zamęt i obciążyło pamięć, utrudzoną oprócz tego rozmaitemi zleceniami.

„Dodać do tego należy pracę połączenia obu bibliotek w jedną, ranki zupełnie zajęte, poobiednie godziny wypełnione najrozmaitszemi zajęciami, jako to: pisanem listów, robieniem wyciągów z autorów, tłumaczeniami rozmaitych ustępów z łacińskiego, francuskiego, angielskiego, lekcyami angielszczyzny,

¹⁾ Le Bouyer de Fontenelle, słynny pisarz, matematyk i filozof (1657 — 1757), autor dzieł: „*Entretiens sur la pluralité de mondes*“, „*Histoire des oracles*“, „*Geometrie de l'infini*“.

²⁾ Sekretarz przyboczny, zajął miejsce po wyjeździe Schmidta. „Miewał polecenia wielce poufne“, Korzon. III. 19.

wydawaniem i odbieraniem książek, przyjmowaniem wizyt osób zwiedzających bibliotekę, których nie zawsze pozbyć się można... Dodajmy do tego zniechęcenie i przeczucia tego, co nastąpić miało w przyszłości... Biegać tu i owdzie, wdrapywać się po drabinie do szaf, załatwiać czynności lokaja i uczonego, przechodzić nieustannie od pracy mózgowej do pracy rąk; być jednocześnie dworzaninem i mężem zaufania, i nie mieć za to w zamian żadnych wygod; biegać ciągle przez pięć pokoiów od drzwi do drzwi, źle się przytwierających, zważać baczenie na każde dzieło, czy jest kompletne, czy nie ma dubletów, sprawdzać czy są w niem jakie estampy, sprowadzać książki nowe, wypisywać ich tytuły nieraz długie, układać katalog komentarzy i tłumaczeń! Do tego wszystkiego potrzeba przecież czasu, pamięci i rozwagi, a ja pracuję, i tak już bez wytchnienia, nad siły, bez wielkich na przyszłość widoków! Czyż to nie jest upakarzające, za to wszystko być traktowanym jak nicpoń (*polisson*) i odbierać admonicę, jakby się nic nie robiło; być kozłem ofiarnym (*souffre-douleur*) króla polskiego, podczas gdy brat mój, z mniejszym nakładem pracy, jest faworytem króla duńskiego, i powtarzać sobie aryjkę z *Serva padrone*: „*ben servire e non aggradire?*“

Na domiar tych wszystkich dokuczliwości moralnych i materialnych, niedostatek zaczął się dawać we znaki panu lektorowi. Pod dniem 3 grudnia 1767 r. notuje w swoim dzienniczku: „z powodu braku drzewa na opał i dojmującego mrozu, niepodobna mi było pracować w bibliotece“.

IX.

Indygenat nadany Reverdilowi. — Sejm 1768 r. — Przywilej królewski. — Szlachectwo „*praeciso scartabellatu*“ i „*salvis legibus de scartabello*“. — Protokół Kanclerza Młodziejowskiego.

Nastał rok 1768. Od ostatniej, goryczą przeziąkniętej notatki Reverdila, upłynęły dwa miesiące. Widocznie, w trakcie tego czasu ułożyły się jakoś harmonijniej stosunki lektora do króla i zahukany dworzanin znalazł sposobność i środek przypodobania się swemu panu, gdyż najniespodziewaniej pod datą 5 marca 1768 r. znajdujemy w pamiętniku notatkę, iż sejm pod łaską marszałkowską księcia Radziwiłła, przyznał naszemu lektorowi indygenat szlachectwa polskiego — *sine scartabellatu*¹⁾.

¹⁾ Nadanie szlachectwa polskiego było albo *praeciso scartabellatu*, albo *salvis legibus de scartabellis*. Pierwsze — miało to znaczenie, że zaszczycony szlachectwem mógł sprawować wszelkie urzędy, równy był rodowitej szlachcie, drugie, że dopiero trzecie pokolenie przypuszczalnym być mogło do tych prerogatyw. Pierwsza taka nobilitacya przyznana była

Sucha wzmianka, zamieszczona w Voluminach legum (VII. 373, wyd. Ohr.) o nobilitacyi Reverdila, nie wyjaśnia dostatecznie, ani pobudek sejmu do udzielenia tak zaszczytnego odznaczenia cudzoziemcowi, ani też nie tłumaczy się jakimikolwiek bądź zasługami jego w urzędzeniu księgozbioru królewskiego. Być może, że ujawnione po upływie lat dwóch pobytu na dworze, osobiste zalety Reverdila skłoniły króla do porzucenia dotychczasowej względem niego stosowanej normy postępowania, gdyż trudno sobie w inny sposób wytłómaczyć powód, dla którego król wyjednał u sejmu uchwałę, nadającą indygenat człowiekowi— w kraju i dla kraju zupełnie obcemu.

Stanowi to wszakże niepozbawiony głębszego znaczenia rys charakterystyczny panowania Stanisława Augusta, iż bardzo wiele miernych figur wy dostało się za jego wpływem na szczebel dostojęństw obywatelskich, bez najmniejszego prawa i tytułu do takiego odznaczenia i że po za obrębem nobilitowania w porządku sejmowym, prowadził się za tego panowania otwarty handel owemi dostojęstwami, tak, że byle dorobkiewicz, lub neofita, chępiący się dzisiaj swoim szlachectwem, zawdzięczał swoją godność przekupstwu, lub posługom bardzo poziomego waloru...

Mikołajowi Hadziewiczowi za Jana Kazimierza 1654 r. (Voleg. IV, 458). *Skartabellus* w statucie wiślickim znaczył pośredni stan w wojsku między rycerzem, *miles famosus*, a wojskowym z sołtysa lub kmiecia pochodzącym.

Uzupełniam głuchą wzmiankę pamiętnikarza o uchwale sejmowej dokumentami z archiwum głównego Królestwa, gdzie, w księgach kanclerskich¹⁾ znalazłem bliższe szczegóły o nobilitacyi Reverdila.

Przywilej królewski w głównej treści brzmiał jak następuje:

„Stanisław August etc. Odznaczająca się cnota i podniosłość duszy nie mogą pozostawać w ukryciu, aby światłem swoim nie zajaśniały i sobie, oraz potomstwu nie pozostawiły świetnego imienia, tem więcej, jeśli królowie je nagradzają i innych do naśladowania ich zachęcają.

„Stąd też, gdy szlachetny i uczony Marek Ludwik Reverdil, obojga praw doktor, sekretarz nasz, przyboczny lektor (*agnostes*) i dyrektor (*prefectus*) naszej biblioteki królewskiej, niepośledniej cnoty, wyższej nauki i wiernych usług przez lat kilka nam i Rzplitej składał dowody i zjednał sobie nietylko łaskę naszą królewską, lecz i całej Rzplitej uznanie, ministrowie państwa zalecili go nam, a posłowie ziemscy domagali się, aby do równego z nimi stanu szlachectwa był dopuszczony i godność rycerską otrzymał.

„I dla tego, My, Stanisław August etc. mając na względzie, cnoty, zasługi i zdolności uczonego Marka Ludwika Reverdila, wraz z jego potomstwem obecnem i przyszłem, do równości stanu szlacheckiego i przywilejów szlacheckich Królestwa Polskiego, W. X. Litewskiego i innych przyległych pro-

¹⁾ T. XLI i XLII z r. 1768.

wincyi go dopuszczamy, nadając mu klejnot szlachecki, według załączonego wyobrażenia et.

Między podpisami na tym dyplomie, znajdujemy nazwiska: Gabryela Junoszy Podoskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego i legata, Andrzeja Kostki Młodziejowskiego, kanclerza, Ignacego Massalskiego, biskupa wileńskiego, Ignacego Krasickiego, biskupa warmińskiego etc.¹⁾.

Po wykonanej przez Reverdila przysiędze, kanclerz koronny wydał nobilitowanemu następujący certyfikat:

„Wiadomo czynię, komu o tem wiedzieć należy, teraźniejszego i przyszłego wieku wszelkiej kondycji ludziom, iż podług konstytucyi sejmu extraordynaryjnego, niedawno zeszłego, urodzony Marek Reverdil stanawszy osobiście przedemną, *debita jurisjurandi solennitate* przysięgę *super fidelitatem Serenissimo Regi et Reipublicae* wykonał, po której wykonanej, *diploma nobilitatis* od Najjaśniejszego Króla Jegomości Pana Naszego Miłościwego łaskawie nadane, temuż urodzonemu Markowi Ludwikowi Reverdil, z kancelaryi koronnej jest wydane, które to świadectwo, aby tym większą wagę miało, ręką moją podpisuję i pieczęcią koronną stwierdzam.“ Dan w Warszawie d. 15 m. kwietnia, R. P. 1768. Andrzej Stan. Młodziejowski, biskup przemyski, poznański kanclerz w. koronny²⁾.

¹⁾ Ks. kanc. str. 97. T. 42.

²⁾ T. 41, str. 23.

X.

Przerwa pamiętnika. — Lekcyje angielskiego języka. — Przekład Morsztyna. —
Nowa burza. — Lekcyje polszczyzny. — Cui bono? — Rachunki Reverdila. —
Rehabilitacya.

W dzienniku Reverdila następuje kilkomiesięczna przerwa. Tłómaczy się z niej pamiętnikarz nowemi swemi zmartwieniami, które, jak mówi „stanowiły przewagę nad wrażeniami przyjemnemi.“ Nie może wszakże zamilczeć o doznanem upokorzeniu, iż go wraz z innymi Szwajcarami nie zaproszono na obiady uroczyste do hrabiego M*.

„Jestto — pisze — jakaś fatalność, iż odznaczwszy się gorliwem spełnianiem obowiązków, wyróżniany jestem tylko większym nawalem pracy, podczas, gdy mnie równają z innymi wysokością płacy, a niżej stawiają w odznaczeniach.“

„5 sierpnia 1768 r. wezwał mnie król o godzinie 10-ej wieczorem i kazał czytać po angielsku, lecz nie słuchał zupełnie mego odczytu, przeglądając w trakcie tego ryciny, aż do w pół do dwunastej w nocy. Dziś również, byłem już zupełnie rozebrany,

gdy nagle wezwano mnie do króla. Ubrałem się śpiesznie na nowo i dwie godziny spędziłem w przedpokoju, ale nikt się nie pokazał. Musiałem znowu wrócić do siebie.“

„27 września wezwano mnie, abym podał jakąś książkę, która miała na grzbiecie tytuł odmienny od wskazówki w katalogu. Był to przekład Morsztyna¹⁾. Po długim szukaniu odnalazłem nareszcie tę książkę, lecz zamiast podziękowania, usłyszałem wyrzuty, że robota około biblioteki tak powoli postępuje. Chcieliby oczywiście korzystać z posług katalogu, a nie dają mi czasu na jego ułożenie...“

„Książka Morsztyna była polską, z powodu czego, król zapytał mnie, czyli się uczę języka polskiego? W moim wieku, mając lat 34 i posiadając 5 do 6 języków, ucząc się przytem języka angielskiego, za co, król, pomimo swej obietnicy nie zwraca mi nawet należności, choć wielkie robię postępy, jeszcze uczyć się języka polskiego, najtrudniejszego i najbezużyteczniejszego z języków!! (*la plus difficile, comme la plus inutile des langues...*)“

„17 października 1768 r. Musiałem ku końcowi tego miesiąca, we dwa lata po mojem przybyciu, zabrać się do nauki języka polskiego. *Cui bono?*“

„1 listopada. Książę Monferrat chcąc wykazać swoje pokrewieństwo z królem, napisał doń list z propozycją przybycia tutaj.

Przyjęto dobrze jego propozycję i polecono

¹⁾ Prawdopodobnie mowa tu o przekładzie tragedyi: „*Cyd*“ Corneilla, dokonany przez Andrzeja Morsztyna, około 1688.

mi przypomnieć w swoim czasie odpowiedź, jaką napisaćby należało. Następnie jednak powiedziano, że nie ma co z odpowiedzią się śpieszyć.“ (?)

Dalsze milczenie pamiętnikarza przerywa rachunek, jaki Reverdil przedstawił królowi z prośbą o uregulowanie zaległych wydatków i określenie stałej płacy.

Skargi na złe traktowanie ze strony dworu i mierne utrzymanie, wypełniają dalsze stronice dziennika.

W sierpniu 1769 r. następuje radośniejsza notatka.

„Uczyniłem reklamacyę co do stołu, do którego mnie zaliczono. Wydzielono mi najprzód stół klasy trzeciej, następnie drugiej, a obecnie dają mi stół klasy pierwszej, stół marszałkowski, *ad libitum et ad honores*, lecz sześć tylko dukatów miesięcznie. Pierwszy to raz zdarza się, że jestem traktowany lepiej od innych, lecz należało się o to starać, zamiast mieć to z dobrej woli. Prawda, że uczyniono to bardzo uprzejmie i to mi daje możność obiadowania przy stole króla, z największymi panami i damami... Nareszcie zostałem z r e h a b i l i t o w a n y...

XI.

Uśmiech fortuny. — Kochanki królewskie. — Markiza Lulli. — Generałowa Grabowska. — Starościna Schmidtova — Baronowa Schütter. — Pani Tomatysowa. — Miejsce schadzek. — Pracownia Bacciarellego. — Niedyskretny Magier.

Ów lekki uśmiech fortuny, o jakim Reverdil wzmiankuje, nie ujawnił się bez ciężkiej ujemy dla ludzkiej godności pamiętnikarza.

Wiadomo, że Stanisław August wielce kobietom hołdował, a nie mogąc poślubić prawej małżonki, bo mu Rzplita na to nie pozwalała, prowadził życie kawalerskie, w stosunkach z kobietami wszelakiego dostojęństwa i szczebla towarzyskiego.

Wyliczenie szczegółowe w porządku chronologicznym wszystkich kochanek króla byłoby bardzo trudnem, ze względu, że tego rodzaju stosunki kontroli nie ulegają; przytem Stanisław August, nie będąc w wyborze wybrednym, hołdował niejednokrotnie kilku na raz boginiom. Odstąpił nawet od zamiaru chronologicznego uporządkowania tej rubryki zajęć króla Korzon, zazwyczaj drobiazgowy w swoich poszukiwaniach ¹⁾).

¹⁾ Korzon III. 26.

Nie trzyma się porządku w swoich wyliczeniach i zacny Magier w swojej „*Estetyce miasta Warszawy*“, lecz ogółowo przytacza nazwiska i fakta, odnoszące się do zakulisowego życia Stanisława Augusta.

Wiadomo dotychczas, że najstalszemi kochankami króla były: markiza Lulli i generałowa Grabowska, z domu Szydłowska, wdowa po generale wojsk litewskich Janie, z którą nawet następnie stosunek morganatycznego małżeństwa był zawarł.

Panna markiza Lulli ukazała się w Warszawie w charakterze emigrantki francuskiej, ze starą swoją ciotką. Było to urocze ośmnastoletnie dziewczę, obdarzone tak wielkimi zaletami i zalotnością, że objęło niebawem nieograniczone nad sercem króla panowanie.

Panna Lulli, wyćwiczona w swej sztuce, podbiła króla do tego stopnia, że zaczęła rządzić absolutnie, wdawała się w sprawy krajowe, w promocye, intrygi, słowem, bardzo wydatną na dworze króla grała rolę¹⁾. Miała swój dwór na Krakowskim Przedmieściu, w nieistniejącym już obecnie domku Nr. 571 w Warszawie, ekwipaże pyszne, brylanty ogromne, w których paradowała na redutach.

„Przyłgnęła do bogactw królewskich, których nie szczędząc, używała; a mówią, że oprócz ogromnych wydatków tego, co kosztowało życie wystawne, perły, brylanty, dwór, ekwipaże, miliony je-

¹⁾ Intrygowała np. w r. 1767 w sprawie wywiezienia senatorów. J. I. Kraszewski: *Polska* T. I, str. 33.

szcze na bankach zagranicznych lokowała... Ssała to wszystko ze szkatułki królewskiej¹⁾.

Współcześnie jednak król hołdował i poślubionej morganatycznie pani Grabowskiej.

„Była to kobieta miła, blondynka, z pięknymi niebieskimi oczyma, ciałem jędrnem, rzadkiej nawet w Polsce białości, rysów twarzy wcale nieuderzających, ale miłego rozumu i wielkiej serca dobroci. Nie była ona podobną do tych innych, przelotnych kochanek królewskich, bo szczerze była przywiązana do króla. Nic z jego miłości nie wyniosła dla siebie, ani dla swoich; żadna potwarz nie odważyła się skazać jej bezinteresowności i szlache-tnych uczuć. Ona jedna nietylko miłość, ale i szacunek króla umiała pozyskać. Do żadnych intryg się nie mieszała, dobrą i złą dołę króla podzielała, jako prawdziwa przyjaciółka i zawsze dawała mu najzbawienniejsze rady, co król lubił jej przyznawać²⁾.

Stosunki jej z królem zaczęły się jeszcze za

¹⁾ W r. 1794 w czasie rewolucyi przykre bardzo spotkało ją zdarzenie. Jechała dworską kareta z Łazienek do zamku na Krakowskim Przedmieściu. Koło Bernardynów karete zatrzymało pospólstwo, wyciągnęło ją ze środka i byłoby źle z jejmościanką, gdyby, szczęściem, nie nadciągnął oficer gwardyi, ze szwadronem na wartę do zamku idący, i ten ją uratował z rąk pospólstwa. Wsadzono damę wystraszoną, bez duszy, do karety, oficer tylko co żywo oddał królowi. Nieszczęśliwy monarcha sam w najstraszliwszem położeniu, razem z Boecklerem nie odstępował na chwilę łóżka oblubienicy. Gdzie się potem podziała, niewiadomo. J. I. Kraszewski. „*Pamiętniki Jana Dukl. Ochockiego*.” II. 237.

²⁾ „*Pam. Bartł. Michałowskiego*.” Serya I. T. III. 192.

życia męża. Król pragnął ją rozwieść z generałem, lecz brat króla, książę prymas, oparł się temu, nie mogąc się pogodzić z myślą, aby król mógł zostać małżonkiem, choćby tajnym, poddanki. Generał Grabowski umarł i to ułatwiło sprawę. Zaraz po jego śmierci ksiądz Wargawski w kaplicy zamkowej, późną nocą, dał ślubne błogosławieństwo kochankom, w obecności księcia prymasa i brata oblubienicy, głośnego ze swych dziwactw, w historyi obyczajów ówczesnej epoki zarejestrowanych.

Mieszkała pani Grabowska obok zamku, na Kanonii; letnią zaś porą miała dla siebie domek w Alejach Ujazdowskich pod Nr. 1715¹⁾.

Obok tego uprawnionego stosunku, uprawiał król wcześniej może stosunki z paniami Sapieżynemi, z Elżbietą Różańską, z domu Poniatowską, ze starościna Schmidtową wdową, baronową Schütter, z domu Cumana, greczynką, żoną fabrykanta fajansu z Belwederu²⁾, z ex-aktorką Tomatysową, którą pan Karol Tomatys przywiózł był z Włoch. Nazywała się ona właściwie Todi i odznaczała się dziwnie pięknym głosem.

Miejscem schadzek króla z kochankami była najczęściej pracownia malarza Bacciarellego, w zamku, gdzie pani Malczewska bez odzieży pozowała artyście do mitologicznych obrazów.

„Bacciarelli, znając słabość królewską do ko-

¹⁾ Magier, 193.

²⁾ Zwłoki jej tego dnia właśnie, kiedy król wyjeżdżał do Petersburga w d. 7 stycznia 1795, spotkał wyprowadzane na cmentarz.

biet — pisze właściwym sobie zaniedbanym stylem Magier — zajmował się nieraz w swym gabinecie w malarni w oddaniu pędzlem obrazu jakiej znakomitszej damy. Wiedząc o skłonnościach ku niej króla, przy malowaniu obecnego, położywszy paletę z farbami, wychodził do siebie, nieco tam zabawiwszy¹⁾.

¹⁾ „Król — pisze dalej Magier — ulegał wiele mocy kobiet nad sobą. Siostry jego, pani Krakowska (1-o *voto* Brannicka, 2-o Mokronowska), pani Podolska i inne damy, dając mu rady jakowe, lub odradzania, łatwo go w umyśle zdołały odmienić, dla tego stosowna jest dla niego ta para wierszy: My rządzim światem, a nami kobiety. Doniesiono raz królowi, że znajduje się w Warszawie pewien starzec długo żyjący, który sobie przeszło sto lat liczy, zawsze zdrów i czerstwy. Król, ciekawy dowiedzieć się o jego sposobie życia, kazał go do siebie przywołać. Po kilku zapytaniach, jemu czynionych, chciał się dowiedzieć o jego skłonnościach do kobiet. Na to starzec odpowiada, że nigdy się nie żenił i dotychczas nie znał kobiety, na co król krótko odpowiedział: Toś kiep! i odwrócił się od niego.“

XII.

Kochanki tytularne. — Kategoria pośledniejsza. — Sfinks. — Tinetta. — Bon Diable. — La Petite. — Marcyanna Konstancya L — Tajemnicze posłuchanie. — Król ami et confident. — Traktat. — Un mari philosophe. — Ślub Reverdila. —
Niewesoły powrót.

Obok kochanek tytularnych, jeśli się tak wyrazić godzi, snuło się na dworze Stanisława Augusta, już w początkach jego panowania, grono kochanek przygodnych, zmienianych często i zastępowanych innemi, o których kronika skandaliczna epoki nie pozostawiła wzmianek.

W poufnej korespondencyi króla z panią Geofrin, znajdujemy nazwiska owych pań, ukryte pod przejrzystemi, a często i przysłoniętymi grubym welonem pseudonymami.

W roku 1768, dnia 6 lipca, król, pisząc do swojej przyjaciółki do Paryża, wspomina o Sfinksie, o Tinecie, o Dyabelku, z zapewnieniem ich uczuć przyjaźni dla cudzoziemki¹⁾. Jednocześnie wzmian-

¹⁾ *Tinette est toujours bonne et vous aime beaucoup; le Sphinx a toujours le même mérite et les mêmes torts. „Corresp.,” 345.*

kuje o jakiejś Małej (*la Petite*), usprawiedliwiając ją w oczach przyjaciółki, z powodu oznak obojętności, jaką jej za pobytu w Warszawie okazywała ¹⁾.

Była to prawdopodobnie cudzoziemka, jak większa część tych, do których król przelotne żywił upodobania; a jakkolwiek nazwisko owej Małej okrywa nieprzejrzana tajemnica, jednakże, dzięki Reverdilowi, jesteśmy w możności ujawnić jej imię chrzestne przynajmniej i rolę dosyć charakterystyczną, jaką w życiu naszego pamiętnikarza mimowolnie odegrała.

Szereg nieprawych dzieci Stanisława Augusta, do których zaliczano: Stasia, Michała i Kazimierza Grabowskich, Cichockiego, Cichocką, zameżną Żwan, poprzedził w r. 1768 chłopiec, zrodzony z niejakiej Marcyanny Konstancyi L.

Dnia 17 września 1769 r. wezwał król poobiednią porą Reverdila do swego gabinetu.

„Domyśliłem się, że ma mnie coś ważnego do powiedzenia... Jakoż, scena była wzruszającą (*La scène fut touchante*). Mówił do mnie w charakterze przyjaciela i powiernika (*en ami et confident*). Przy-

¹⁾ „*Je ne m'étonne pas — pisal król — que vous vous souveniez désagréablement des froideurs de la Petite; mais j'en sais une raison, qui la disculperait à vos yeux mêmes, s'il m'étoit possible de vous la dire. Mais croyez moi, je vous dis la vérité, par justice seule et sans aucun intérêt, car la Petite et le Bon Diable ont pris les mêmes chemins. Je ne vous demande pas d'aimer la Petite, car cela ne se donne pas, mais elle serait trop à plaindre, ainsi si vous lui marquez trop d'éloignement, vous êtes genereuse, a tanto basta.*” „Corresp.,” 346.

rzekł mi powiększyć pensję do 700 dukatów i zapewnił o swojej przyjaźni. Rozstaliśmy się, pełni najserdeczniejszych dla siebie uczuć i z sercem tak lekkim, jakiegom już dawno nie odczuwał.“

Przedmiotem poufnej konferencji między królem a jego lektorem było, jak się okazuje, ustąpienie formalne praw do owej Marcyanny Konstancyi L. (*Il m'accorda la Petite en forme*) za cenę zdwojonych łask królewskich i widoków świetniejszej na przyszłość karyery.

18 września, poobiednią porą, owa Mała otrzymała z ust króla stwierdzenie zawartej umowy, a nadto Stanisław August ustąpił Reverdilowi jakieś „pretensye,“ z powodu usług nadzwyczajnych i uciążliwych (*il me céda enfin les pretensions qu'il a pour services extraordinaires et onereux*)¹⁾.

¹⁾ W tablicy 139 (T. III, str. 43) „*Dziejów*“ Korzona wymienione są pozycye „wyłabudanych“ przez króla datków, w pierwszej epoce jego przedrozbiorowego panowania. Figurują tam pod r. 1768 sumy, otrzymane tytułem odszkodowania dochodów królewskich, niewielkie nawet, bo po 3, 4 i 5 tys. dukatów. Być może, że o jednej z takich pozycji mówi Reverdil. Ogólna suma tej kategorii wyniosła za lat 7 około 200 tys. dukatów. „Za tyle upokorzeń, goryczy i służalstwa — pisze Korzon — zapłata była za skąpa. Sumienie Stanisława Augusta było w niskiej cenie.“ A dalej: „Nie wszyscy monarchowie zdolni są do bohaterstwa, nie wszyscy umierają w obronie niepodległości państw swoich, ale prócz dwóch ostatnich Stuartów z w. XVII, żaden wśród najprzedajniejszego otoczenia nie wyciągał ręki po cudze datki. Jedna Polska doczekała się szczególnego losu, że miała króla przedajnego“ (str. 46).

Wieczorem nastąpiła między skojarzonymi w sposób tak dziwny, przypominający komedję „*Małżeństwo z rozkazu*,” oblubieńcami, ratyfikacja zawartego układu w obec króla. Przyczem król obdarował swoją ex-kochankę zegarkiem złotym, a wypita butelka węgrzyna stanowiła litkup...

Warunkiem układu było bezwłoczne poślubienie „Małej.”

24 września 1769 r., w wileń ślubu, zgłosił się Reverdil do króla z oświadczeniem, że gotów jest dnia następnego odegrać małżonka-filozofa... (*un Philosophe marié*).

— Bądź nim! nastawał król.

— Winienbym wprawdzie, odrzekł Reverdil, zażądać od moich rodziców przyzwolenia. Nie mogąc wszakże tego uczynić, poprzestaję zupełnie na przyzwoleniu Waszej Królewskiej Mości.

Na to król:

— Jeśli ja będę szczęśliwym i ty nim będziesz...

Przed samym ślubem, król raz jeszcze udzielił posłuchania Reverdilowi.

— A więc masz już postronek na szyi? (*corde au col*), zapytał z uśmiechem pana młodego.

— Właśnie idę go sobie założyć, odrzekł Reverdil i jednocześnie zamierzał przedstawić królowi układ piśmienny, zawarty z oblubienicą.

— Dosyc będzie czasu nazajutrz, odrzekł król.

„25 września 1767 — czytamy w pamiętniku — w kościele św. Jana otrzymałem błogosławieństwo ślubne z Marcyanną Konstancją L., w przytomności

„wują“, „ciotki“, pani Reyner, Dunefgemain'a, Pfeidera¹⁾, O'Connora, z którymi spożyliśmy wesoło wieczerzę, a po wieczerzy każdy poszedł do siebie na spoczynek, nie wyjmując i mnie, com samotny w zamku spać się ułożył²⁾.

„Deszcz padał dzień cały, lecz ustał nad wieczorem i pozwolił nam pieszo wrócić do domu. Damy natomiast powróciły karetami“.

Bezpośrednio po owej notatce następuje wzmianka, iż nowo-zaślubiona wyjechała do Szwajcaryi *parcequ' je n'avais pas le moyen de l'entretenir...*

Drugi dopisek pod datą 25 września 1769 r. brzmi:

„Był to właśnie dzień, w którym otrzymano wiadomość szczęśliwą o pogromie Turków i zdobyciu Chocima... Moja odzież, ciągle ta sama, co przed trzema laty, gdym się po raz pierwszy królowi przedstawiał; bielizna też sama, jaką otrzymałem przy wyjeździe z Genewy“.

Owo zestawienie wypadku politycznego z własną pensją, w dzień ślubny i przywiedzione wyżej okoliczności, mogą obywać się bez wszelkiego komentarza.

Widoczna tylko, że król, pragnął w sposób tak wysoce bezceremonialny pozbyć się tanim ko-

¹⁾ Pfeiderer, radzca dworu, doktor filozofii, profesor matematyki i dyrektor studyów w korpusie kadetów. Liske: „Cudz. w Polsce“, str. 235.

²⁾ Sprawdzalem w archiwum kościoła Farnego, czyli niema tam aktu ślubu Reverdila, lecz księgi z r. 1769 zagięły czasu późniejszych zamieszek.

sztem kochanki, pod warunkiem, aby Reverdil przyjął na siebie obowiązek opiekowania się synem Marcyanny Konstancyi L., który, jak dowodzi notatka z r. 1772, wysłany został do matki swej do Szwajcaryi, lecz w drodze umarł.

— *C'est eux, le Roi, la Cour, Glaire, qui l'ont tué* — pisze Reverdil i dodaje: *Quod Deus benevertat!*

Jednocześnie znajdujemy rachunek Reverdila, przedstawiony królowi, w którym „za wyprawienie Małej do Szwajcaryi,” likwiduje sobie sto dukatów, a za „wysłanie syna, oraz powrót z drogi mamki,” takąż samą kwotę...

XIII.

Kanonik Ghiggiotti. — Albertrandy. — Pobyt dworu w Łazienkach. — Nowy romans z pułkownikową Dahlke. — Zajście z marszałkiem dworu. — Sąd króla. — Życie dworskie. — Z kroniki Magiera.

Następuje znowu dłuższa w pamiętniku przerwa i dopiero rok 1774 obejmuje notatkę, w której Reverdil podnosi swoją bezinteresowność, z powodu zrzeczenia się posady sekretarza komisji edukacyjnej, jaką mu prałat Ghiggiotti podówczas chciał wyjednać.

„Odpowiedziałem, że nie jestem rad stapać po piętach ex-jezuity Albertrandego, który mi przed kilkoma dniami wspominał, że ma posadę na widoku dla mnie, i że pragnę pozostawić królowi przyjemność nagradzania krajowców, chociaż Albertrandy krajowcem nie był“.

„Król, uprzedzony o mojej odmowie, bardzo był nią przyjemnie wzruszony i nadmieniał, chcąc mnie pocieszyć, że to, co było przywiązane do owej posady, było czysto idealnem, i że się postara w inny sposób mnie zadowolnić“.

W lipcu 1775 r. król przeniósł się do Łazienek i zabrał ze sobą Reverdila.

Z notatek z owej epoki okazuje się, że nową kochanką przygodną Stanisława Augusta, była niejaka pułkownikowa Dahlke (z domu Ciecierzyńska), i, że król, znudzony tym stosunkiem, postanowił narzucić go znowu swemu usłużnemu lektorowi, w taki sposób, jak to już poprzednio z Marcyanną Konstancyą L. uczynił¹⁾.

Na przeszkodzie jednak stało tu formalne małżeństwo Reverdila; lecz była to przeszkoda widocznie łatwa do usunięcia, skoro już w maju 1775 r. zaczął nasz lektor czynić listowne staranie o wyjednanie zgodnego z Marcyanną Konstancyą L. rozwodu...

„Cóż mi pozostało — pisze Reverdil — jeśli nie mam żadnych na przyszłość widoków, a uczynione mi obietnice stały się dla mnie źródłem przykrości?”

Romans z pułkownikową Dahlke rozpoczął się na dobre, za pobytu dworu w Łazienkach. Czuła para gruchała ze sobą w cienistych alejach parku na spacerach. Pewnego razu generał Komarzewski i St. Wodzicki, napotkawszy panią Dahlke w stroju, przypominającym barwy królewskie (niebieską i białą), zaprotestowali przeciw temu nadużyciu. Sprawa wywołana została przed sąd króla, który poradził Reverdilowi, aby na przyszłość unikał tak jawnych dowo-

¹⁾ O nazwisku pułkownika Dahlke wspomina Korzon. T. IV, cz. II, str. 120.

dów pobłażliwości króla, ze względu na otoczenie dworskie.

Opisuje Reverdil i inne przykrości, doznane w Łazienkach ze strony marszałka nadwornego, Rzewuskiego, który odmówił Reverdilowi prawa uczestniczenia w wieczerzach królewskich i wyznaczył mu stół u kredencera Tremo¹⁾, w towarzystwie sekretarzy: Pocubiatto i Correvona.

Innem źródłem przykrości Reverdila było zażądanie od niego rachunku z wydatków na utrzymanie biblioteki.

„Żądają odemnie — pisze — rachunków, które od lat dziesięciu składałem co miesiąc, a mogłem już wiele kwitów zatracić. Na szczęście, odnalazły się wszystkie i moi prześladowcy poniosą zasłużoną karę“.

„14 stycznia 1776 r. król, wyjeżdżając na polowanie, życzył mi na pożegnanie: *salus, honor, argentum et bonum appetitum!* Honor i pieniądze dawno mi się już należą, dobrego apetytu mi nie brak...”

„Zapomniałem dodać, że po zamachu zarządzono nadzwyczajne środki ostrożności w zamku i dostępu do króla mi wzbroniono“²⁾.

„Położenie moje wcale się nie zmieniło. Jestem, jak byłem, biedakiem, a król zamiast mieć nademną litość, często szydzi sobie z mego położenia.

¹⁾ Jakób Tremo, *petit maitre d'hotel*. Korzon, III, 15.

²⁾ Mowa tu o zamachu listopadowym Łukawskiego, Cybulskiego i inn., ukaranych śmiercią przez sąd, przez Ponińskiego złożony.

— „Kiedy się jest na dworze, rzekł raz do mnie, należy się do tego stosować...”

„Radbym uczynić temu zadosyć, cóż, kiedy środki na to nie pozwalają, a król ma dosyć środków do zaspakajania chciwości innych faworytów i faworytek, choćby np. takiej pani Vulliaumez i panny Buonafini, która za dwie noce otrzymała aż trzy tysiące dukatów...”

Żali się Reverdil na szczególną łaskawość króla dla Bacciarellego, który z pensyi 1.300 dukatów przeszedł na 2.000 dukatów i otrzymał prócz tego darmo budulec do domu, jaki sobie podówczas stawiał.

W owej epoce król Stanisław rozwinał nadzwyczaj starania około upiększenia stolicy i otaczał się ciągle artystami, wydatkując na nich niepomierne wysokie sumy.

Przytaczamy tu nieznany dotąd ustęp z kroniki Magiera, dotyczący artystycznego świata, jakim król się otaczał¹⁾.

„Sławny malarz Bacciarelli umiał skłaniać ku sobie przychylność króla i zdaniem jego kierować, gdy szło o wystawę nowej budowli, lub stanowienie wyboru w malarskiej lub rzeźbiarskiej sztuce. Część gmachu zamkowego przeznaczona była na pracownię i szkołę tych dwóch nadobnych kunsztów. W malarzni uczniowie pracowali pod okiem Bacciarellego. Malarz Paderewski utrzymywał porządek co do na-

¹⁾ K. Wł. Wójcicki w „*Archiwum domowem*” część tylko notat Magiera zamieścił.

rzędzi i licznych wzorów, do tej szkoły potrzebnych. Biegli rzeźbiarze: Le Brun i Monaldi wyborne swej sztuki wydawali płody; pamiętny Franciszek Pink, którego dłuto wystawia nam w Łazienkach posąg Jana III w r. 1788, w rok po powrocie króla Stanisława z Kaniowa.

Warszawa posiadała natenczas znaczną liczbę celujących artystów. Bardzo biegły w malowaniu *al fresco* Canaletti, doskonały co do zdejmowania widoków z natury i którego robotą ozdobiony jest pokój perspektywny; Casanova sztukator. Z Polaków ulubiony Jasiński, co do ścian pokojowych. Byczkowski, ormianin, który słynął w oddawaniu sztucznych arabesek. Ustanowił król szkołę do rysunków i polecił ją nauczycielowi, Janowi Norblinowi. W tej to szkole między uczniami celował Orłowski. Z portrecistów sławny był Mirrhys, Marteau i jego uczennica Rajeka, celująca później w Paryżu. Sławny w wesołym kolorycie Lampi, Grassy, Tympont, co do suchych farb, czyli pasteli, Plesch, Wall, Czechowicz, Smuglewicz, Wojniakowski, Adam Pink, syn rzeźbiarza. Z budowniczych: Fontana (pałac Potockich na Krak. Przedm.), dom Wasilewskiego, Dzieciątka Jezus, pałac Bielińskich (na ulicy Królewskiej), Merlini, któremu pomocną była córka Maryanna (Łazienki, pałac Jabłonowskich, dziś ratusz, kościół Bazylianów na Miodowej). Po Merlinim Kubicki (sklepienia pod ogrodem zamku królewskiego), Schröger (facyata Karmelitów na Krak. Przedmieściu i domu Teppera na Miodowej), Zug (kościół ewangelicki i dom Rezlera), Kamzecer (pa-

łac Tyszkiewiczów na Krak. Przedm. i pałac Krasieńskich), Schwartz, Schütz, Lessel. Major inżynierów, Zawadzki, budował koszary, facyatę konwiktu Pijarów. Architekt Aigner — facyatę Bernardynów, nakładem klasztoru, Stan. Potockiego i Kwiecińskiego, obywatela — dzwonnice przy tym kościele i wystawił galeryą jońskiego porządku, z łazien Marcella naśladowaną. Przekształcił pałac dawniej Radziwiłłów, dziś Namiestnikowski, wystawił kościół św. Aleksandra, na Nowym Świecie na wzór Panteonu, kościół Opatrzności w ogrodzie botanicznym i Narodowy Teatr na Placu Krasieńskich¹⁾.

Z innych źródeł współczesnych dowiadujemy się o bogactwie zbiorów prywatnych króla, na które wielkiełożył wydatki. Składały się one z trzech szaf z miedziorytami; szafy z portretami, rękopisami, obejmującymi przeważnie rzeczy polskie. Były tam zbiory antyków, gemm, kamei, wyrobów z kości słoniowej, modeli maszyn, wykonanych przez Neugebauera, mechanika warszawskiego, wreszcie szafa z instrumentami fizycznymi²⁾.

Z lepszych obrazów w zamku królewskim wyliczają z owej epoki: wielki portret królewski w całej figurze, malowany przez Bacciarellego, obraz, przedstawiający elekcyę Stanisława Augusta

¹⁾ Otwarty 25 listopada 1779 r. w rocznicę elekcyi króla Stanisława sztuką „*Amant, autor i sługa*,” w której miał rolę Wojciech Bogusławski, już od r. 1777 grywający w dawnym teatrze w pałacu Radziwiłłowskim.

²⁾ Liske 237. Inwent. zupełny pośmiertny u Korzona, III, 90, 91.

pod Wolań przez Canalettiego. Portret Zygmunta III-go na koniu, darowany królowi przez miasto Toruń, mały obraz Bacciarellego przedstawiający scenę, kiedy król powrócił uwolniony z rąk konfederatów do zamku i wiele innych ¹⁾).

¹⁾ Liske, 249.

XIV.

List króla. — Refleksye Reverdila. — Karyera Eliasza Reverdila na dworze
duńskim. — Porównania. -- Starania Glaira. — Przywilej na Jaworów. — Bo-
scamp. — Podarunek.

Notatka z d. 10 kwietnia 1776 r. obejmuje szereg jeremiad nad niewdzięcznością króla pomimo świadczonych mu usług.

„Otrzymałem — pisze Reverdil — list króla, wyrażający żal z powodu trapiącej mnie obecnie dolegliwości, lecz jeśli się ma choć trochę sympatyi dla mnie, jakże można zostawiać mnie w takiej niepewności, wystawionego na wszelkie cierpienia fizyczne i moralne? Jakże pogodzić ów szacunek, jaki się to niby dla mnie żywi, z ową miernością fortuny, w jakiej pozostaję, pomimo wszystkich usiłowań moich, aby los swój polepszyć? Istotnie, gdy się zważy, jaki to majątek zbił p. Bert w rodzinie Mniszchów, p. Vulliaumez u księcia Adama, gdy następnie się zważy, że rodzina Potockich zapewniła 6.000 dukatów p. Auberjenois i Constançonowi, inni zaś, Potoccy, 2.000 dukatów p. de Cerene za trzy

tylko lata usług, gdy się zważy, że król duński dał 6.000 dukatów i prezenta w powozach i szkatułce złotej bratu memu, przy wróceniu mu wolności¹⁾,

¹⁾ Powołana tu okoliczność odnosi się do głośnego w dziejach duńskich wypadku, w którym Eliasza Salomona Reverdila, radcę tajnego i mentora słabego na umyśle króla Chrystyana VII, niepoślednią odegrał rolę. Poślubiona przez króla duńskiego Karolina Matylda (1766 r.), siostra króla angielskiego Jerzego III, niewiasta usposobienia żywego i wyobraźni ognistej, nie znalazła na dworze duńskim w otoczeniu swego małżonka tego szczęścia, jakie w małżeństwie znaleźć się spodziewała. Król Chrystyan, poddany szkodliwym wpływom dworzanina Holcka i metresy swojej, Milady, zatrulił pierwsze chwile pobytu młodej królowej w Danii. Oddany rozkiełznanym namiętnościom, zniszczył zdrowie fizyczne i niezbyt silny z natury umysł, pozostawiwszy młodą kobietę pokusom otoczenia dworskiego. Wezwany na dwór królewski dr. Jan Fryderyk Struensee, stał się niebawem nieodłącznym towarzyszem i doradcą osamotnionej przez króla kobiety, a wpływ jego wzrósł do tego stopnia, że go w r. 1769 zamianowano radcą stanu, lektorem króla i królowej. Mieszkając w pałacu Christiansborg, w bezpośrednim zetknięciu z królewskimi małżonkami, budził zawiść w otoczeniu i stał przedmiotem nienawiści królowej Juliianny, wdowy po Fryderyku V, która z niechęcią i żalem widziała tron duński w posiadaniu Krystyna VII, z wrzekomem ubliżeniem prawom syna jej, Fryderyka.

W miarę wzmagania się wpływu Struenseego na dworze, tracił król Chrystyan na powadze w oczach dworzan; natomiast wzmagala się dzikość jego, graniczaca prawie z obłędem. Jedyne go doradcę swego i przyjaciela, Eliasza Reverdila, człowieka zacnego, wysokich zdolności dyplomatycznych i uczciwości wypróbowanej, w przystępie gniewu skazał na wygnanie, z którego go dopiero Struensee wyzwolił, wezwawszy napowrót do zamku Hirschholm. Rola, jaką po powrocie swoim z wygnania odegrał Reverdil, wy-

gdy się widzi, co Jego Królewska Mość uczyniła dla p. Barnevala, Pattersona, Ghiggiottiego, Baccia-

wołała najżywsze pochwały z ust historyka owej epoki: „*Tant que le roi fut guidé par les conseils de la reine et de Reverdil, il ne compromit pas la dignité royale aux yeux du public et l'union regna dans le ménage royale*“ (Lagrèze, str. 140). Wiadomo, jak fatalny koniec miały rządy Struenseego na dworze duńskim. Oskarżony przez królowę-wdowę Julianę o stosunki miłosne z królową Karoliną Matyldą, skazanym został wraz z ministrem Brandtem na śmierć męczeńską w r. 1772. Jednocześnie wyrzeczonym został rozwód między królewskimi małżonkami. I w tym wypadku Eliasza Reverdila okazał się mężem podniosłego ducha, odwagi i sprawiedliwości niezłomnej. On jeden ośmielił się podnieść głos w obronie potępionej królowej, a memoriał, jaki podówczas w charakterze b. mentora króla ogłosił publicznie, świadczy o charakterze prawym Reverdila.

„Czyż nie prawda, Najjaśniejszy Panie — pisał — że od początku Twego małżeństwa nie okazywałeś najmniejszego szacunku dla świętości związku małżeńskiego? Czyż nie prawdą jest, iż kilkakrotnie wyrażałeś się, że zwalniasz żonę swą od ślubu wierności? Czyż nie jest prawdą, żeś sam podniecał dworzan do nadskakiwania królowej? Czyż nie mawiałeś przed wieloma osobami, że pieszczoty królowej są dla Ciebie wstrętnemi? że największem nieszczęściem Twojem jest obowiązek zajmowania się Nią? Komisarze Twoi mieli czelność domagać się od królowej wyjawienia jej współników. Wszyscy Jej przyjaciele wtrąceni zostali do więzienia, okuci w kajdany, a mimo to milczeli. Lecz to, czego oni nie wypowiedzieli, sumienie Twoje winno wyznać. Tyś sam był jedynym Jej kusicielem! Czy przypominasz sobie, Najjaśniejszy Panie, chwilę, gdy ta księżniczka, którą obecnie potępić pragną, powierzona została Twojej miłości i prawości? Anglicy oddali ją samą Twojej opiece, pozbawioną rad przyjaciół. Zaledwie wyszedłszy z dzieciństwa

reilego, Canalettiego, Boecklera i Glaira, wtedy dopiero poznaje się własne upośledzenie. Mógłbym wraz z panem Fréron wyrzec: *Et à moi — rien!*

Do wydziału bibliotecznego przyłączono w r. 1776 dział rycin, skutkiem czego Reverdil prosił, aby mu do pomocy dodano p. Correvon, na co król zgodzić się nie chciał, z uwagi, *qu'il ne convenoit pas se charger de nouveaux serviteurs, quand on pouvoit à peine payer les anciens...*

Wówczas to już nastąpiła epoka reform znacznych w wydziale skarbowym. Sejm skonfederalo-

zachowała jego urok, niewinność i naiwność, lecz umysł Jej podniosły budził podziw w otaczających. Byłeś tem zdumiony. Wszystkie serca zwróciły się ku Niej. Jej miłosierdzie obudziło sympatyę dla Niej we wszystkich warstwach narodu. Czyż i wówczas nie zaniedbywałeś żony, aby wraz z faworytem swoim i nędznymi jego komparsami oddawać się wybrykom lubieżności? Okazywałeś królowej więcej niż obojętność. Królowa kochała Cię i milczała, zachowując spokój pozorny w obec dworzan, i płacząc po kątach na łonie ochmistrzyni dworu. Była to osoba zaufania. Pozbawiłeś Ją tej pociechy i dałeś Jej w zamian siostrę swego faworyta. Otoczyłeś królowę kobietami moralności dwuznacznej. Cóż może więcej uczynić mąż-prowokator, o jakim wzmiankuje prawo? Człowieka, którego oskarżają o współnictwo w cudzołóstwie, sam narzuciłeś królowej, wtedy, gdy go od siebie odtrącić pragnęła. To Ty sam złamałeś przegrodę, jaka go od królowej oddzielała. To Ty sam tolerowałeś te stosunki występne! Błędy Twoje, Najjaśniejszy Panie, są nieodłącznymi od błędów żony Twojej. Choćby cały świat Ją potępiał, Tobie potępiać jej nie wolno. Zabrania Ci tego uczucie szacunku dla samego siebie, jeśli już nie uczucie sprawiedliwości bezwzględnej!“ De Lagrèze: *La reine Caroline Math. et le Comte Struensee*, str. 222.

wany r. 1776 pokasował wiele łupieżkich nagród, i zmniejszywszy wydatki skarbowe prawie o połowę, obciął też znacznie listę cywilną królewską (Korzon, III, 55), z której część wydatków szła na utrzymanie prywatnej biblioteki króla.

Dopiero za staraniem niejakej pani Devillier, guwernantki w domu księcia Jabłonowskiego i jej wychowanicy, która miała poślubić wielkiego hetmana Branickiego, posada pomocnika do wydziału rycin powierzona została panu Correvonowi.

W październiku 1776 r. notuje Reverdil, że nie mogąc opędzić kosztów utrzymania powozu i koni, sprzedał je i pozyskane z tego źródła pieniądze oddał opuszczonej przez króla pani pułkownikowej. Natomiast najął sobie Reverdil za umiarkowaną cenę „dworek“ w pobliżu miasta, aby mógł korzystać z mieszkania i ogrodu letnią porą.

„Wreszcie za staraniem pana Glaira (któremu niech Bóg błogosławi!) wyjednany mi został od króla przywilej na miasteczko Jaworów na Litwie, w parafii Soleckiej ¹⁾, przedmiot sporny, który może coś stanowić, albo też być niczem, co zobaczymy zresztą w roku przyszłym.“ Natomiast, jezuita Albertrandy, który pełnił przez kilka miesięcy czynności lektora, otrzymał ze szkatuły króla 200 dukatów pensyi stałej.

„Pracowałem usilnie przez lat dwanaście i należy mi się nagroda. Król duński uczynił wiele dla brata mego, choć nie był do tego zobowiązany

¹⁾ „Słownik geogr.“, III, 59.

w takim stopniu, ile J. K. Mość za tyle moich trudów, względów i małżeństw.“

Ostatnia ta wzmianka dowodzi, że już w owym czasie uważał się Reverdil za prawego następcę króla w stosunku do pani Dahlke.

„Nie wspominam tutaj o misyi p. Boscampa Lasopolskiego do Konstantynopola¹⁾, jako o krzywdzie mnie osobiście wyrządzonej. Nie jestem waryatem, a jednak może to służyć za przykład, jak nieodpowiednio los darzy swemi łaskami ludzi jednakowo uzdolnionych...

„Król mówi mi: Przybyłeś tu, aby być lektorem, a nie masz ani oczu, ani płuc... Lektor bez oczu i bez głosu!“

„A cóż znaczą prace moje tyloletnie, w których dałem przecie dowody i dobrych oczu i dobrych płuc, czytając po ośm godzin dziennie w dwóch posiedzeniach, po pięć i po trzy godzin!“

„Powyższe słowa były mi powiedziane nawet bez cienia złośliwości w chwili, gdym był zaproszony do stołu królewskiego.

— *Ce que je veux dire* — rzekł mi król na wstępie — *ne doit rien vous faire, vous savez que je suis fort content de vous!*

„22 marca przedstawiłem imieniem pułkownikowej Dahlke rachunek za broń turecką, złożoną

¹⁾ Boscamp był Wołoszynem. Ciemna ta figura służyła prawdopodobnie jako „kanał“ do komunikowania listów króla posłom państw ościennych. Powieszonym został Boscamp w r. 1794 przez lud warszawski. Korzon, III, 19.

z czterech szabel, jednego kandziaru, 1 strzelby damasceńskiej, srebrnej, ocenionych na 1.500 dukatów.

„Przyznano za to dziesięć dukatów miesięcznie, w oczekiwaniu czasów lepszych. Nie jestto wcale podarunek, jeśli się zważy, że to ma służyć dla dwojga osób, z których jedna ma dziecko na wychowaniu...

„Jestto istotnie rzecz szczególna, że podczas gdy byłem sam dręczony niepewnością co do swego losu, musiałem jeszcze prowadzić korespondencye z p. Manou, gazeciarzem z Clêves, który się znajdował w takim samym, co i ja położeniu, i prosić jego imieniem o to, o co ja sam daleko słuszniej miałbym się prawo upomnieć.

„Więc gdy mi Jego Król. Mość poleciła zamówić medal z napisem: *ne cede malis*, z trudnością przyszło mi powstrzymać się od zapytania: czy to raczej względem mnie samego maksyma ta nie jest odpowiedniejszą?

XV.

Nowe rozczarowania. — Wyjazd Glaira. — Marszałek Rzewuski. — Nowy katalog biblioteki. — Pani Dahlke. — Drugie małżeństwo Reverdila. — Ultimatum. — Groźby króla. — Rozwody. — Kanclerz Młodziejowski

Zniechęcenie Reverdila i rozczarowanie podają mu sposobność do coraz częstszych żalów i gorzkich uwag nad nicością własną i zawiedzionemi nadziejami.

„Jeżelim się nie nauczył języka polskiego, jeżeli nie nadskakuję nikomu, jeżeli się zaniedbuję i oddalam od wszystkich, czyż można się temu dziwić? Do czegoż mnie posłużyło postępowanie wprost przeciwne, jeśli każda chwila przynosi ze sobą nowe rozczarowanie? Byłem dotychczas człowiekiem, uganiam się za fortuną; obecnie będę takim, co oczekuje jej z założonemi rękoma, w łóżku...”

„Na domiar, skradziono mi sakiewkę z kilkudziesięcioma dukatami i zegarek wartości 40 do 60 dukatów, lecz, dzięki Bogu, ten ostatni odzyskałem.”

Do zmartwień bibliotekarza przyłączyły się

i ciągle spory z marszałkiem nadwornym Rzewuskim¹⁾, który żądał ustawicznie, aby dla jego osobistych potrzeb ułożonym został oddzielny katalog biblioteczny.

„Czyż można codziennie tworzyć katalogi? — pyta Reverdil. — Czyż zresztą nie jest lepiej, że ich nie ma, jeśli mają służyć jedynie jako ułatwienie w pożyczaniu książek, wywołującym nieład w bibliotece.“

W tym czasie wyjechał p. Glaire z jakąś misją poufną i ustąpił Reverdilowi swego mieszkania. Do pokoju Reverdila przeniesioną została część biblioteki.

„Podczas gdy książki rozrzucone były bezładnie, zuchwały Rzewuski znowu mi zrobił scenę, że nie może z biblioteki korzystać, on, który mnie więcej w ciągu lat dwóch wymęczył, aniżeli król w ciągu lat dziesięciu, on, któremu kilkaset książek wypożyczyłem i który miał ich zwykle parę dziesiątków u siebie! Cóż on takiego dla mnie uczynił, abym tak miał dla niego się trudzić?“

Ze zmartwienia znowu zaniemogłem, a król był tyle łaskaw, że mnie odwiedził, lecz jednocześnie zapowiedział, że mieszkanie Glaira zajmować będę czasowo, aż do jego powrotu.“

¹⁾ O tym Rzewuskim pisze Bernoulli (Liske, 243). Jest on uprzejmym i rozumnym człowiekiem, a jako marszałek nadworny, *grand maitre de la maison du roi* i kasztelan krakowski, używa wielkiego znaczenia.

„Przeszedłszy do biblioteki, król, zamiast dziwić się jej obecnemu wyglądowi, troszczył się głównie o to, abym wrócił do dawniejszego swego mieszkania“ ¹⁾).

Równocześnie znajdujemy notatkę, że za staraniem Reverdila udzielonym został niejakiemu panu Ossoudy przywilej na utrzymywanie lektyk.

„Powinienby mi przecie p. Ossoudy dać jakieś wynagrodzenie z części swoich zysków, osiąganych z tak korzystnego przedsiębiorstwa, lecz zawiodłem się i na tem, jak zwykle...“

„Jakby na domiar przeciwności, król rozkazał mi wieczorami oczekiwać jego zleceń, przez co pozbawiony zostałem sposobności do wieczornych spacerów.“

„Nakoniec około tego czasu, przepelnionego po brzegi kłopotami, pan Correvon zaczął się odemnie domagać zwrotu jakiejś należności za pożyczanie pani Dahlke kilku flaszek wody mineralnej (*eau de Cells*). Ona utrzymywała, że to był prezent, lecz jeśli tak nie było, dlaczegoż mnie się czepiać?

¹⁾ Bernoulli, zwiedzając w towarzystwie Reverdila bibliotekę króla, tak ją opisuje: „Ustawioną jest ona w dwóch pokojach, czy sypialni bibliotekarza i złożoną jest z 5 tysięcy tomów. Co do porządku i zręcznego ustawienia nie robi wrażenia przyjemnego; obejmuje wszystkie nauki, bo król posiada szerokie wiadomości i lubuje się we wszystkich. Dzieł z miedziorytami nie ma tutaj; znajdują się w zbiorze miedziorytów pod dozorem hr. Augusta Moszyńskiego. (Liske, 222).

„Żądałem dodatku dziesięciu dukatów miesięcznie dla owej pani, z powodu kosztów utrzymania jej dziecka, lecz mi odmówiono...

„Zgryziony wszystkimi temi niepowodzeniami, oddałem się zupełnemu zniechęceniu i stąd to pochodzi luka w moich notatkach z lat: 1777, 1778 i 1779. Zanotuję wszakże najważniejsze moje z owych lat przykrości:

„Moje drugie małżeństwo, którego historyi szukać należy w papierach tej pani, lub u mego brata... Miało ono być dla mnie źródłem korzyści, a stało się tylko aktem politowania z mej strony i źródłem przeciwności, spowodowanej następniemi faktami:

„Na skutek próśb pani, Jego Królewska Mość zażądał odemnie *ultimatum* stawianych przezemnie warunków. Między temi warunkami było: polepszenie mego utrzymania, zdwojenie ilości świec, dziesięć dukatów miesięcznie na karete i konia...

„Król nastawał niecierpliwie na przyspieszenie mego małżeństwa i zagroził w przeciwnym razie niełaską. Zgodziłem się, bądź z powodu, żem nie chciał utracić tego, com już posiadał, bądź z powodu nadziei osiągnięcia większych korzyści. Było to zresztą zapisaniem z góry, że się zgubię, gdyż zaledwie krok ten uczyniłem, aliści spotkały mnie udręczenia, z liczby których wymienię te tylko, jakie mnie dotknęły ze strony dworzan.

„Bądź z powodu, że owo małżeństwo, zawarte w r. 1778, sprawiło niewygodę moim sąsiadom (poprzednio mieszkałem sam), bądź, że mi zazdrościli wygodniejszego nieco urzędnika, dosyć, że zaczęli znosić na mnie przed królem plotki. Z biletu dnia 2 grudnia 1778 roku widzieć można, iż najpodrzedniejsza kreatura, stróż (*un strus*), naraziła mnie na to, że król osobiście przybył na miejsce, aby sprawdzić zasadność oskarżenia (?), które uznał za kłamliwe, lecz nie przeszkodziło to nadal, by przez mój pokój wynosić nieczystości...“ (*les ordures*).

Z powyższych notatek wynika, że drugie małżeństwo Reverdila z panią Dahlke przyszło istotnie do skutku. Jaką drogą stać się to mogło, w obec pierwszego małżeństwa z Marcyanną Konstancyą L.? — pamiętnik nie wyjaśnia. Prawdopodobnie wyrzeczonym został rozwód na podstawie zobopólnej zgody, co, w epoce Stanisława Augusta, było na porządku dziennym.

O rozpowszechnieniu się rozwodów i łatwości ich, dowodzą wszystkie z owego czasu istniejące pamiętniki.

Dostateczna powołać w tem miejscu list pasterski biskupa Młodziejowskiego¹⁾, użalający się nad rozluźnionym węzłem małżeńskich ślubów, rzywanym podówczas z nadzwyczajną łatwością i rozpowszechnionym nadmiernie w społeczeństwie,

¹⁾ K. Wł. Wójcicki, „*Arch. Dom.*,” str. 55.

aby to przypuszczenie, w obec faktu nowego małżeństwa Reverdila z panią Dahlke, stało się zasadnem ¹⁾).

¹⁾ Gorszące fakty rozluźnionych węzłów rodzinnych za Stanisława Augusta przytacza J. I. Kraszewski w „*Studiach do hist. ducha i obyczaju*“ ówczesnej epoki. „Rozwody przewidywane były już w intercyzach ślubnych.“ (T. I, str. 147).

XVI.

Księga skarbową. — Pensya Reverdila. — Utrzymanie biblioteki. — Jej wartość. — Kłopoty małżeńskie pana bibliotekarza.

W księdze skarbowej z owej epoki, przechowywanej w prywatnej bibliotece w Warszawie, znajdujemy szczegółowe pozycye kosztów utrzymania biblioteki Stanisława Augusta.

Czytamy tam, że Reverdil pobierał rocznie 14.400 złp., czyli 800 dukatów; vice-bibliotekarz, zamianowany później, ks. Lubański 3.120 złp.; Rożycki 3.240 złp. Urzędnicy do „kupfersztychów”: Merine 4.515 złp., Marival 2.400 złp.; dozór numizmatów kosztował: ks. Albertrandy 4.860 złp.; kopia 864 złp. Lektorowie: Gawroński 4.321 złp., Duhamel 7.200 złp. Astronomowie: Bystrzycki 2.160 złp., Czajkowski do robienia map 1.080 złp. — w ogóle 52.480 złp.¹⁾.

Reverdil podaje, że z początkiem 1779 r. po-

¹⁾ Korzon podaje koszt utrzymania biblioteki według rachunków z r. 1787 na 46.300 złp.

bierał na koszt utrzymania biblioteki $16\frac{3}{4}$ złp. miesięcznie, a nadto, że odjęto mu 30 świec.

W r. 1778 rozkazano masztalerzowi Döbelowi dać Reverdilowi wierzchowca, lecz wybrano dlań nędzną szkapę i zabroniono koniuszemu towarzyszyć panu bibliotekarzowi na spacerach w liberyi dworskiej.

„W latach 1778 i 1779 — pisze Reverdil — upadek spraw publicznych, ogólne zubożenie, rozbiór kraju, rozrzutność króla z jednej strony, a zobojętnienie jego na los mój, z drugiej, zawieszenie wypłaty pensyi z kasy, śmierć mojej matki, wady mojej żony, jej choroba, nieszczęśliwy poród, zawiść dworzan, dokuczliwość ze strony sąsiadów, lenistwo mego pomocnika, napełniły umysł mój czarnemi myślami, w obec przeświadczenia, iż w ciągu lat piętnastu do niczego nie doszedłem, i że odejdę jeszcze biedniejszym, aniżeli nim byłem, tu przyjechawszy.“

„Wiadomo, że już w r. 1777 koszt utrzymania biblioteki zredukowanym został do 20 dukatów miesięcznie, z czego strącając 3 dukaty na służącego, na drobne wydatki, atrament, pióra, ołówki, piasek; 2 dukaty na świece, odjęte mi od czasu małżeństwa, zostało zaledwie 15 dukatów. Za te pieniądze król często polecał mi kupować książki notowane podczas odczytów, sprowadzać klasyków i t. p., co mnie wprawiało w stan wielkiego rozgoryczenia“

„Pewnego razu zażądał król podania sobie wartości biblioteki. Odpowiedziałem, że wartość ta wyniesie od 3 do 4 tysięcy dukatów.“

„Następnie zażądał król od następcy mego, ks. Gawrońskiego, lektora, abym złożył rachunek z wydatków moich miesięcznych na bibliotekę. Złożyłem ten rachunek za lata 1776—1779, z którego mi się okroiło może 51 dukatów.“

„Rachunek ten odczytano, sprawdzono i zatwierdzono bardzo łaskawie, z czego byłbym bardzo zadowolony, gdyby nie owa szczególna zasada, według której sądzą, że powinienem być i pozostać na zawsze biedakiem...“

„Z obliczenia wypadło, że pobieram pensyi około 1.000 dukatów, licząc już w to stół 120 dukatów dla pani Dahlke i 120 dukatów na utrzymanie małżeństwa.“

„Król uznał ów rachunek za wygórowany, com poznał z wykrzyknika: *ouf!* jaki zrobił; przyczem zauważył, że p. Ogrodzki nie pobiera wyższej pensyi, choć różni się odemnie wiekiem i stanowiskiem.“

„Poprzestałem na odpowiedzi, że p. Ogrodzki jest bogaty, i rad byłem dodać, że gdybym miał tyle, ile on, chętniebym darmo służył; nadmienilem jednak, że nie mam ani starostw, ani królewszczyn, ani kaduków, ani beneficjów, ani posady w Radzie nieustającej, i że gdyby J. K. M. podobało się dać mi na chleb i wodę dla owych dwojga dam, którymi byłem obciążony (*à ces deux dames, dont j'étois chargé*).“

„Jakkolwiek zwiększenie stołowego było jednym z warunków mego małżeństwa, nic mi na to nie dodano, a przecież tyle razy prosiłem, aby pani

Dahlke miała przynajmniej czemś ugasić pragnienie, tak, abym w obec moich miernych dochodów nie był tak obciążonym... Ile to razy prosiłem, aby jej wypłacono odrazu należność za broń, a tymczasem dotychczas wypłacono za to dziesięć dukatów. Jeżeli mimo to nie mam możliwości rozwieść się (*me dèmarier*), to dlaczegoż mam być pozbawiony drugich dziesięciu dukatów miesięcznie.“

„Takim jest źródło mego majątku, do jakiego doszedłem po 15 latach utrapień, między którymi najmniejszymi są: moja ekspatryacya, zależność i dwa małżeństwa.“

„Aby ocenić, że ów majątek nie jest wielkim, dostateczna zauważyć, że otrzymuję: 1) dla pierwszej mojej żony dukatów 10, 2) na utrzymanie moje, stół i powóz 60 dukatów, na wydatki miesięczne 20 dukatów. Dodawszy do tego wydatki nieprzewidziane, łatwo poznać, że zamiast utracić niezależność i przywiązać sobie kamień do szyi, lepiej było rzucić się w morze, aniżeli przybyć tutaj, do Polski.“

„Nawet lokaje dworscy i kamerdynerowie są bogatsi odemnie i od moich kolegów: Rieul'a, Bacciarellego, Merliniego, Lebruna, Glair'a, Ghiggiottiego, nie mówiąc już o krajowcach: np. o Ogrodzkim, z którym śmiesznie byłoby porównywać się, gdyby nie przytoczony przez króla samego przykład. Nareszcie, nie mówię tu o bardzo wielu osobistościach hojnie nad zasługi nagradzanych, jak np. o księżnej kanclerzynie, Tomatysowej, Schütterowej i wielu innych pośledniejszych, jak np. p. Vulliaumez.“

XVII.

Asygnacya na Blanca. — Encyklopedya. — Magna Charta. — Correvon. — Dokuczliwość pani Dahlke. — Spór o dwadzieścia dukatów. — Koszta dwóch małżeństw. — Proces z wierzycielami pana Dahlke. — Komisya ekonomiczna.

22 lutego 1780 r. król dał Reverdilowi asygnacyę na bankiera Blanca, celem sprowadzenia z Paryża książek, zamówionych przez kawalera St. Leu u księgarza Saugrain, który już od roku wstrzymywał transport, z powodu niezapłacenia mu kwoty 1.048 dukatów ¹⁾).

Gdy książki te nadeszły, zażądał król, aby Reverdil za nie zapłacił z płacy na bibliotekę przeznaczoną.

„Żądają odemnie — pisze Reverdil — nie tylko zapłacenia za transport książek, ale i za transport biustów jednocześnie sprowadzonych, kosztujący przeszło 76 dukatów, choć biusta te nic wspólnego z biblioteką nie mają. Dano mi wprowadzić 50 dukatów,

¹⁾ O tym obstalunku wzmiankuje korespondencya z p. Geoffrin, str. 321 i 441.

lecz ta kwota nie pokrywa kosztów ani jednego, ani drugiego przedmiotu; a ponieważ sprowadziłoby to zamęt w rachunkach, dlatego uznałem za właściwe zaliczyć ową przesyłkę na kredyt króla.“

„29 marca, kiedym składał rachunki królowi, uprzedziłem, że do rachunku tego nie weszła suma około stu dukatów za encyklopedyą, wziętą od pana Sussona i umieszczoną w Łazienkach. Obecnie król wręcza mi ów rachunek Sussona i żąda, abym zań zapłacił. Kiedym odmówił, król zażądał przedstawienia sobie noty, dotyczącej mej pensyi. Trzeba mieć istotnie szczęście! Zaledwie doszedł do czegoś, już żałują tego i chcą mnie ograniczyć. Więc gdy kasa generalna odmawia zapłaty, żądają, abym to, co otrzymuję ze szkatuły królewskiej, obracał na książki. Mamże z głodu umierać, czy też długi zaciągac? Tylko com skończył walkę o siebie, już mnie narażają na walkę o los kobiety!“

Wśród takich sporów zaszło nareszcie „pamiętne porozumienie“ (*une memorable transaction*), mocą którego Reverdil miał od 1 kwietnia 1780 r. otrzymywać z kasy generalnej 60 dukatów, a ze szkatuły królewskiej drugą taką sumę, z której to płacy 100 dukatów miało się liczyć na osobisty rachunek bibliotekarza, a 20 dukatów na bibliotekę.

„Wszystko to byłoby znośnem — pisze Reverdil — gdyby się odnosiło jedynie do uregulowania mego utrzymania, naturalnie, pod warunkiem, że mi dadzą mieszkanie i zaspokoją *ultimatum*, które stanowi *magnam chartam meam*, a mianowicie, jeśli mi dopomogą do pozyskania rozwodu, z zapewnie-

niem o b o j g u m o i m ż o n o m stosownego utrzymania, lub mnie dla ich utrzymywania, gdyż niepodobna, aby to, co otrzymuję, miało starczyć dla trzech lub czterech osób.“

Ze stycznia 1781 r. datuje się notatka:

„Dwór nie przestaje być niesprawiedliwym, Correvon leniwym, moja żona niewdzięczna, ja zaś — pełnym obaw o przyszłość.“

„7 stycznia, po obiedzie, król wziął mnie na stronę, aby mi powiedzieć, bym nie naruszał 20 dukatów, przeznaczonych na książki, gdyż mam dosyć, aby żyć z pensyi, otrzymywanej z prywatnej szkatuły królewskiej. Tyle miałem na to do odpowiedzi, że tylko przecząco poruszył głową. Istotnie, nigdy już nie będę zrozumianym, ani poznanym!“

„14 lutego król wezwał mnie znowu do gabinetu swego, aby się rozmówić ze mną co do pomocnika, jakiego mi dać chce w miejsce p. Correvona, który odchodzi. Nie zaniedbałem tym razem oświadczyć królowi trzech rzeczy głównych, mianowicie: że kwota, jaka pozostaje dla mnie, nie starczy mi na utrzymanie własne i tych, którzy ze mnie żyją, że jeśli naruszę 20 dukatów, to z winy tych, co mnie do tego zmuszają, że jeśli nie mam naruszać owej kwoty, a mimo to nie otrzymuję całkowitej pensyi, to znaczy tyle, ile gdyby mnie w zupełności jej pozbawiono.“

„Na to król upornie utrzymywał, że pieniądze, na bibliotekę przeznaczone, są nietykalne, ja zaś twierdziłem, że takimi powinny być pieniądze dla mnie przeznaczone.“

„Król zażądał, abym mu następnej środy przedstawił wykaz swoich wydatków. Jeżeli to ma posłużyć do tego, aby mi wykazać konieczność oszczędności — jestto wprost śmiesznem, a jeżeli to ma być argumentem do zmniejszenia mi pensyi, byłoby to wprost niegodziwem.“

„Wszystkie te spory mają w sobie coś upokarzającego. Wiedzą przecie dobrze, że nie jestem chciwym, po tylu dowodach mojej bezinteresowności, wobec obciążenia mnie dwiema żonami i dwojgiem dziećmi (*en me chargeant de deux femmes et de deux enfants*), lecz niepodobna mi być bezinteresownym, co do przyszłości, przy względzie, że nie mam dotąd ani fortuny, ani własności. Tegoby nie powinien zapominać król.“

„13 czerwca 1781 r. zażądałem mieszkania dla p. Webera, następcy Correvona, użytkowania z Belwederu podczas lata, stajni i wozowni. Pierwszego i drugiego odmówiono mi; co do trzeciego, kazano mi się zapisać na listę u wielkiego koniuszego Kického i zawiadowcy gmachów, jenerała Rieul'a.“

„Otrzymałem niedawno pozew od kupca Rudnickiego, z żądaniem zapłaty 200 dukatów, za męża mojej żony Dahlke. Oddałem tę sprawę patronowi Baczyńskiemu.“

„W końcu lipca nie otrzymałem jeszcze ze szkatuły króla pensyi za czerwiec, a ponieważ kasa jeneralna nie płaci mi już od roku, jestem w zupełności pozbawiony środków utrzymania i trzeba będzie naruszyć swój kapitalik...“

„Kilka dni temu, gdym szedł do p. Glaira na

Koszyki, aby się przed nim użalić nad strasznym swym położeniem, zgubiłem w Ogrodzie Saskim zegarek złoty z łańcuszkiem, kluczami i pieczętkami, wartości około 60 dukatów.“

„Król, dowiedziawszy się o tem, wezwał mnie do siebie i zapytał, czy zegarek mój był repetyerowym i dodał uprzejmie, że go znalazł. Na niezręczną moją odpowiedź, że to nie był repetyer, sądziłem, że będą tyle uprzejmi i dadzą mi zegarek kosztowniejszy od zagubionego, lecz omyliłem się... Dano mi wprawdzie ładny zegarek, ale nie wartujący więcej od mojego...”

„Zaproponowano mi, abym pożyczył królowi ośm tysięcy dukatów na jego rewers, kontrasygnowany przez wielkiego koniuszego Kickiego.“

„P. Glaire zgodził się pośredniczyć w tej sprawie, na warunkach nieco lichwiarskich, z uwagi na moje ubóstwo; lecz to wywołało protest ze strony Kickiego i Cieciszowskiego, prezesa komisji ekonomicznej, którą właśnie utworzono¹⁾, po uwolnieniu się

¹⁾ Komisja ta ustanowiona została 11 maja 1787 r. reskryptem, który wkładał na nią obowiązek zawierania wszelkich kontraktów, puszczania arend, zawiadywania wszelkimi dochodami, przyjmowania od poddanych i sądzenia skarg na dzierżawców, sprawdzania rachunków i kwitowania kontrybuentów. Drugim reskryptem z tegoż roku zniesiono pensye różnym osobom dotychczas płacone, oświadczone uroczyście, że nad tabele ułożone (budżet) król pod żadnym pozorem nie pozwoli sobie większych wydatków, że asygnacyi, skryptów, zobowiązań się pod jakimkolwiek tytułem wydawać i podpisywać nie zechce, ale je z góry poczytuje za fałszywe, podstępne i uwłaczające majestatowi. Komisja ta składała się z sześciu członków. Korzon, III, 59.

p. Rzewuskiego¹⁾. „P. Glaire postanowił wprost udać się do króla i żądać zawizowania rewersu przez komisję ekonomiczną. Pożyczka miała być spłaconą w lat kilka, co dałoby mi prawo zaliczania się w poczet wierzycieli jego królewskiej mości. Król odmówił, utrzymując, że jeżeli żyć będzie, to sam zaspokoi dług (w lat pięć lub sześć, to znaczy za pięć lub sześć wieków...), a jeżeli umrze, to mi się ów tytuł na nic nie zda. Wszystko to było pokropione dworską święconą wodą, w słowach: że mnie kocha, że uznaje moje kłopotliwe położenie, że jest zadowolonym z mej służby, i że mi życzy jak najlepiej...”

„Nareszcie, w końcu sierpnia, po dwóch miesiącach dokuczliwej niepewności, zaszedłem raz wypadkiem do bankiera Blanca, gdzie mi wręczono rewers na 1560 złotych, to znaczy, że król arbitralnie wyrządził mi największą krzywdę, odciągawszy mi 475 złotych, w chwili właśnie, gdy mi był dłużnym przeszło 520 dukatów i to w czasie, gdy już doszedłem lat pięćdziesięciu, po 17 latach służby, wbrew wszystkim zapewnieniom słownym i piśmieniem, utrzymując dwie żony i dwoje dzieci, czegom się podjął tylko w nadziei, że pensya będzie mi podwyższoną.”

„Jakoż, przyjąwszy pieniądze, nie zaniedbałem

¹⁾ Rzewuski, marszałek nadworny, od r. 1780 objął po Tyzenhauzie dzierżawę ekonomii litewskich, zobowiązawszy się płacić 40 tysięcy dukatów więcej. Po upływie trzech lat, ekonomia ta przeszła na synowca króla Stanisława. Korzon, III, 56.

dodać w końcu pokwitowania, że ono nie ma znaczenia zupełnego zrzeczenia się pretensyi.“

„Tak więc postąpiono sobie gorzej ze mną, aniżeli z Glaiem, który ma już majątek, aniżeli z Barnevalem, który ma posadę w radzie nieustającej, aniżeli z Ghiggiottim, który ma beneficya, aniżeli z Boscampem, który jest bardzo bogaty, aniżeli z Bacciarellim i wszystkimi kochankami króla, źródłem wszystkich utrapień.“

„Czyż tak się godzi ze strony króla, aby zamiast uczynić mnie szczęśliwym, uczynił mnie tylko ofiarą, męczennikiem i dudkiem? O, ileż inaczej postąpił sobie król pruski, dawszy 17 tysięcy dukatów swojemu lektorowi żonatemu, a przecież więcej byłem wart królowi polskiemu, aniżeli p. Katé królowi pruskiemu. Jakże można mnie pozbawiać dodatku, który miał mi służyć jako pomoc w ponoszeniu kosztów małżeństwa, tem uciążliwszych, że połączonych z obowiązkiem płacenia długów męża mojej żony! Jakiem prawem naruszają umowę, jeśli *ja* z niej się nie zwalniam?“

„Niedostatek, zobojętnienie króla po zamachu, pozbawienie starostw, podziały, moje dwa małżeństwa, wszystko to napęłnia mnie goryczą. Z trudnością wybaczę królowi, iż mnie postawił względem siebie w takim położeniu, że zamiast służyć mu gorliwie, z przywiązania, muszę ciągle tylko walczyć z niedostatkiem i przeciwnościami!“

„26 września 1781 r. Komisya dała mi asygna-cyą za 6 miesięcy, płatną za miesięcy ośm. Udałem

się do króla z reklamacją, lecz przekonałem się, że to z jego wiedzą wyrządzono mi taką krzywdę.“

„W owym to czasie, żona moja prosiła króla o pomieszczenie jej syna w korpusie kadetów, lecz odmówiono jej tego prawa, jakkolwiek jednym z warunków mego *ultimatum* było uwolnienie mnie od tego dziecka i od wszelkich kosztów jego utrzymania i wychowania ¹⁾).

„Nakoniec p. Correvon został uwolnionym. Było to jego uwolnienie mimo jego woli, ale słuszne, lecz wcale nie gwoli mnie uczynione. Nie podobał się królowi ani jako lektor, ani jako podbibliotekarz. Cóż byłoby, gdybym ja się poskarżył, że Correvon nic nie robi, a to, co robi, jest bardzo niedołączne? Dano mi zastępcę w p. Różyńskim, bardzo miłym młodzieńcu, tylko nieco uszczypliwym.“

¹⁾ Korpus kadetów, założony w r. 1765 przez Stan. Augusta, składał się z czterech brygad, na czele których stali brygadyer i podbrygadyer. Uczono tu matematyki, inżynieri, fortyfikacyi, prawa, ekonomii, geografii, historii politycznej i naturalnej, nauk pięknych, łaciny, polskiego, francuskiego, niemieckiego, rysunków, tańców, fechtowania. Trzecia część uczniów miała pochodzenie z Litwy. Mieszkali oni w pałacu na ten cel zakupionym; w skrzydłach mieszkali profesorowie i inne osoby do zakładu należące. Szefem był sam król, komendantem ks. Adam, wicekomendant Fryd. Moszyński. Profesorami byli oprócz Pflëiderera i Dubosca, jakiś uczony ze Strasburga i kilku Polaków. Liske, 221.

XVIII.

Pamiętniki Stanisława Augusta. — Zlecenie dane Reverdilowi do ich skopiowania. — Komisya skarbowa żąda nowego katalogu biblioteki. — Bastian. — Medal dla Lhulliera. — Rachunki bibliotekarza. — Obiad w Łazienkach. — Przejazd W. X. Pawła przez Polskę.

Notatki z r. 1782 zaczynają się od nowych narzekań na to, że król, wezwawszy 2 stycznia do swego gabinetu Reverdila, rozkazał mu zapłacić z pensyi rachunek księgarza Lexa i wziąć na nowy kredyt partyę książek, z obowiązkiem zapłaty należności w późniejszym czasie.

„Nie usłuchałem tego zlecenia, gdyż pozbawiłoby mnie to pewnych oszczędności, niezbędnych dla mego utrzymania. Cóż to za biblioteka, jeśli nie ma ani pomieszczenia odpowiedniego, ani pomocników, ani środków egzystencji?“

/2 „23 stycznia 1781 r. dał mi król do przepisania dalszy ciąg swoich pamiętników, o których sądziłem, że są już zaniechane lub powierzone komu innemu...“

„Po tylu dowodach oziębłości między nami,

dać mi do przepisania pamiętniki, sięgające epoki tyle krytycznej, bo pobytu króla w Rosyi!”

„Ten dowód zaufania wzruszył mnie bardzo, gdyż przekonał, że wierzą mojej dyskrecyi i lojalności“¹⁾.

„8 lutego 1782 r. Komisya skarbową, ukradłszy mi (*sic*) 475 złotych z mojej pensyi, bez względu na zapewnienia królewskie, zażądała ode mnie dwóch katalogów biblioteki, choć już cztery ich egzemplarze istnieją, i choć mi zagraża nowa nad niemi robota, z powodu zamierzonych przenosin biblioteki. Byłbym tę pracę wykończył, ale sam tego zrobić nie mogę, bo Weber jest chory; ja sam niedomagam, a przytem nadejdzie lato i pora rozrywek wiejskich, niezbędnych dla mego uzdrowienia. Obawiam się zresztą zimna i dni krótkich.“

„P. Bastian, kontroler kasy jeneralnej, odesłał

¹⁾ Mowa tu prawdopodobnie o pamiętnikach, których część wydana została w przekładzie z francuskiego przez Bron. Zaleskiego, a poprzednio, w części, przez Kazimierza Szulca (Poznań, 1862). Że Stanisław August napisał całość swoich pamiętników, mamy wiadomość we wspomnieniach Jana Sagatyńskiego, paza królewskiego (Poznań, 1845). Opisując tryb życia króla powiada: „Codzień wstawał o szóstej; po śniadaniu czytywał gazety, potem pisał pamiętniki swego życia, przy biurze, które zawsze starannie zamykał, chowając klucz do kamizelki.“ A dalej: „Co zaś pisał, tego wiedzieć nie można, bo tego nikomu nie wyjawiał. Po śmierci jego, Cesarz Paweł, będący przy jego zgonie, kazał naprzód wszystko opieczętować, a przyszedłszy nazajutrz, w swej przytomności wszystko z owego biurka powybierać i do siebie zawieść.“ L. Siemieński: „*Ostatni rok życia Stanisława Augusta*.“ (Kraków, 1862).

mi rachunki z żądaniem pokwitowania bezwarunkowego, ze wszelkich pretensyj za przeszłość.“

„Po obiedzie (było to we środę) j. król. mość darowała mi kolekcję srebrną w pudełku safianowym, czerwonym, obejmującą wszystkie medale, wybite za jego panowania. Bardzo piękny prezent, lecz mój Boże, jakżebym był uradowany temi drobiazgami, gdyby mi król dał środki z czego żyć!“

„24 kwietnia 1782 r. J. król. mość przesłała mi medal złoty *merentibus* dla pana Lhullier¹⁾, któremu dar wręczyłem za pokwitowaniem.“

„Otrzymałem wreszcie 3998 złp. zaległej pensyi od 1 lipca do 31 grudnia 1780 r. płatnych przez Blanca za miesiące ośm.“

„19 maja. P. Weber otrzymał dymisyę jako niezdolny i chory, a pensya jego z rozkazu króla mnie daną została dla trzymania kopistów.“

„Tym sposobem pozostaje jeszcze do wykonania artykuł trzeci mego *ultimatum* z r. 1778, dotyczący dodatku 20 dukatów miesięcznie na utrzymanie mojej drugiej żony (z domu Ciecierzyńskiej), wartość ogrodu i domku, kosztu podróży do Krakowa, Gdańska i Szwajcaryi, tam i z powrotem, wreszcie umieszczenie syna mojej żony w korpusie kadetów.“

„Przez delikatność i z obawy, nie powtórzyłem

¹⁾ Lhullier, matematyk genewski, bibliotekarz księcia Adama Czartoryskiego i ochmistrz młodych książąt, kształcił się pod matematykiem i filozofem Le Saye, a w Warszawie otrzymał 150 dukatów nagrody od komisji edukacyjnej za projekt do matematycznego podręcznika. Liske, 220.

przed królem tego, że się nie poddaję rozporządzeniom komisji ekonomicznej. P. Glaire, którego o to prosiłem, nie znalazł jeszcze sposobności do powtórzenia tego królowi, że nie powinienem zaspakajać rachunków do mnie się nie odnoszących. Zaprawdę, jestto bolesnem cierpieć tyle udręczeń, bez nadziei zaradzenia złemu.“

„Lipiec 29. Nieprzyjemny obiad w Łazienkach, z powodu zajścia z p. Camelli o wierzyciela p. Rożyckiego i z powodu K. Lubańskiego, który intryguje, aby przyjąć pomocnika. Zły to człowiek, a nie chcę zostać jego oskarżycielem.“

„14 sierpnia. Mówią tu o przyjeździe w. księcia, lecz wątpię, by przejazd nastąpił“¹⁾.

„Z powodu takich pomocników, jak Correvon i Weber, nie byłem jeszcze w stanie należycie biblioteki uporządkować i żyję w ciągłej obawie, by nie zażądano książek, którychbym znaleźć nie był w możności. Nareszcie, po kilku miesiącach pracy udało mi się wybrnąć z tego kłopotu i doprowadzić książki do porządku, gdy nagle otrzymałem rozkaz przeniesienia ich na nowe pomieszczenie. Ten nowy, choć obszerniejszy lokal, wspanialszy i kosztowniejszy, jest arcy-niewygodny. Większość szaf bardzo płytka, nie może pomieścić książek *in folio*, a nawet *in quarto*; zawiera wiele kluczy do różnych działów, a do każdej z szaf są dwa klucze. Rygle górne nie-

¹⁾ W. Ks. Paweł z żoną, pod przybranem nazwiskiem hr. du Nord, przejechał istotnie przez Polskę, dążąc za granicę. Koszta przyjęcia wyniosły 632.013 złp. Korzon, III, 63.



dostępne, drzwi komunikacyjne do mego pokoju źle urządzone i t. d.“

„Tymczasem książki leżą w bezładzie, przeszkadzają robotnikom, a są tak nawalone, że trudno się znaleźć między niemi. Na domiar utrapienia, komisya skarbowa domaga się nowego katalogu! Dano mi przytem inne mieszkanie, czegom od roku unikał, lecz teraz, gdy trzeba urządzić mieszkanie dla w. księcia, trudno będzie się uchronić.“

„Żałować będę zwłaszcza mieszkania, zajmowanego przez moich pomocników, których nie będę miał pod ręką, nie mówiąc już o garderobie i o skrytce, które mi jednocześnie zabrano.“

„Coraz mniej jestem rozumianym, znanym i uwzględnianym, cofam się coraz bardziej wstecz i widocznie przyjdzie mi żale swoje ponieść chyba do grobu!“

XIX.

Nowe oszczędności. — Ksiądz Lubański. — Czosnowski. — Mathis. — Świece biblioteczne. — Sprawozdanie ze stanu biblioteki. — Różyński. — Gniew króla. — Nieprzyjemne obiady Reverdila.

4 września 1782 r. zapadło postanowienie, iżby Reverdil ze złotych 350, jakie otrzymywał miesięcznie dla pomocników biblioteki, zatrzymywał do swojej wyłącznej dyspozycji 270 złotych, pod warunkiem płacenia ks. Lubańskiemu 80 złotych; resztę zaś wydatków miał król wyłącznie na swój brać rachunek. Drobne dodatki, mieli również otrzymywać pomocnicy: Czosnowski i Mathis, służący w bibliotece.

„31 października ks. Lubański objął obowiązki swoje. „Czyż warto w tem miejscu wzmiankować — pisze Reverdil — iż jednocześnie zmniejszono mi liczbę świec, zmniejszono ilość atramentu i lekarstw i zaprzestano prenumeraty gazet francuskich. Wszystko to dowodzi, jak mną tu pomiatają i że odjęto mi powietrza, jakiem oddycham, gdyby to tylko było możebnem. Inny dowód. Pokój mój główny służy jako pasaż do biblioteki i uważany jest

do tego stopnia za jej część składową, że doń wstawiono pięć wielkich szaf; lecz gdy wyznaczono frotera do usług biblioteki, dopuszczono się tej nikczemności, że zabronili froterowania mego pokoju, pod pozorem, że do mnie należy.

„Z tem wszystkiem, J. Król M. rozkazała 9 listopada 1782 r., aby mi urządzić remizę na trzy powozy i stajnię na sześć koni. Wszystko dobre widocznie pochodzi od niego, a złe — od otoczenia.

„4 grudnia 1782. Nowe zuchwalstwo! Zamiast pochwalić mnie za pracę, jakiej się w zastępstwie chorego Webera podjąłem, zamiast oddać sprawiedliwość mojej energii, iż wspólnie z Różyckim urządziłem bibliotekę w nowem jej pomieszczeniu, pomimo, iż translokacya jej odbyła się dopiero w końcu sierpnia i że nie ma nawet wygodnego stołu do pisania, że dni teraz są bardzo chłodne i krótkie i że J. K. Mość ciągle domaga się nowych książek, jakby nic nie zaszło: sławetna komisya skarbową żąda nieustannie ułożenia nowego katalogu, najpóźniej do 1 lutego 1783 r., pod zagrożeniem natychmiastowego mego wydalenia.

„Jakby na domiar złego, król, ze swej strony, domaga się sprawozdania ze stanu biblioteki za rok ubiegły. Muszę uprosić Glaira, aby to sprawozdanie za mnie ułożył.

„19 grudnia 1782 r. najstraszliwszy ze wszystkich dzień. Ileż się nacierpiałem! Jego Król. Mość przybyła do mnie z oświadczeniem, że bezwarunkowo należy wydalić Różyńskiego, człowieka podejrzanego, zasługującego na ucięcie ręki. Oczywiście

to potwarz, gdyż Różyński jest bardzo rozumny i pilny młodzieniec. Zawsze zajęty przy mnie pracą, rzadko kiedy wychodzi na miasto i to dla załatwiania zleceń. Nie pojmuję, co mu zarzucać mogą¹⁾. Tylu ludzi złych, nieponiów, trzymano na dworze, a tego jednego, co jest coś wart, chcą mnie pozbawić! Widocznie nowa to jakaś intryga ks. Lubańskiego, który mnie ciągle daje chrześcijańskie nauki, a sam zasługiwałby na naukę na temat miłosierdzia chrześcijańskiego“.

„Napisałem do króla, prosząc go o zostawienie mi czasu do usprawiedliwienia Różyńskiego, i do urządzenia swych zajęć według własnego mego uznania, wydalenia księdza Lubańskiego, który w krótkim czasie tyle mi wyrządził utrapień.

„1783 rok rok, 1 stycznia. Zaproszono mnie do stołu króla. W oktawę tegoż dnia, ten sam spotkał mnie zaszczyt.

„9 stycznia. Przełałem na Glaira, ziomka mego, radcę tajnego gabinetu króla, przywilej swój na Jaworów, pod warunkiem, że ułoży za mnie sprawozdanie ze stanu biblioteki.

„11 stycznia. Blanc, kasjer królewski, odmówił mi zapłaty asygnacyi na 3,998 złp.

„22 stycznia. Nie do uwierzenia! Zostałem znowu zaproszony do stołu króla, jakby nic między nami nie zaszło. Przed obiadem król bardzo łaskawie roz-

¹⁾ Fakt ten odnosi się prawdopodobnie do istnienia owego „kanału“, za pośrednictwem którego szły tajne doniesienia o czynnościach króla do posłów państw ościennych.

mawiał ze mną o interesach i dał mi dalszy ciąg pracy, wymagającej dyskrecyi. Rozmawiał długo i z dobrocią o różnych sprawach moich osobistych i spytał: dla czego nie korzystam z owych 360 zlr., które otrzymuję miesięcznie?

„Odpowiedziałem, wskazując na list mój, dany za pośrednictwem Glaira, a leżący na stole, że przyczyna ta jest tam wyjaśniona.

„Na to król oświadczył: że nastąpiła reforma nawet w stosunku do jego najbliższych, że otrzymuję mimo to znaczną pensję, i że nic więcej dla biblioteki uczynić nie można.

„Na to nic nie odpowiedziałem, bo cóż tu było do odpowiedzenia?

„1783 r. 29 stycznia. Znowu obiad u króla i znowu żywa z nim rozmowa, z wynurzeniem żalów nad mojem ubóstwem, potrzebami i zawiedzioną nadzieją urzeczywistnienia danych mi przyrzeczeń. Król wyraził zdziwienie, iż nadzieje te oparłem na małżeństwach. Oświadczył zresztą gotowość zwracania mi czterech dukatów miesięcznie, z własnej szkatuły. Na to oświadczyłem stanowczo, iż nigdy się nie poddam reformie ekonomicznej, choćbym nawet z tego powodu miał się narazić na przykre następstwa.

„Król uniósł się:

— Nigdy w tym tonie do ciebie nie przemawiałem. Jeśli tak będzie dłużej, wpadniesz w niełaskę u mnie...

„Nareszcie oddałem komisji ów katalog, spo-

rzządzony pośpiesznie, w ciągu sześciu tygodni i otrzymałem zaległej pensyi za sześć miesięcy 3,998 złp.

„5 lutego. I znowu obiad u króla, jeszcze nieprzyjemniejszy od poprzedniego. Król był znowu uprzejmym, ja zaś, o ile mi niezręczność moja pozwalała, bardzo wstrzemięźliwym. Mówiłem o oświeceniu biblioteki. Król przyrzekł, że ją odwiedzi. Jakóż przybył, obejrzał, lecz nic nie postanowił.

„Żona moja chora. Dręczą ją spazmatyczne wymioty... a ja muszę na domiar prowadzić kosztowne procesy z wierzycielami jej pierwszego męża.

„Oto gorzkie owoce owego małżeństwa, w które się niebaczenie dałem wciągnąć, w nadziei, że będę protegowanym...

— Nie mów ciągle o tych małżeństwach — rzekł król — bo będą drwić z ciebie!

XX.

Reklamacye w pismach holenderskich. — Redaktor gazety de Clèves. — Obrona sądów polskich. — Spory nowe o pensyę. — Argumenta królewskie. — Nowa pociecha Reverdila.

Notatka z d. 2 lutego 1783 obejmuje wzmiankę o jakiejś reklamacyi uczynionej z polecenia króla w gazetach zagranicznych, z powodu artykułu wymierzonego przeciw sądom polskim.

„Zmuszony byłem — pisze Reverdil — pracować dzisiaj przez noc całą, nad obroną sądów polskich, wobec p. Manou, redaktora gazety „*de Clèves*“, aby sprostował artykuł N. 12 na str. 97, w którym przeciw owym sądom wystąpił¹⁾ z powodu dekretu kanclerza Okeckiego i podkanclerzego Małachowskiego, którym przyznano panu Zubechoer prawo aresztu na własności pana Tomatysa²⁾. Materiał do

¹⁾ W jednej z poprzednich notatek wzmiankował Reverdil o korespondencyi prowadzonej z redaktorem tejże gazety (XIV).

²⁾ O hr. Thomatisie bardzo zajmujące szczegóły zebrał J. Bartoszewicz, w dodatkach do „Pamiętek hist.“ Święckiego

tej obrony dano mi gotowy, lecz jam miał obowią-

(T. II. 383). Był to awanturnik, którego widoki karyery sprowadziły na dwór króla Stanisława, wespół z Solarim, Bertogliatim i Casanovą. Chełpił się hrabiowskim tytułem, ładnie mówił, dużo wiedział, lecz więcej jeszcze kłamał. Z aktorkami bawił się wesoło. Pułkownik Byszewski porąbał go raz za Casanovę „rozumując, że Włoch a Włoch, to wszystko jedno“. Król dał mu szambelanie, więc mu się kłaniano i o względy ubiegano. Został przedsiębiorcą teatru z Kurtzem, lecz spółka ta niedługo trwała. Wyjechał następnie Thomatis za granicę i bawił długo w Sardynii, pod imieniem hr. de Valére. Powróciwszy do Warszawy, postanowił wymurować pałac, arcydzieło sztuki budowniczej. W tym celu zakupił prawem emfiteutycznym grunt za Mokotowem, górą królików zwany. Na nim wystawił gmach, nakształt willi Metelli pod Rzymem (capo di Bove). Ciepłarnie i oranżerye stanęły tam za wąwozem, prowadzącym w dolinę; resztę wzgórza zajęły najpiękniejsze drzewa owocowe. Pałac w Królikarni stawiał Merlini. Rzec wiadoma, że król Stanisław z wielkimi walczył przeszkodami, zanim wykończył Łazienki. Thomatis zapragnął podbić swoim pałacikiem króla i zachęcić go do kupna Królikarni. Znaleziono też przy restaurowaniu pałacu w Królikarni, napis łaciński brzmiący w przekładzie: Karol Thomatis, Włoch, hrabia Walery z Sabaudyi, dla własnej wygody i przyjemności, pałac ten wybudował i przyozdobił, przyłączyszy do niego ozdobny ogród... Stanisławowi Augustowi i t. d., odnowicielowi sztuk pięknych i najwspanialszemu opiekunowi nauk, poświęcił 1786 r.“ Do pałacu swego spraszał Thomatis gości. Król i mnóstwo osób z Warszawy, często tutaj bawili. Wesołość, żarty, śmiechy i dobry ton panowały w Królikarni. Dla gości nieproszonych do pałacu, Francuz Toignon, założył w r. 1783 traktyernię. Kiedy Thomatis umarł? niewiadomo. W roku 1798 spadkobiercy wzywali przez gazety adwokatów, aby dokumenta spadkowe przesyłali do domu Wasilewskiego na Krakowskim Przedmieściu. Synowie Thomatisa wstąpili do wojska. Od

zek opracować go należycie. Była tam mowa i o pałacu Młodziejowskiego¹⁾.

Tymczasem, spory z powodu dwudziestu du-

Thomatisów przeszła Królikarnia do ks. Radziwiłłów, a następnie do rodziny Pusłowskich.

¹⁾ Ustęp powyższy należy zestawić z analogicznem wydarzeniem z r. 1768 z powodu paszkwilu przeciw administracyi polskiej w gazetach holenderskich zamieszczonego. W metryce koronnej (T. 234, str. 429) wynalazł Korzon manifest następującej osnowy: („*Dzieje wewn.*“ T. IV. cz. I. str. 166). „Przed nami i księgami niniejszemi metryki koronnej, kancelaryi wielkiej, osobiście stanawszy WW. Ignacy Twardowski, Kaliski i A. Moszczeński Inowrocławski, wojewojewodowie etc. solenny podali manifest brzmienia takowego: Gdy niewiadomy dodał złośliwy wymysł wydrzeć nam usiłuje (cześć?), czerniąc nas przed światem przez artykuł z Warszawy do gazet w Utrechcie pod d. 21 Junii, roku teraźniejszego, pod liczbą 50 drukowany i inne publiczne wieści, jakobyśmy kupcom (na) nieukrzywdzenie przez cały rok skarbu koronnego na końcu roku zaprzysięgać kazali i aż za szpetnym okupem (na shańbienie honoru aż nazbyt, lecz nie na uspokojenie, gdyby u nas była, chciwości wystarczającym) od tejże przysięgi uwolnić ich musieli, do której, sprzeciwiającej się razem cnocie i rozsądkowi akcyi, że i cienia podobieństwa nie było: przeto czyste i tak sprośnym zyskiem nie zmazane ściągając ręce, przeciwko czci niegodne autorowi kalumnii, ten podpisujemy manifest, ofiarując się, ile sposobność pozwoli, tegoż autora dochodzić i win prawem na opisców ludzkiej sławy wskazanych, ścigać za nim będziemy, a co tylko do dowodu i ukarania tak sprośnego fałszu ściągać się może, nie czynić nie omieszkamy“.

Dla czego zwracano się z krytyką rządów wewnętrznych do gazet zagnicznych w Utrechcie i Kliwii wychodzących? kwestya ta, wobec braku materiału faktycznego, na teraz dokładnie wyjaśnioną być nie może.

katów pensyi, na utrzymanie biblioteki miesięcznie wyznaczonej, trwały w dalszym ciągu.

Reverdil obstawał przy tem, że owa kwota winna służyć na opędzenie kosztów jego małżeństwa, król zaś innego był zdania.

„W kwietniu 1783 r. — pisze Reverdil — posłałem do Nion, w Szwajcaryi, tranzakcyę swoją, zawartą z królem w kwietniu 1780 r. zapewniającą mi 100 dukatów miesięcznie, z poleceniem zrobienia z niej wyciągu urzędowego.

„17 kwietnia król raczył mnie odwiedzić i oświadczył stanowczo, aby kwota 20 dukatów obracana była wyłącznie na potrzeby biblioteki.

„Większej niesprawiedliwości nie podobna mi było wyrządzić...

„Przypomina mi się prorocstwo, które wyrzeczone było przy pierwszym powitaniu: *Enfin je vous tiens!* lecz jam w takim sensie tych słów nie pojmował...

„Powtórzył król ponownie swoje znane argumenta: że pensya moja jest bardzo znaczną, większą, aniżeli pobiera szef gabinetu, Cieciszowski, chociaż jest dietnym. Mógłbym na to odpowiedzieć, że porównanie jest niewłaściwe, że raczej należałoby porównać los mój z dolą pp. Ghiggiotti, Barnevala, Lebruna, Bacciarellego.

— Wszystko to prawda — odrzekł król — lecz obecnie nie jestem w stanie dać więcej...:

„Na to zgoda, lecz przynajmniej powinienby zostawić mi to, co już posiadam.

„Do takiego trybu postępowania króla ze mną,

przyczyniły się bezwątpienia następne okoliczności: że powiedziano królowi na ostatnim obiedzie środowym, iż żona moja jest w ciąży, że król zajęty był w owym czasie wyposażeniem panny Baciarelli (na to miał fundusz...), że kłopotał się zapewnieniem panu Wilczkowi, człowiekowi bogatemu i mającemu los dzieci swoich zapewniony, dość intratnej posady. Piękna sprawiedliwość!

„14 maja, po obiedzie (pocóż mnie zapraszają na obiady?) król znowu zaczął rozwijać znane swoje poglądy: że pracuję za mało, że się obawia, abym się nie z bogacił...

„Co do pierwszego, zażądał, abym dlań osobiście sporządził katalog, a przecież niedawno dopiero pracę taką wykończyłem dla komisji! Następnie, zapytał mnie, ile też wydatkowałem na bibliotekę, z pieniędzy otrzymanych od p. Blanca? Drżąc z obawy i gniewu, wybelkotałem zaledwie słów parę: iż co do tego istnieje przecież umowa....

Na to król:

— To jest ostatnie moje słowo!

— Ach! — zawołałem — nie sądziłem tak, kiedym się żenił...

„Przedstawiłem przez p. Glaire prośbę, w której odwołałem się do sprawiedliwości i litości króla, lecz i p. Glaire mi odrzekł, że jestem wprawdzie nieszczęśliwym, ale mógłbym być w gorszym jeszcze położeniu.

„To znaczy, że mam do czynienia z potworem, który, bez względu na moje położenie, nie chce ustalić losu tych, z którymi miał dwoje dzieci!

„W takich to smutnych okolicznościach nastąpił połów mojej żony... Zostałem ojcem dziewczynki. W innym razie, byłbym prosił króla, aby ją do chrztu trzymał, lecz tym razem duma moja i ambicya wstrzymały mnie od tego kroku, a ponieważ nie mam do kogo się zwrócić, biedne dziecko moje zapewne długo na chrzest będzie musiało czekać!...

XXI.

Nowy spór o świece dla biblioteki. — Ryx. — Decyzja króla. — Ostateczny układ z Reverdilem. — Ojciec Benvenuti. — Koncerty Paesiello i Todi. — Misya pana Bronikowskiego do Anglii. — Podróż żony i kochanki króla do Grecyi i Włoch.

„8 października — pisze Reverdił — zażądałem dodatku świec dla biblioteki. Król zapytał, ile ich potrzeba dziennie? i wyznaczył, wbrew memu żądaniu, dwie tylko, co jest zbyt mało na tak wielki pokój, w którym obecnie pracuje trzech pomocników. Jakoż, byłbym w kłopotcie, gdybym nie zaoszczędził świec z letniej pory, lecz i tych pan Ryx wydać mi nie chciał. Widocznie ma powód gniewać się o coś na mnie, a domyślam się, że powodem gniewu jest okoliczność następująca:

„Będzie temu lat 25, lub 30, poznałem w Mont (Pont?) de Beauvoisin, pannę Krystynę Crêtêt, która udawszy się do Paryża, otrzymała od p. Billou list polecający do mnie, abym jej pomógł w odzyskaniu od pana Ryxa znacznego spadku po jej szwagrze, Collignonie, znajdującego się w posiadaniu kamerdy-

nera królewskiego. Oto powód, dla którego, biblioteka nie będzie należycie oświetlona...

„Nareszcie 24 listopada 1783 r. zawarty został między mną a królem ostateczny traktat pokoju, mocą którego:

„Król zapewnił mi, oprócz mojej pensyi i gratyfikacyę w kwocie 6,000 dukatów.

„Kwota 20 dukatów, czyli 360 złp., jaką pobierałem od 1 lipca 1781 r. na wydatki biblioteki, będzie służyć dla mnie wyłącznie, a od 1 kwietnia 1782 r. kwota owa będzie zarachowywaną na poczet owych wyżej wzmiankowanych 6,000 dukatów.

„Niezależnie od 20 dukatów pobierać będę pensyę 1,200 złp. miesięcznie.

„Gdybym gratyfikacyę 6,000 dukatów otrzymał wcześniej, w ciągu lat trzech lub czterech, to kwota 20 dukatów będzie mi potrąconą.

„Nie będę miał żadnej pretensyi do spadkobierców J. Król. Mości.

„W to wszystko nie wchodzi mieszkanie, opał, światło i wierzchowiec. (Dla czego pominąłem lekarstwa?).

„W razie wcześniejszego zwolnienia mnie z posady, gratyfikacya nie przepadnie.

„Nie było to wprowadzie wszystko, do czego miałem prawo, lecz cóż miałem czynić, wobec kategorycznego oświadczenia króla:

— *Ne parlez pas de vos mariages, car on se moquerait de vous!*

„Więc to jest śmiesznem ufać królewskiemu słowu?

„Rok 1784, 27 stycznia. Wybornym jest kalambur ojca Benvenuti, który wytłómaczył wszystko, co wyżej było przywiedzione, tem, iż zmieniono mi nazwisko, skróciwszy je o trzecią część. Istotnie, zmniejszyli mi pensję o trzecią część...

„31 marca zauważył król, że ojciec Benvenuti, człowiek już podżyły, większe zrobił postępy w nauce polskiego języka, aniżeli ja.“

Wprawdzie ojciec Benvenuti nie innego do roboty nie ma, jednak nie chciałem wyjaśnić królowi powodu mojej niechęci do języka polskiego *„puisqu' j'en prenois tous mes malheurs.“*

„5 kwietnia 1783 r. P. Paesiello i pani Todi, pierwszy, kompozytor, a druga — śpiewaczka, przybyli tutaj i ów biedny król, od którego nie śmiałem żądać należnego mi dodatku miesięcznego, dał owym artystom za trzy piosnki i w pieniądzach i kosztownościach około czterech tysięcy dukatów, to jest, prawie tyle, ile ja się bezowocnie domagam od lat przeszło dwudziestu.

„Inny przykład postępowania królewskiego. Szambelan Bronikowski wysłany został do Anglii w sprawie zabezpieczenia króla na życie, co kosztowało 20 tysięcy dukatów za 200 tysięcy kapitału. Lecz bankierzy holenderscy nie chcieli zrobić interesu na czas tak krótki i 20 tysięcy dukatów przepadło, oprócz kosztów podróży, gdyż pan Bronikowski zwrócił tylko 3,000 dukatów z sumy 26,000 dukatów, jaką podniósł z kasy na ten interes. Król ucieszył się bardzo z tej oszczędności, a pan szambelan uważa się nadal za wyjątkowo uczciwego człowieka!

„Ogromnie wiele wydają teraz pieniędzy na sejm, mający się odbyć w Grodnie a znowu mówią o nowych oszczędnościach, jakie się zaprowadzić mają.

„P. Wodzicki, oficer korpusu kadetów, którego usługi są nic nieznaczące w porównaniu z mojemi, otrzymał 4 tysiące dukatów, poreczonych przez komisję ekonomiczną i płatnych w ciągu lat trzech, z okazji swego ślubu.

„Pani generałowa Grabowska udaje się do Włoch z licznym orszakiem, a baronowa Schütter jedzie do Włoch i do Grecyi. Tej ostatniej podróż tyle potrzebna, ile generałowej...

„Nie odmawiają sobie widowisk bardzo kosztownych¹⁾ i ustawicznych a rujnujących przeróbek Łazienek.

I wobec tego wszystkiego nie móżd spełnić tego, co się przyrzekło cudzoziemcowi! Słusznie p. Delalande twierdzi, że cudzoziemiec w tym kraju uważa się za konia pocztowego. Słusznie mówi i p. Voltaire, że należy być albo młotem, albo kowadłem...”

¹⁾ Dla zabawy królewskiej — pisze Magier w „*Estetyce m. Warszawy*“ — zbierał się nieraz teatr towarzyski z osób dobrze królowi znanych i dawano sztuki francuskie w sali jednej zamku. Tam grywał generał Rieul (nie Brühl), szambelan Wojna, znany z miłego swego głosu i inni młodzi panowie. Z dam zaś: p. Sewerynowa Potocka, księżna de Nassau, z panien: panny Gutakowskie i t. p., na które to widowiska starosta Ryx dawał bilety do wejścia.

„W sali srebrnej dawane były koncerty przez odwiedzające Warszawę sławne śpiewaczki, jaką była lagodna w śpiewie Buonafini, wysokiego głosu Todi, Banti i Morigi, ulubiona w aryach Crespi.”

XXII.

Wyjazd króla do Grodna na sejm. — List z podróży do Reverdila. — Bilecik Bacciarellego. — Prymas. — Nowy komendant zamku. — Zmiany w bibliotece. — Dogrumowa. — Projekty króla co do biblioteki. — Wyjazd Reverdila. — Littlepage. — Hovard i Rumford. — Losy bibiloteki Stanisława Augusta.

Wyjechawszy we wrześniu 1783 r. na sejm do Grodna, król z Kobrynia pod datą 4 t. m. przesłał Reverdilowi bilecik tej treści: „*Adieu pour aujourd'hui. Vous ne sauriez douter, que c'est du meilleur de mon coeur que je vous souhaite toute sorte de bien*“.

„Zachęcony temi słowami — pisze Reverdil — oraz przez przez kilku przyjaciół, jakkolwiek postanowiłem sobie niczego już od króla nie żądać, chciałem wszelako sprawdzić szczerłość wynurzonych mi życzeń“.

„Napisałem przeto, że z okazji zamierzonego powierzenia bratu króla pierwszej godności w Rzpltej — prymasa ¹⁾, możeby należało pomieścić mnie na liście

¹⁾ Dzięki staraniom króla, drugi brat jego, Michał, z opata czerwińskiego wyniesiony został na godność prymasa.

tych wójtowstw, jakie miał do rozporządzenia; że to nie obciążyłoby skarbu, a pozwoliłoby królowi wyświadczyć mi łaskę“.

Na to otrzymałem od Bacciarellego bilecik treści następującej:

„Kochany przyjacielu! Otrzymuję właśnie od Jego Król. Mości list, w którym rozkazuje mi oświadczyć ci, że z braku czasu odpowiedzieć nie może obszerniej i dlatego przepisuję tu dosłownie ustęp ciębie dotyczący: *„Je le salue cordialement, et ne l'oublierai surement pas dans l'occasion; mais, que ce qu'il croit être en grand nombre, est beaucoup moins nombreux, qu'il ne le suppose“*.

„Nadmienić trzeba, że podpisany na bileciku Bacciarelli oddawna posiada już wójtowstwo. Co do mnie, z pewnością nikt o tem myśleć nie będzie.“

„Tymczasem myślą już o beneficjach dla ks. Lubańskiego, co jest słusznem, lecz z tego wynika, że więcej myślą o tym, co ma już dosyć, aniżeli o mnie, mającym już 20 lat służby, połączonej z tyłoma uciążliwościami“.

„Doznałem znowu przykrości ze strony generała Byszewskiego, mianowanego komendantem zamku, który mi zabronił otwierania okien biblioteki. I tak, biblioteka ta, zamknięta przez większą część roku, stała się istną lodownią. Zwrócona ku północy, od strony tarasu, nie daje nawet możliwości córeczce mojej korzystania ze świeżego powietrza. Cofnięto jednak ten zakaz i usprawiedliwiono się przedemną, że się to stało jedynie z obawy o całość przedmiotów, opiece mojej powierzonych.“

„W lutym 1785 r. Nie wiem, jakie powody skłoniły Jego Król. Mość do przeniesienia estampów do biblioteki. Są one bardzo ładne, ale nie ma miejsca na wygodne ich pomieszczenie“.

„Jakkolwiek ranną porą biblioteka ta stanowi jedynie przejście z jednej części mego mieszkania do drugiej i dla wszystkich jest otwarta, jednakże ksiądz Albertrandy zamierza wzbronić memu służącemu przechodu przez nią, chociaż nie ma tu nic do rozkazywania“.

„1785 r. 17 luty. Jakkolwiek nie ma nic wspólnego między mną, a sprawą p. Ryxa¹⁾, jednakże ten związek prawdopodobnie może być dopatrzonym. Cesarz, niezadowolony z dekretu niekorzystnego dla księcia Adama, może aresztować dochody księcia Kazimierza, lecz J. K. Mość może to sobie powetować na jego pensyi. Już raz ten środek był zastosowanym²⁾).

¹⁾ Mowa tu o procesie Dogrumowej, awanturnicy, wmieszanej w sprawę generała Komarzewskiego, w której Ryx niepoślednią grał rolę.

²⁾ „Pozprawy sejmu czteroletniego, wyciągnęły — pisze Korzon — na jaw niektóre operacye, wykonane ku pożytkowi krewnych bez wiedzy sejmu, mocą władzy królewskiej, stosuneków dyplomatycznych lub intryg. Brat, Kazimierz Poniatowski, otrzymał ogromne starostwo Szadów, niby tytułem wynagrodzenia za żołd awansowany w czasie zamieszek dla regimentu, którego był szefem i za utratę 16 tysięcy dukatów rocznego dochodu w starostwie Spiskiem, zajętem przy pierwszym rozbiorze przez Austryę. Tak się tłumaczył sam Stanisław August w izbie sejmowej w r. 1790, kiedy była mowa o odbieraniu donatyw, albo pociągnięciu

„Marzec 1785 r. Jego Król. Mość miała zamiar uczynić bibliotekę swoją publiczną. Zwróciłem uwagę króla na trudności, jakie to spowoduje, i król od zamiaru swego odstąpił. Uwolniło mnie to od wielu przykrości, gdyż i tak biblioteka jest prawie publiczną, skutkiem mnogości wypożyczanych z niej książek i częstych wizyt, jakie się w niej odbywają. Informacyami zajmuje się jeden z pomocników, więc gdyby jeszcze biblioteka dla wszystkich była otwartą, mógłbym stracić głowę.

„Częste mam zajścia z szabelanem-c e r b e r e m Gaszyńskim, podczas widowisk dworskich w zamku lub Łazienkach. Usuwa mnie on na sam koniec, jakkolwiek sam wiem, gdzie jest miejsce, a zajmuję zawsze jedno z pośledniejszych.“

„Jego Król. Mość zakupił znowu bibliotekę od p. Czerneka, chociaż był uprzedzony, że tam nic nowego nie ma. Dowód to bezużyteczności moich starań o unikanie dubletów; dowód to zresztą, że kto ma na takie wydatki, nie powinien był zmniejszać mi pensyi.

„1787 rok 1 kwietnia. Winienem oddać tu

donataryuszów do wyższego podatku. Nikt nie wytknął mi zapewne przez grzeczność, że kraj nie był obowiązany tak dalece pieścić całego rodu Poniatowskich, iżby wynagradzał mu wszelkie szkody, jakie skutkiem rozbioru ponieśli. Ale Kublicki zrobił uwagę, że książę ex-podkomorzy pobiera wynagrodzenie za utracone intraty Spiskie ze skarbu cesarsko-austriackiego. Król faktowi samemu nie zaprzeczył, takie tylko podał sprostowanie, że „nie za Spiskie, ale za Stryjskie i inne bierze ze skarbu cesarskiego i to nie w całości, ale

sprawiedliwość nowemu prezesowi komisji ekonomicznej, p. Ostrowskiemu, kasztelanowi czerskiemu, który nie wyrządził mi żadnej krzywdy przy objęciu urzędowania. Z tem wszystkiem odjęto mi 115 świec kwartalnie, co czyni 460 sztuk rocznie.“

Zażądałem uwolnienia, celem wyjazdu do Krakowa, Krzeszowic i Altwaser, podczas miesięcy: czerwca, lipca i sierpnia, z prośbą o wypłacenie mi mojej pensyi z góry. Skończyło się na zmniejszeniu mi gratyfikacyi, a tymczasem przyjęto do służby młodego Amerykanina Littlepage'a¹⁾ i dano mu od-

w połowie...“ Więc już chyba tylko od skąpego Fryderyka II nie wyżebrali Poniatowscy pieniędzy, nienasyceni w swych żądach zbytkowania i wesołego używania, nawet wśród najstraszniejszych nieszczęść krajowych“ (III, 51).

¹⁾ Ów Littlepage był figurą zagadkową. Używał na dworze Stanisława Augusta wyjątkowego miru i w ciągłych z królem pozostawał stosunkach. Wysyłany był w rozmaitych misjach tajemniczych do dworów zagranicznych i pobierał pensye „gratiskowe“. W r. 1793 figuruje on jako wierzyciel króla na sumę 432 tysięcy złotych. W rzeczywistości był to tajny agent Igelstroma (Korzon, III. 20). On to wprowadził na dwór Stanisława Augusta głośnego filantropa i reformatora więzień Hovarda, który bawił w Polsce równocześnie z kawalerem Rumfordem, wynalazcą preparowania zupy dla biednych — z odpadków kości. Odgłosem wizyt owych i stosunków z Littlepage'em są oparte na autentycznych danych wzmianki u Rzewuskiego: „*Pamiętn. Bartł. Michałowski*“, t. I, str. 100—102 (wyd. warsz.).

razu taką pensję, o jaką ja tak długo się ubiegałem.

Nie mówię tu o gratyfikacyi, jaką oprócz tego otrzymał na wyjazd z królem do Kaniowa, bo to jest racya stanu, która mnie zupełnie nie dotyczy...)¹.

Na tym urywku kończy się pamiętnik Reverdila. Czy wrócił ze swojej podróży do Krakowa i co się z nim następnie stało? nie wiadomo. To tylko pewna, że ku końcowi panowania Stanisława Augusta, bibliotekarzem był już ksiądz Albertrandy, który przystąpił do opracowania dokładnego katalogu biblioteki królewskiej i sporządził jedenaście jego tomów²). Figuruje wprawdzie jeszcze w r. 1793 nazwisko Reverdila w wykazie długów królewskich, ale o dalszym udziale owego cudzoziemca w pracach około biblioteki nie ma wzmianki³).

Wiemy natomiast, jakie były losy tego zbioru. Połowę nabył Tadeusz Czacki ze zbiorom monet za

¹) W spisie osób, które towarzyszyły królowi do Kaniowa, figurowali jedynie: ks. Naruszewicz, generał Konażewski, Ryx, Littlepage i Camelli. K. Wł. Wójcicki: „*Arch. Domowe*,” 126.

²) Wzmiankuje o Albertrandym, jako o bibliotekarzu króla, Schmidt, w podróży swej po Polsce z 1793 r. J. I. Kraszewski; „*Biblioteka pam. i podr.*” Drezno, str. 300.

³) Pod d. 9 września 1793 r. czytamy w owym wykazie: Reverdilowi za książki dostarczone do bibliotek J. K. M. 27000 złp. Korzon, III, 79.

7,500 dukatów dla gimnazyum krzemienieckiego. Resztę biblioteki, którą król, jadąc do Petersburga¹⁾, zabrał ze sobą, po jego śmierci darował cesarz Paweł I Anastazemu Bratanowskiemu, mohylewskiemu biskupowi prawosławnemu, później biskupowi astrachańskiemu. Skutkiem testamentu tego ostatniego, przeszła ona w posiadanie seminaryum prawosławnego w Astrachaniu, gdzie się dotychczas znajduje.²⁾

¹⁾ „Smutna to była chwila — pisze Magier — w zamku królewskim, kiedy ten pan, Warszawę, w której mile swe życie przepędził, swe mieszkanie i służących miał opuścić. Wyszedłszy z swych pokojów, ubrany na drogę w rysiej kierezyi i aksamitnej czapce czarnej, Voltairowską zwanej, otoczony całym prawie dworem, każdemu prawie bez wyjątku dawał swe ręce do ucałowania, powtarzając te słowa: Póki mnie będzie dobrze, póty i wam“. „*Rękop. Z.*“

²⁾ F. Radziszewski: „*Wiadomość hist.-stat. o znakomitych bibliot. i arch. publ. w Polsce*“. Kraków, 1875, str. 92.

XXIII.

Znaczenie pamiętnika Reverdila — Dzieje zakulisowe. — Charakterystyka pamiętnikarza. — Rola cudzoziemców na dworze Stanisława Augusta. — Zakonczenie.

Gdyby pamiętnik Reverdila zawierał w sobie materiał historyczny, rzucający światło na dzieje krajowe z końca XVIII wieku, na osoby i stosunki polityczne tejże epoki, bezwątpienia, należałoby ów pamiętnik ogłosić w całości, w oryginale i zaopatrzyć go komentarzem, wyjaśniającym na podstawie współczesnych źródeł fakta, o jakich wzmiankuje.

Z tego jednak, co w poprzednich rozdziałach podane zostało, łatwo przejść do przekonania, że materiał w dzienniku Reverdila zawarty, oprócz faktów odnoszących się do najbliższego otoczenia Stanisława Augusta, i to, faktów, przeważnie prywatnego, zakulisowego charakteru, nie nosi na sobie cechy historyczno-politycznej, a stanowi raczej kronikę pobieżną umysłowych zajęć, a poniekąd i najprywatniejszych stosunków króla Stanisława, przydatną dla lepszego scharakteryzowania jego skłonności i upo-

dobą, kronikę ze wszechmiar ciekawą, lecz nie nadającą się do podniesienia jej do godności historycznego obrazu epoki.

Jedna, najwybitniejsza strona tej kroniki, dotycząca starań króla około urządzenia biblioteki zamkowej, najprzód prywatnej, a następnie publicznej, o czem, jak dotąd, głuche tylko istniały wzmianki, znalazła w pamiętniku Reverdila wyczerpujące wyjaśnienie.

Szczegóły, do tych starań królewskich odnoszące się, uwydatniają nam dokładniej, niż dotychczas, osobistość monarchy, pełnego najlepszych chęci i wykwiutnego wykształcenia umysłowego; malują nam barwnie epokę ogólnych starań o podniesienie oświaty krajowej, o zaopatrzenie społeczeństwa w dostępne do kształcenia się środki.

Ta jedna choćby zaleta pamiętnika zdolna jest pokryć płaszczykiem pobłażania szczegóły skandaliczne, o jakich Reverdil z dziwnym rozpisuje się cynizmem.

Wiedziano dotychczas, że król Stanisław August do anachoretów nie należał i do nich się zaliczać nigdy nie miał ochoty, lecz nieiedziano, aby w życiu swoim hulaszczem dopuszczał się sposobów, przypominających Ludwika XIV w bezwzględnej narzucaniu grzechów własnych—usłużnym i giętkiego karku dworakom...

Pamiętnik Marka Reverdila, zrywa zasłonę z królewskiej alkowy i ukazuje ją nam jako stekowisko namietności poziomych, z całym aparatem środków cynicznych, czyniących otoczenie dworskie

posłusznem narzędziem samowoli monarchy lekko-myślnego, w sposobach do zaspakajania swych wybryków namiętności nie przebierającego.

Wiarogodność owych szczegółów żadnej wątpliwości poddana być nie może, ile że autor pamiętnika bynajmniej o jego ogłoszeniu nie myślał i że wszystko to, co przytacza, nosi na sobie cechę spowiedzi przed sobą samym, bez odcienia żalu za spełnione występki, rodzaj wynurzeń natury jak najosobistszej, niemniej jednak do scharakteryzowania epoki bardzo podatnej.

Szczegóły prywatnego życia Stanisława Augusta pobieżnie dotychczas znano. Pamiętniki króla i jego korespondencya ogłoszona w rozmaitych wydawnictwach, stanowią raczej retoryczną próbę usprawiedliwienia się przed potomnością z politycznych grzechów. Jestto robota na okaz, wykonana bez przekonania i szczerości, z wiedzą, że ją kiedyś czytać i oceniać będą...

W pamiętniku Reverdila mamy obrazek, odnoszący się do początkowych lat królowania monarchy, zajętego poważną myślą gruntownego wykształcenia umysłowego i zdradzającego już na wstępie te skłonności, jakie następnie w całej pełni ku zdemoralizowaniu społeczeństwa był rozwinał...

Podaje go człowiek z najbliższego otoczenia królewskiego, wtajemniczony w sieć intryg dworskich, świadek codziennych niemal czynności swego pana, któremu służy bez skrupułów, z zaparciem się niemal swej człowieczej godności.

Jako typ karyerowicza i dusigrosza, dbającego

jedynie o kieszeń własną i o własną karyerę, choćby za cenę opodlenia, lamentującego nieustannie nad niewdzięcznością i skąpstwem króla, pomimo wszystkiego, co dlań przez szereg ćwierćwiekowej prawie służby nieustannie czynił, nie stanowił Reverdil wyjątku, w epoce, przepelnionej osobistościami *eiusdem farinae*... Charakteryzuje go wszelako najzupełniejsza obojętność dla losów kraju, wśród którego spędził życie i na którego zgon polityczny własnymi patrzył oczyma. Każdy inny, większej nieco wartości moralnej człowiek, znalazłszy się w tak ciekawej, dziejowej doniosłości epoce, cudzoziemiec zwłaszcza, byłby tak, jak to brat Reverdila, przyboczny króla duńskiego, uczynił, pozostawił po sobie choćby ślad wrażeń tych wypadków, jakie się przed nim przewinęły; byłby znalazł jakiekolwiek słowo współczucia nad niedolą swego pana i tych, którym go narzuciły losy...

Marek Reverdil obojętnie przechodzi około tych wypadków, zaledwie słówkiem wspomina o faktach ważniejszych i to wyłącznie w odniesieniu do swoich poziomych, względnie obficie zaspakajanych aspiracyj; nie znajdując w swoim słowniku ani jednego wyrazu dla wypowiedzenia żalu nad ogólną niedolą. Jaki pan, taki kram.

I nie jeden tylko Reverdil grzeszy takim indyferentyzmem dla otoczenia. Przeważna większość owych cudzoziemców, przybłędów z całego świata, snujących się około osoby marnotrawnego króla, żywiących się obfitami odpadkami od stołu monarchy, łaknie tylko grosza i odznaczeń, zachowując się

nieraz wrogo względem społeczeństwa, którego sztuczną stanowiła narośl.

Prawda, że ów element cudzoziemski na zamku królewskim z końca XVIII stulecia zostawił ślady swego działania w pięknych wzorach pędzla, rzeźby i budownictwa, rozkoszujących nas do dziś dnia urokiem swoich okazów i zacierających w estetycznem zadowoleniu następców krwawe i brudne plamy epoki, której swój byt zawdzięczają. Takież same słówko pobłażania należy się i Markowi Reverdilowi, którego staraniom zawdzięcza potomność uporządkowanie ocalałych zabytków piśmiennictwa, które, chociaż następnie rozproszone i oddalone od ogniska swego powstania, służyły czas pewien umysłowej kulturze pokolenia, wychowanego pod kierunkiem jednego z najświatlejszych mężów swej epoki i w pomnikowych jego dziełach należycie spożytkowanemi zostały.

OBRAZEK WARSZAWY
I ŻYCIA WARSZAWSKIEGO

Z TRZECIEGO DZIESIĄTKA BIEŻĄCEGO STULECIA.

Fotogram rękopisu.

Zmarły w roku 1837 Antoni Magier, b. profesor liceum warszawskiego, pozostawił był, oprócz hojnych zapisów na rzecz ukochanego przez siebie rodzinnego miasta, i spory rękopis, pod tytułem *Estetyka miasta Warszawy*, z którego przed wielu laty czerpali: F. M. Sobieszczański, Julian Bartoszewicz, Michał Baliński i K. Wł. Wójcicki. Każdy z nich korzystał z notat Magiera w takiej mierze, jaka do specjalnych badań nad przeszłością Warszawy była mu potrzebna. Historyczną przeto część pamiętnika Magierowskiego spożytkowano wyczerpująco; lecz większa część notat Magiera, odnosząca się do obyczajowej strony dawnej społeczności miasta Warszawy, pozostała bądź nietknięta, lub też wraz z efemerycznemi kalendarzami z lat pięćdziesiątych, w których jej ułamki drukowano, zatracona, przedstawia po dziś dzień ponętny dla miłośników historyi materiał.

Losy rękopisu Magiera były dosyć dziwne. Zawieruszony pomiędzy papierami Michała Balińskiego, powędrował z nim razem do Wilna. Pozostała po śmierci Balińskiego rodzina, sprzedała oryginalne

noty Magiera wraz z pięknie sporządzoną ich kopią pewnej bibliotece zamiejscowej, która ze swej strony odstąpiła je zarządowi jednego z bogatszych księgozbiorów warszawskich (Z) i tym sposobem dalsze losy notat Magiera w pewniejsze dostały się ręce.

W epoce, gdy Sobieszczański, Bartoszewicz, Bałiński i Wójcicki, pełnemi garściami czerpali z historycznych przypisków „Estetyki miasta Warszawy“, część pamiętników, obejmująca, w formie listu, szczegóły odnoszące się do życia Warszawy z pierwszej ćwierci bieżącego wieku, była zbyt jeszcze świeżą dla pamięci żyjącego podówczas pokolenia.

Dziś jednak, gdy ponad głowami naszymi przeszła już fala nowych kilku lat dziesiątek, list ów przybrał cechę historycznego dokumentu, źródła autentycznego do poznania życia społeczeństwa warszawskiego, w okresie dziejowym nader ciekawym i charakterystycznym.

Kto był owym dostojnym korespondentem Magiera? — dociec trudno. W kopii rękopisu przepisywacz ułatwił sobie zadanie, postawiwszy dwie wielkie niewiadome w formie literek N. N. Oryginał wszakże nie obejmuje owych zagadkowych liter, lecz wyraża je głoskami S. W.

Pozostawiając wszakże na uboczu kwestyę odcyfrowania autorstwa listu, choćby nawet ono fikcyjnem być miało, przyjrzyjmy się bliżej nieco szczegółom pamiętnika szambelana, ze wszech miar dla dzisiejszego czytelnika ciekawym i pojętnym. Objąć należy, że autor listu, po długiej niebytności

w Warszawie, staje wpośród jej murów, zdziwiony korzystną zmianą, jaka w jej urządzeniach wewnętrznych się ujawniła i okiem bacznego obserwatora rozpatruje zwyczaje i obyczaje jej mieszkańców.

I.

Hotele. — Dorożki. — Łazienki. — Wiejska Kawa. — Ogród Saski. — Traktyernie. — Ogród Krasieńskich. — Mody. — Akademicy. — Ogródek Berchowski. — Kuryer Dmuszewskiego.

W okresie czasu między rokiem 1815 a 1825 ulica Nowy Świat w Warszawie, do lichych przedmieść zaliczana, na której było zaledwie trzydzieści murowanych domów, szybko wzrastać poczęła i przyozdabiać gmachami wspaniałemi, ciągnącemi się długim szeregiem aż do placu, dziś nazwę św. Aleksandra noszącego.

Począwszy od przebudowanego frontu kościoła dawniej OO. Bernardynów, aż do pałacu i ogrodu Belwederskiego, w roku 1818 przez rząd od Teresy Kickiej zakupionego, część ta miasta, stała się główną arterią ruchu ulicznego, w niczem niepodobną do dawnej, wieś raczej, aniżeli miasto, przypominającej dzielnicę.

„Stałem — pisze nasz szambelan — w hotelu daleko porządniejszym, niż dawne *Kłopotkie*, *Wareckie*, a nawet i *Rydzyn*. Chciałem wyjechać. Mało

jest teraz remiz i są drogie. Sprowadzono mi doróżkę. Jest to pojazd prawie tak brudny, jak dawny fiakr. Otwarty, jak kocz, a po śliskich szczeblach, trzeba się drapać do siedzenia. Mam „drukowanego” przewodnika, nie potrzeba mi żadnego już faktora.“

Po załatwionych sprawunkach na mieście, każe się gość nasz wieźć do Łazienek. Zachwyca go w przejeździe Nowy Świat i szereg nowo wystawionych domów¹⁾.

„Wygodnie i rozkosznie zjechałem z góry przed pałac. Piękny pałac! Dawniej, jadąc do niego, trzeba było mijać same prawie domki i parkany.

„Powracając, wstąpiłem na *Wiejską Kawę*.

„Co za pyszna Pomarańczarnia! Westchnąłem, widząc jeszcze starą altankę w ogrodzie. Jadę dalej, patrzę, ładniutki rzymski Panteon jest w Warszawie. Poszedłem do ogrodu Saskiego. Gdyby nie po tym starym pałacu, nie poznałbym go, tak obszerny. Mówią, że tam później mają być fontanny. Ale zkad woda? Parowa maszyna z Wisły ma jej dostarczać.

¹⁾ Istnieje z owej epoki zbiór Leonarda Schmidtnera obejmujący widoki cenniejszych gmachów Warszawy, częścią z natury zdjęte, częścią według planów wykonane. Znajdujemy tam: Zamek od strony Wisły, pałac b. namiestnika, Łazienki, Belweder, pałac ord. Zamoyskich, pałac Krasińskich, pałac prymasowski, ratusz, mennicę, b. gmach Towarzystwa przyjaciół nauk, obserwatorium, pałac Krasińskich przy Żelaznej Bramie, dom jarmarczny, dom Petyskusa, pałac Teppe-ra, ujeżdżalnię, koszary, lazaret wojskowy, b. koszary artyleryi, b. szkołę artyleryi i inżynierów, pałac uniwersytetu, kościół św. Aleksandra, kościół św. Krzyża, kościół Karmelitów, kościół Bernardynów z dzwonnica, kościół Domini-

Ach, cudowny wynalazku!¹⁾ Trzydzieści przeszło lat, jak byłem w Warszawie. Kto mnie miał zaprosić do siebie na obiad? Chodziłem więc po restauracjach i traktyerniach.

„Są tu, jak w każdym wielkiem mieście, dobre i mierne. Powinny być i garkuchnie. Do traktyerni i kawiarni ponieważ się schodzą różne stany, tam można średnio sądzić o obyczajach“.

Zachodzi tedy gość nasz do traktyerni i ubolewa nad nieporządkiem i hałasem, jaki w tych zakładach panował. Dziwi go niewłaściwy sposób tra-

kanów, kościół św. Andrzeja, pałac Saski, pałac Brühlowski, pałac Tyszkiewiczów, pałac Krasińskich na Krakowskim Przedmieściu, pałac Mostowskich, Marywill, dom Rezlera, dom Mikulskiego, koszary Sapieżyńskie, rogatki Marymonckie, rogatki Mokotowskie, rogatki Wolskie, rogatki Jerozolimskie.

¹⁾ W roku 1822 Ludwik Metzel, sławiony hydraulik, chcąc Warszawie przydać ozdoby, a zarazem opatrzyć ją w wodę, na której często mieszkańcom zbywało, podał myśl, aby obok pomnika Kopernika, jako w najwłaściwszem położeniu miasta, wykopaną została obszerna skrzynia rumusowa, z której woda przez rury pod znaczniejszemi ulicami przechodzić miała do kilkunastu fontann, czyli wodotrysków, po różnych przestrzeniach miasta wystawionych. Wody zaś do wspomnianej skrzyni dostarczać miała z Wisły machina parowa, od której wzdłuż ulicy Oboźnej, wpadać miała do skrzyni rumusowej. Każdy wodotrysk miał mieć kurek do zamykania wody w rurze, tak dalece, iż w letniej porze od pewnej godziny przed wieczorem, wytryski po mieście miały być zamykane, a liczne podobne fontanny w ogrodzie Saskim miały być otwarte. Pomysł ten, wymagający wydatku dwóch milionów złotych, do skutku doprowadzonym nie został. (Magier).

ktowania usługujących dziewcząt. Zdaje się, że to apostrofa do terażniejszości.

„Co temu służąca winna, że potrawa komu nie do smaku? Co jeszcze nieznośnego, dopiero jeden szkaradnie ją łaje, drugi się z nią cacka, zatrzymuje i usłudze przeszkadza. Gdy przyjdzie płacić, co korowodu z oddawaniem reszty!“

Gość nasz spaceruje po ulicach. Zachwyca się litografiami w wystawowych oknach sklepów i znajduje, że takiego przepychu miasto przedtem nie znało. Tu jednak spotyka się z rzeczywistością przykrą.

„Idę przez Stare Miasto. Na placu licytacja. Piękne sprzęty, nowiuteńkie. Pytam się, po czyjej to śmierci? Nie, odpowiadają. To tego małżeństwa, co tam stoi! Dopiero drugi rok, jak się pobrali, ale cóż? Mąż prawie pół majątku wydał na ekwipaż i ustrojenie pokojów. Bywało to i dawniej“.

Smutne te refleksje nie wstrzymują naszego gościa od chęci zobaczenia teatru. Dąży tedy przez ogród Krasińskich na plac, gdzie w środkowym gmachu mieściła się świątynia sztuki.

Ogród Krasińskich znacznie rozszerzony, nastrocza autorowi pole do uwag nad pięknnością Warszawianek.

„Co teraz ładnych kobiet — pisze — podobno więcej niż dawniej, bo się też daleko lepiej ubierają. Co dawniej znaczyły te kabaty, lewitki, bufonki, ten puder na głowie, pomada? Dzisiejsze lekkie tkanki lepiej ulegają i odznaczają smagłą kibić panienek. Głowy pięknie stroją. Własnymi je umieją zdobić włosami“.

„Spotykam pensyą. Żadnej panny nie widzę ospą zeszpeconej. Błogosławiony od ludzi Jenner, zasłużył sobie na pomnik“.

„Odpocząłem na ławce. Zastałem tam rozmawiającego akademika. Miło go było słyszeć. Wiele erudycyi. Opowiadał coś z historyi naturalnej. Siedział *takoż* i adwokat. Ten zbaczał do prawa natury...“

„Uważam przechodzących. Kobiet widzę dosyć, mężczyzn mało. Dlaczego? Obok mnie ktoś odpowiada: Siedzą po biurach, piszą, pilnują ich tam dobrze... Inni muszą doglądać administracyi. Mój Boże! Przedtem tego nie było. Młodzik ledwo zagrzeżał miejsce w kancelaryi, wyleciał na miasto i myślał tylko o zabawie“.

„Przypomniałem sobie, iż nietylko bywał dawniej do przechadzki ogród Krasińskich, ale przy Miodowej ulicy uczęszczałem *takoż* przed odjazdem moim z Warszawy do ogródka publicznego, który zwano „Borchowskim“, teraz przy pałacu pod liczbą 492¹⁾. Bywała w tym szczupłym ogródku przyjemna zabawa, z przyczyny, iż łatwo spotkać się można było z osobą, z którą kto pragnął się widzieć“.

„Poszedłem na teatr. Przy wejściu coś nowego. Trzeba zostawić laskę za kontramarką! Wchodzę na salon. Na pierwsze spojrzenie bardzo piękny. Łoże mają jednostajne tło, nie są tak upstrzone jak dawniej, firankami i lusterkami“.

¹⁾ Obecny pałac arcybiskupi, dawniej własność W. K. Borchy, sprzedany za czasów pruskich za trzy tysiące dukatów.

„Grupy osób siedzących po łóżach, oświecone pięknem światłem jednego środkowego kinkietu, są do malowania. Scena się otwiera. Nie wspomnę ani o grze aktorów, ani o sztukach, jakie dają, bo mamy aż nadto o tym po gazetach rozbioru sztuk, recenzji, krytyki, repliki, zdania o sposobieniu się aktorów, aktorek, których my na prowincyi nie znamy. Nie dziw, że młodzież dobrze występuje na scenę. Alboż nie mają dyrekcyi, reżyserów, konserwatorium, szkoły dramatycznej? czego dawniej nie bywało. Wielki świat najwięcej gra aktorów i aktorek się zatrudniał i uczył je dobrego tonu...

„Poznałem się na parterze z wydawcą *Kuryera*. Człowiek przyjemny i ujmujący, ma wiele sobie życziwych, dobrze wychodzi na swojej redakcyi. Ale ma ztąd skrytych zawistników...”

Lakoniczną wzmiankę o redaktorze *Kuryera Warszawskiego*, Dmuszewskim, i o jego piśmie, uzupełnić należy szczegółami, podanemi przez Wójcickiego w *Cmentarzu Pow.* (II. 126).

„Ludwik Adam Dmuszewski, b. aktor sceny Teatru nar. w r. 1821 nabył od Brunona hr. Kicińskiego pisemko: *Kurier Warszawski* za 1,000 dukatów. Od 1 Stycznia 1823 r. objąwszy redakcyą, utrzymywał dawny format dwuściatkowy. Dopiero od 1 Kwietnia 1824 r. urządził własną drukarnią i zmieniwszy format na dwuściatkowy, o większym druku, prowadził redakcyą przez lat 24. On to podniósł liczbę prenumeratorów do niesłychanej u nas cyfry i zrobił go niezbędną potrzebą każdego mieszkańca Warszawy“.

„Ażeby rozpowszechnić pismo — podaje Wójcicki — użył bardzo dowcipnego sposobu. Uorganizowawszy za opłatą to młodzież teatralną, to rzemieślniczą, w gromady, puścił je na miasto. Każdy taki zastęp miał wyznaczoną sobie dzielnicę ulic; w tej wbiegali hurmem do szynku, kawiarni, cukierni i traktyerni, wołając tłumnie o kawę, poncz, wódkę, piwo i jadło; a kiedy właściciel zakładu uradowany natłokiem gości pospieszał z usługą, zapytują razem: „a *Kuryer Warszawski* jest?“ Otrzymawszy odpowiedź, że nie trzyma tego pisma, jednozgodnie wołali: „Kiedy tak, to my pójdziem dalej, gdzie *Kuryera* przeczytamy!“ I jak weszli tłumnie, tak razem wychodzili. Skutek spodziewany uwieńczył dowcipny sposób; w ciągu dni kilku wszystkie pomienione zakłady pospieszyły z prenumeratą na *Kuryera*. Tą drogą pismo to upowszechniło się pomiędzy ludem warszawskim. Wspierał je w tym czasie Magier co do miejscowości Warszawy, zabaw w niej dawniejszych i uroczystości obchodzonych; wspierali i inni literaci, to dając mu szczegółki z dziejów krajowych i zwyczajów, to wspomnień i świeżych wypadków“.

II.

Goście w traktyerni. — Eleganci. — Dziwne obyczaje. — Gawędy. — Wizyta u urzędnika. — Jejmość i imościanka. — Sprzęty. — Umeblowanie. — Goście. — Pan Osiński. — Młodzież i zabawy. — Muzyka. — Nauczyciele śpiewu.

Po teatrze udaje się nasz szambelan na kolacyą do traktyerni i z niechęcią wspomina o dziwnych obyczajach, jakie się między gośćmi podówczas praktykowały.

„Umieliśmy dawniej — pisze — nosić z niechcenia nasze kapelusze w ręku, nawet i pod pachą. Teraz z wielką ochroną kładą je, lub spocone czapeczki, na krytym, białym obrusie, tam nawet, gdzie kto ma siedzieć. W kapeluszu ma każdy jakąś szyfonię do chowania chustki, rękawiczek, cygara, lub innych drobiazgów, dla tego nie dziw, że, zdejmując go ze stołu, trzeba często szukać ze świecą coś zgubionego. Nadeszła służąca z potrawą. Zaczynają goście jałowemi facecyami bawić się z nią, na które ona dość rozsądne nieraz dawała odpowiedzi, bo jak dawniej z prowincyi dziewczęta brały polor po dworach, tak teraz w Warszawie po traktyerniach

i kawiarniach; niektóre stroją się nawet podług ry-
cin żurnalów, których im poufali przyjaciele dostar-
czają. Obok mnie siedział jakiś panicz z wąsikami,
który, dając swemu pudlowi kawał kotleta z sosem,
splamił mi surdut, a właśnie teraz, kiedy w War-
szawie całej niema ani jednego doskonałego pla-
miarza. Z drugiej strony jakiś urzędnik wygodnie
palił tytoń, mimo to, że czytał na drzwiach grze-
czną prośbę od gospodarza, aby stołowy pokój mógł
być od niego wolnym; posilając zatem żołądek bra-
łem razem w siebie i gorzką fumigacją. Nadeszło
więcej młodzieży, którzy z siedzącymi witali się
wielkimi całusami. Sądziłem, że od dwunastu lat
przynajmniej z sobą się nie widzieli. Jako żywo,
wczoraj byli razem konno na szybkobiegaczu, (Pa-
włowskim, który od rogatek Jerozolimskich do Ra-
szyna dobiegł w 85 minutach). Znudził mnie jeden
nie stary człowiek, który, starym zwyczajem, obiema
rękoma oparty na stole, prawie po łokieć, pijąc
piwo, za każdym haustem odchrząknawszy, pukał
o stół dnem wypróżnionej szklanki. Podobał mi się
jeden młody, przeciwko mnie siedzący, któremu, gdy
przyniesiono potrawę, zręcznie ujawszy prawą ręką
za nóż, a lewą za grabkę, bez łakomstwa, gładko
z dołu na górę kawałki potrawy razem z sosem
windując, zdawał się, iż za młodu uczono go, aby
lewej ręki równie jak prawej używał do każdej ro-
boty, czego dawniej nie przestrzegano w dzieciach,
które, niezgrabnie jedząc, za każdym razem z lewej
ręki przenosiły widelce do prawej. Nasłuchawszy
się różnych rozmów u stołu, wyszedłem do bilardo-

wego pokoju na szklanę ponczu. Siedziało przy mnie kilku cywilnych, ale jak się wdali w historią o roku 1812 i 1813, końca temu nie było: jeden drugiemu przerywając, opowiadał swoje szczególne zdarzenia wojenne. Przykro jest słyszeć, kiedy kto nie wymawia słów, jak powinny się wymawiać. Był tam jeden, który się zdawał i języki obce posiadać. Przebijała się jednak w nim jakaś niewiadomość, gdy używał słów: *karkularya*, *chwestarz*, *kalesze*, *kaistrat*, *tretuar*, zamiast: kalkulacya, kwestarz, galosze, kastrat, trotuar, a z tym gminnym wyrazem: *kiepski*, bardzo był oswojonym, a do tego, jak to często bywa, że ten, co ma mocniejszy głos i głośniej się śmieje, bywa bohaterem towarzystwa. Przytem, gdy kto jaką anegdotkę opowiadał, ten, co po nim miał mówić, zaczynał zawsze od tego: ja panom co lepszego jeszcze powiem, lubo pokazało się potem, że nie było czego słuchać. Niedługo wyszedłem, pomyśliwszy, że przed półtorasta lat musiano tak rozwodzić się nad wojną szwedzką, lub klęską w kraju po morowem powietrzu“.

Po takim z natury schwyconym obrazku, opowiada nasz gość wrażenia swoje, jakie odniósł z wizyty, oddanej pewnemu urzędnikowi, do którego był zaproszony na obiad.

„Zastałem samą tylko jejmość z córką, która bawiła się rysowaniem kwiatów. Było tam dwóch mężczyzn, zapewne dawnych domu znajomych. Rozmawiając o przedmiotach bardzo ogólnych, uważałem pokoje pięknie ubrane i w smaku takim, aby wygodę umieć połączyć z wytworem. Pantaleon, brzozy,

dywany, sprzęty nowego kroju, okazywały dostatek, co mnie tem bardziej cieszyło, że jak zapewniano, wszystko krajowej było roboty. Szczęśliwego, rzekę, doczekaliśmy się przecie czasu, że nasi współziomkowie nie tylko płodem krajowym żywić nas mogą, ale swym przemysłem zastępować te potrzeby do wygodnego życia, któreśmy drogo z innych krajów opłacali, i że niewiele już mamy osób, które z napisu tylko miasta zagranicznego sądzą o wartości sprzętu. Widziałem dwa obrazy olejne rzadkiego pendzla, o których sama pani S. opowiadała mi, jak ją mało kosztują i że podobne oryginały w daleko teraz niższej cenie można dostać jak dawniej. Zbliżywszy się do okna, nie nie mówiłem, widząc szkło (sic) w szybach, nieodpowiadające dostatkowi ubranego pokoju. Jeszcze w Warszawie nie widać w tem przepychu, i prawdę mówiąc, na Nowym świecie, w szczupłym domku jakiegoś rzemieślnika, widziałem tylko szyby i czyste, i zdobiące jego mieszkanie. Pytałem się, do kogoby należał dom naprzeciw stojący, pokryty blachą żelazną, chwając ten u nas wprowadzający się zwyczaj, sto razy lepszy nad nasze stare dachówki“.

„Zacząłem rozmawiać z córką, siedzącą przy stoliku, panną pięknego wychowania. Tymczasem już się zjeżdżali zaproszeni goście. Wkrótce nadzedł sam gospodarz, człowiek pełen grzeczności, posiadający języki i wielki lubownik muzyki“.

„Okolo czwartej poszliśmy do stołu. Salon pięknie draperyą ozdobiony. Duże okno środkowe wychodziło na balkon. Stół nakryty na kilkanaście

osób. Bawiliśmy się dobrze. Wybór potraw, *melszpeis*, palący się płomieniem, i różne nowalijki, dopełniały uczczenia gości. Było tam dwóch sędziwych urzędników. Pan Osiński, przy płynnej i wesołej mowie, utyskiwał jednak na stratę, którą ponosi na antrepryzie teatralnej. Było jeszcze kilka osób do naszej rozmowy, bardzo rozsądnych, która toczyła się o zaprowadzeniu nowych instytutów, stowarzyszeń, o listach zastawnych, przeciwko którym gromił jeden pulchniutki kapitalista, aż mu policzki drgały, jak o nich rozprawiał. Wino szło porządnie. Ja, co niewiele piję, byłem świadkiem, że pękło jednak parę tuzinów butelek. Kobiety siedziały bliżej okna i kilku młodzieży bawiło je. Między nimi Sagatyński, niemłody, pełen anegdot, z których kobiety śmiały się do rozpuku. Obmowa jednak pierwszym była ich przedmiotem... Bo kobiety i dzisiaj są takie, jak były przed lat pięćdziesiąt. Co mnie najbardziej bawiło, to w końcu stołu różne wodewile, śpiewane przez kobiety, z towarzyszeniem niektórych mężczyzn. Córka pana S. siadła przy pantaleonie i bawiła kompanią swym ślicznym śpiewem. Głos, gdyby dzwonek. Mówiono mi, iż jeden z teatru uczy ją śpiewać. Tego dawniej nie bywało. Do śpiewania zawsze trzeba było wziąć Włocha. W otwartym gabinecie było widać arfę, wiolonczellę i parę skrzypców. W końcu zostawiliśmy niektórych przy grze, a mnie i jednego z gości wziął pan S. do koczka i pojechaliśmy do obozu. Nic piękniejszego w życiu nie widziałem w tym rodzaju“.

III.

Wędrówki po Warszawie. — U Baldego. — Kawiarnia Sabatowskiej. — Pałace. — Fajczarnie. — Domek Majerhofera za Żelazną Bramą.

W wędrówkach swoich po Warszawie, zaszedł nasz gość do kawiarni, w których się ogniskowało podówczas potoczne życie Warszawian.

„Poszedłem — pisze — do Baldego¹⁾. Pokoiki bardzo porządne, przystrojone włoskimi obrazami. Kawa nie najlepsza. Wziąłem gazetę do czytania, ale świeca zaczęła mi się migać od wiatru uwijających się dziewcząt po pokoju, chociaż nie było nikogo z gości.

„Byłem w drugiej. Pięknie usługujące dziewczęta, to prawda, ale dosyć było osób, które mnie niebardzo zadowolniły. Wypiwszy szklanekę ponczu, razem z dymem od fajek, których było w izbie podostatkiem, nie miałem co więcej robić i opuściłem to miejsce. Zalecono mi „Kawiarnią Paryzką“ Lursa.

¹⁾ Kawiarnia Baldego mieściła się na ulicy Długiej, w kamienicy dziś SS. Naimskich.

Przeciwko temu urządzeniu niema co mówić: wielkie lustra, stoły marmurowe, bufet okazały, przypomniały mi kawiarnie, którem widział w Paryżu. Usługa i sreberka do kawy porządne. Kazałem garsonowi dać sobie kieliszek kardynała, nowego dla mnie napoju, i parę sucharków. Uważałem, że w tym domu, przeciwnie, żadnej nie musi być kobiety, któraby zwierciadła, szkło w oknach i kryształy uwolniła czasem od pstrocizny much, a firanki od kurzu. Mnóstwo pism francuzkich, leżących na środkowym stole, sprowadzało mnie tu często do czytania.

„Słyszałem o jednej, niedawno założonej kawiarni. Poszedłem i tam (Sabatowska). Wchodzę, tłum ludzi młodych, starych mało. Tytoń zaczął mnie dusić, chociażem do niego cokolwiek się przyzwyczaił, odwiedzając dzisiejsze publiczne zabawy. Mówić bowiem teraz przeciwko tytoniu (tak) byłoby toż samo, co opierać się przeciwko pędowi (tak) wody. Owszem, należy go wielbić, bo suknie moje, które wieszam w szafie, u siebie, w hotelu, chociażby sześć lat w niej zostały, żaden by mól ich nie tknął, tak są przejęte ckliwym jego zapachem. Zastanowiło mnie to, że kiedy inne kawiarnie mają swoich opiekunów, gdzie sami uczęszczając, innych starają się wprowadzać, tutaj jakaś rozmaitość i tanność dobrych napojów, gry w domino, szachy, kwarteta dobrze odegrane, i to kosztem gospodarza, wabią licznych, cieńszą i gróbszą wełną ubranych gości. Naprzykrzył mi się cokolwiek gruchot kości grających w domino w drugiej izbie. Siadłszy potem u stołu pod kinkietem i przejrzawszy dzienniki, wyszedłem.

„Nie było dawniej takich miejsc w Warszawie. Można było dostać filiżanki kawy lub ponczu, ale na bilarze. Przypominam jednak sobie przez Majerhofera utrzymywaną kawiarnią w szczupłym domku, zaraz przy Żelaznej Bramie, którego teraz niema ani śladu. Jedna mała izba wystarczała na tę kawiarnią, w której, prócz kilku stołków i stoliczków, zegaru szafiastego, w kącie odmalowanej Najświętszej Panny, przed którą lampka zawieszona zawsze się paliła i „*Gazety Warszawskiej*“, więcej nie było. Budowa tego niskiego domku podała myśl księżnej Czartoryskiej, iż kazała go przerysować i w Puławach umieścić, w którym, nie dłuższym nad dwadzieścia kilka łokci, szerokim łokci kilkanaście, prócz kawiarni, była sień, kuchnia z okienkami w ścianach, spiżarka, podwórko na chowanie drobiu, drwarka, buda dla psa, studnia, wygodne schody pod strych na schowanie i t. p. Najpierwszą kawiarnią, gdzie był i bilar, obrali sobie nasi w roku 1724, założoną w dworku po lewej ręce, narożnym, za Żelazną Bramą“.

IV.

U mecenasa. — Gry wieczorne. — Tańce. — Damy i kawalerowie. — Literackie zebrania. — Wist. — Śniadanko u korzennika. — Winiarnie

Wprowadza nas następnie nasz szambelan do rodziny mecenasa N., jednego z najbardziej wziętych ówczesnych jurystów, i okiem baczego obserwatora rozpatruje zebrane tam towarzystwo ludzi ukształconych.

„Zastałem już dosyć gości. Po zwykłym przywitaniu przedstawił mnie pan N. swojej żonie, która grała w wista. Piękna młodzież bawiła się z paniami w gry wieczorne. Podobały mi się dowcipne żarty. Damy w mowie polskiej mieszają francuzczyzną, zupełnie tak, jak dawniej, a naśladując Francuzki, mówią teraz prędko. Po odgadnięciu kilku szarad z żurnala francuzkiego, jedna siadła przy pantaleonie i zachęcała do tańca. Tańczyli mazurki, galopadę, gawota. Kobiety tańczyły lepiej, niż mężczyźni, *chapeau*, bo ci, prędko, ale niebardzo miarowo. Raziło mi uszy to częste pukanie nogami, bo teraz powszechnie mężczyźni nie noszą trzewi-

ków, tylko ciżmy, nieco skórą cuchnące. Gdy przestali taniec, spostrzegłem gdzieś dołki na posadzkach. Domyśliłem się, że to zapewne od gwoździ w podszwie. Dlatego, zaglądając tę chropowatość, innym, niż dawniej, sposobem woskują teraz podłogi, bo smarują je czerwoną masą, która wszystko pokrywa. Roznoszono herbatę, sucharki i chłodniki dla dam. Młodzieży zawsze się niepodoba, że podczas wieczorów nie dają czego z mięsa, aby się mogła nakarmić, nie pomnając na to, że, jak teraz, tak dawniej, wieczory są dla zabawy i sposobności widzenia się z piękną płcią, która inaczej zostawałaby w domu samotna, bo mężczyźni dzisiaj zasmakowali sobie dużo wolną zabawę po kawiarniach i bilarach.

„Jeden z dawnych moich przyjaciół wprowadził mnie do domu innego tonu, gdzie pewnych dni w tygodniu bywają wieczory. Przechodząc się po otwartych pokojach, słyszałem samą francuzką dobrą mowę. Damy, również jak kawalerowie, zachowują razem wesołość i znajomość świata. Jedna z dam, generałowa Mokronowska, z domu Sanguszkówna, miała szczególny dar opowiadania i bawienia innych. W trzecim pokoju słychać było fortepian i cokolwiek tańczono. W salonie kilku wytrawionych (tak) literatów siedziało na kanapie, prowadząc rozmowę o statystyce i literaturze, nie różniąc się w zabawie od innych, jak tylko, że więcej do herbaty dolewali sobie araku, a przy nich młody lekarz łamał także w tem prawa Hipokratesa. Przy okrągłym stoliku jeden poeta, Jaxa Marcinkowski,

bawił słuchaczów swoją wesołością, przytaczając z pamięci różne ballady, sonety, czasem i swoje własne; nie chcę go jednak porównywać z naszym dawnym poetą, Bielawskim. Ciąg jego opowiadania przerywanym był czasem małemi sprzeczkami grających w wista u drugiego stolika. Nie znalazłszy w tym domu takż wielu znajomych, a widząc też samą zabawę, jaka bywała w Warszawie przed laty 30, wyjechałem.

„Idąc raz przed południem ulicą Miodową, spotykam się z panem B., obywatelem ze wsi, cokolwiek mi znajonym. Ten wniósł, aby wstąpić na śniadanie i szklanę wina. Chociaż to jest przeciwko memu zwyczajowi, dałem się jednak namówić. Wchodzimy przez sklep korzenny do izby jednej, drugiej i trzeciej, wszędzie widzę, że nieźle ciągną bańkę... Pan B., jako już w tem miejscu znajomy, pytał mnie się, czy chcę byfsztyku? czy marynaty? kawioru i t. p. Przystałem na kawior, uważając, że tu nie brakuje na różnych ponętach, aby trunek odchodził... Tymczasem rzuciłem oko na gości. Widzę dużo młodych, którzy, jak mówią, dla wzmożenia sił już od rana używają różnych kordyałów. Dawniej stare tylko i zrysowane mury ankrami i skarpami wzmacniano, a stare parkany podporami. Tu widzę, że wyciągają supelki, kto ma fundować wino, tu słyszę różne zakłady między sobą: panie Janie! panie Tadeuszu! (bo po takich kaplicach nazywa jeden drugiego po klasztornemu) to o parę, o sześć butelek wina, o koszt porteru, a to z różnego powodu: której zimy najwięcej było stopni zimna?

Teraz bowiem o stopniach zimna i ciepła tak często zapytują, jakby: która teraz godzina? Dawniej astronom Bystrzycki dla siebie tylko to uważał, ale nas to niewiele obchodziło, myśmy się na tem niewiele znali. Nadchodzi pan B. i siada przy mnie. W ciągu moich myśli mówię do niego, jaką widzę tu odmianę czasów, np.: jeżelim dawniej poszedł z lokajem mego ojca kupować cukru lub kawy u korzennika, widziałem nieraz ze sklepu, przez okienko we drzwiach, siedzących w drugiej izbie, którzy pili wino, ale to był albo wikary ze znajomym dzierżawcą, albo margrabia pałacowy z jakim majstrem, nareszcie kurnicy, szafarze i t. p. Teraz nie dziwię się, że tak liczny handel wina w Warszawie i co kilka kroków na ulicy czytam we trzech i czterech językach napisy o winie w różnych gatunkach.

„Na to pan B.:

— Bo, proszę, dlaczego człowiek ma sobia żałować na trunek dla wzmocnienia sił? (Znowu dla wzmocnienia!).

— Ja odpowiadam — może do lat 30 mało co znałem smaku piwa, bo też i browarów daleko mniej było w Warszawie, jak teraz. Pijałem tak jak inni, przez cały rok zdrojową z winem. Prawda, że to niemal na jedno wychodzi, z tą różnicą, że teraz przez dziesięć miesięcy w roku piją samo wino, a przez parę miesięcy samą wodę, a do tego mineralną... Nie jestem lekarzem, wnoszę jednak, że musi być jakaś przyczyna tak powszechnych teraz chorób jednego prawie rodzaju, na które się skarżą tak starzy, jako i młodzi ludzie, od których dawniej byli-

śmy wolni. Ta fałszywa otyłość młodzieży, twarz dużo rumiana czyli koniecznie ma być znakiem zdrowia? Nadchodzi w tem jakiś starzec, który nas częstował tabaczką, a ja, widząc, że tamtą moją gadaniną, utrudził mego fundatora, pożegnałem go i zostawiłem w tej winiarni.“

V.

W ogrodzie Saskim. — Gawędy o literaturze. — Tabakierka grająca. — Ubiory
działwy. — Uczniowie Lyceum. — Mundurki. — Posiedzenie Towarzystwa przy-
jaciół nauk. — Prelekcye Osińskiego.

„Jednego dnia dla znacznego ciepła przesze-
dłem się do ogrodu Saskiego. Znalazłszy miejsce
na ławce, natrafiłem na koniec już rozmowy o lite-
raturze niemieckiej. Słyszę młodzież, mającą pię-
kne zdania, przytaczającą autorów niemieckich, któ-
rych nazwiska prawdziwie były dla mnie niezna-
jome. My, dawniej, przyznam się, zostawaliśmy w tej
mierze w grubej niewiadomości. Pogardzano tą mo-
wą, nie zważając, że jest sąsiedzką, a później zna-
łem jednak takich, którzy z potrzeby na starość
brali się do gramatyki niemieckiej i uznali, że ten
język co do nauk, literatury i handlu nie powinien
być dla nas obojętnym. Pamiętam dawny wiek, kiedy
niejeden nasz rodak, szczególnie domator, oburzył
się zaraz, gdy usłyszał rozmowę niemiecką, nie ro-
zumiejąc bowiem jej, chciał, aby na całym świecie
mówiono po polsku. Nie dopuszczał nawet, aby jaki

Niemiec mógł być rodu szlacheckiego... Równie prosty chłopiec, fanatyzmem napojony, nie cierpiał Niemca, jako psa lutra. Już się teraz i chłopiec okrzesał z swego przesądu. Nadeszły wkrótce dwie panie, z których jedna miała córeczkę, i zajęły miejsca na ławce już próżnej. Dziecię pięcioletnie, śliczne, wesołe, śmiałe i grzeczne. Zdaje się, że natura dawniej bardziej dla nas była skąpa w udarowaniu dzieci takimi przymiotami. Jeden z siedzących dobył tabakierkę grającą. Dziecię zaczęło tańczyć; na każde zapytanie miało gotowe piękne odpowiedzi i ucieszne. Co do chłopców, teraźniejsi rodzice nie są tak szczęśliwi, dając im podobno za wiele nieumiarkowanej wolności¹⁾. Nie dużo zdawało się być ludzi w ogrodzie, bo się porozchodzili po różnych ulicach, które, naśladować naturę, nie szpalerami już sądzono, ale otwarte, krętą drogą omijają piękne klomby i trawniki. Wtem widzę dwóch uczniów w mundurkach, którzy zbliżają się przywitać swą matkę, obok mnie siedzącą. Ta odzna-

¹⁾ W nader cennych przypiskach tak do owego listu, jako i do „*Estetyki miasta Warszawy*“, mieszczą się szczegóły obyczajowe, przez Magiera skreślone, które dla pamięci potomnych wynotować się godzi. Wzmiankując o formie dawnych ubiorów dziecinnych, pisze Magier: „Niegdyś pobożni rodzice ubierali swe dzieci w sukienki zakonne, jako to: habity Bernardynów, Kapucynów, Karmelitów i t. d., dla otrzymania błogosławieństwa od świętych Patronów, którym poświęcali opiekę nad ich wychowaniem. Następnie ubierano je w dzieciństwo z francuska, w czapeczki z bogatej materii, pod szyję zawiązywano (toque), z burletami na czole, a dorosłejsze, z polska, w żupaniki, których rękawy szerokiemi

czająca się suknia (wprowadzona w r. 1822) chwałebnie zastosowana jest teraz dla młodych, odbierających nauki, którym, równie jak naukom, jedna powszechny niejako szacunek. Przemówiłem do nich kilka słów i dowiedziałem się, że chodzą do wyższych klas w Lyceum. Młodzież dobrze ułożona. W dalszej rozmowie przypomniała mi, o odbyć się mającem dnia jutrzejszego publicznem posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk.

„Nazajutrz nie omieszkałem być świadkiem tak ważnego dla mnie widoku. Wyszedłem z domu dość wcześnie. Idąc, przywodziłem sobie na pamięć, czyli przedtem bywały u nas kiedy podobne posiedzenia naukowe publiczne. Słyszałem o owych dysputach

wstążkami w tyle przepasywano, w trzewiczki, włosy fryzowane i pudrowane, kapelusze, powlekane materyą kolorową, z brzegami haftowanemi, przytem biała kitka na głowie i karabelka przy boku. Od r. 1770 ubierano dzieci w matlotki, to jest po „majtkowsku“. Ubiór ten, stosowany do ich wieku, składały spodnie długie, prawie do kostek, trzewiki, kawtanik (tak) pod szyję otwarty, kryza u koszuli, głowa nisko ostrzyżona i kapelusz czarny, okrągły. Ten ubiór, wygodny i letki (tak), nie przeszkadza chłopcu do zabaw gimnastycznych, biegania i jeżdżenia konno, nadto, teraz powzięte dla dzieci owe tuniki greckie, włosy rozpuszczone, kończące się kędziorami, któryto ubiór głowy dla malarza do rysunku za stosowny, lecz młodemu do wesołej zabawy, chcąc owe długie włosy utrzymać w porządku, nie zdaje się dogodny... Zwykle dzieci, prócz stroju, jaki im za młodu rodzice, najczęściej podług panującego obecnego zwyczaju, obierają, jeszcze przed pierwszym rozwijaniem się swych władz umysłowych, ze strony rodziców lub domowników kierowane bywają do jakowego stronnictwa.

dawniejszych uczonych duchownych, alem na nich nie bywał. Zastąłem, prawda, u mojej babki na ścianie wiszące jeszcze konkluzye drukowane z tych dysput. Przyznaję się, że natenczas brakło mi raz na cierpliwości przeczytania ich do końca, powtórę na znajomości łaciny, abym je zrozumiał. Bywały, prawda, za moich czasów examina publiczne, ale te były szkolne. W tych myślach zbliżam się już do gmachu, do którego dążyłem.

„Wchodzę do tej świątyni nauk. Już zastałem dosyć zebranych ich czcicieli. Płeć żeńska, różne stany, różny wiek gromadził się jeszcze do uświetnienia tego poważnego popisu. Już wyższe miejsca zaczęli zajmować członkowie tego filomatycznego Towarzystwa. Nie oddam treści czytanych przez nich rozpraw, bo nasze pisma publiczne udzielają je nam. Westchnąwszy tylko, pomyślałem nad tem, że będąc w młodości mojej świadkiem wskrzeszenia nauk w naszym kraju, teraz już widzę ich światło, które się pięknie rozwija, bodaj długo jeszcze trwało, nim dojdzie do swego południa! Miałem tam sposobność poznania kilku szanownych profesorów uniwersytetu, którzy uprzejmie zapraszali mnie do odwiedzania swoich gabinetów. Wypełniłem to później, ale te okazywane mi ciekawości były dla mnie przedmiotem górnych wiadomości, które w dawnej naszej szkole rycerskiej płazem tylko dawane były, sposobiąc nas tam raczej do powierzchownej udatności, tak co do umysłu, jako i gimnastyki, zastosowane bardziej dla wielkiego świata, niż na istotną korzyść tym, którzy się chcieli przykładać do nauk.

„Chciałem odwiedzić sławne w stolicy prelekcyę literatury ogólnej, ale po dwa razy, nie dochodząc jeszcze na miejsce, od powracających zwrócony byłem, iż dla słabości zdrowia profesora Osińskiego to czytanie zostało odłożone“.

VI.

W poczekalni mecenasa. — Uczona klientka. — U regenta. — Na Starem Mieście. — Gazetki pisane. — Panna Malewska i stary Feter. — W kawiarni Bautza. — Lekarze warszawscy. — Gawęda o teatrze. — Truskolawska i jej kąpiel.

Już mój proces bliskim był końca, dlatego częściej udawałem się do mego adwokata. Zastawszy go raz bardzo zajętego, zatrzymałem się w pierwszym pokoju, razem z innymi, których majątki, równie jak część mojego, wahały się jeszcze na szali sprawiedliwości.

Usiadłem obok jednej, w wieku już będącej pani, która wielomównością swoją nas zastanawiała, mając tylko na myśli swój proces. Udzielała nam jego szczegóły, które bardziej za indukt, czyli za wprowadzenie sprawy uważać można było. Co zaś nie tak mnie, jak przytomną młodzież dziwiło, że w mowie swojej dużo mieszała łaciny prawnej. Było tam dosyć *kwerendy*, *brachium militare*, *kondescencyi*, *oppugny*, równie w gospodarstwie wiejskiem: *krescencye*, *sterkoryzacye*, *prowenta*, *inwentarze*; do tego miała jeszcze jakieś swoje przysłowia i wyrazy łacińskie, jakoto: *postremo*, *pridie*, *ducta*, *proportione*, *alias* i t. p.

Zaproszona przez adwokata do drugiego pokoju, gdy wyszła, dała nam powód do rozmowy o dawnym naszym prawnictwie.

Rzekłem:

— Tak, panowie, jako nie mieliśmy właściwych polskich wyrazów prawnych, bo dopiero w r. 1788, dnia 30 kwietnia, dany był edykt, czyli wyrok, aby odtąd wszelkie zapozwy i wyroki sądowe w polskim, nie łacińskim języku były pisane; tak i nie mieliśmy swoich właściwych praw. Chwytać nie można było obcych(?) mieszać i wikłać sprawę, za największą poczytując sztukę proces przedłużać, zkaąd oczywiście złe nastąpiły skutki... Co za hipoteka była dawna? Żadna!

Wtem wchodzi dwóch ichmościów, których, gdy spostrzegł niedaleko drzwi siedzący obywatel w narodowym stroju, wstał, zbliżył się do nich, witając dawnym stylem, zaszczycał się łaską ich stryjów, wujów, skarbiąc sobie z największą sumiennością ich względy, chlubiąc się podobieństwem klejnotu herbowego i t. p. Na co, ci ichmościowie, nie mówiąc ani słowa, ukłon, nie schyleniem głowy, ale śmieszem, nawykłem(?) szurgotaniem nóg oddawali. Potem jeden z nich zapytał się szlachcica, jak dawno przyjechał, drugi zaś, jak długo w Warszawie zabawi, a dowiedziawszy się, że adwokat jest zatrudniony, obadwa wyszli.

Przed południem, wyszedłszy z domu, wstąpiłem do mego przyjaciela, któremu obiecałem służyć za rekognoscenta do pewnego aktu przed regentem. Zastałem u niego cokolwiek gości. Wkrótce otwo-

rzono drzwi od drugiego pokoju, dając znać, że już śniadanie gotowe. Poszliśmy więc i widzę stół nakryty, jak zwyczajnie, do obiadu. Gdyśmy siedli, służący roznosił na tacy bulion w filiżankach, dla rozgrzania żołądka, poczem każdy się brał do potraw, zastawionych na środku stołu, to: bifsztyków, kapłonów, kotletów, szynki westfalskiej, salami, rzodkwi, masła i t. p. Nalewano wino, był porter i butelka szampana, który damy dla rozweselenia serca popijały. Po krótkiej zabawie przy tem *dejeuné* (sic) *à la fourchette*, rozchodzili się goście, jedni do swoich biur, drudzy na Saski Plac przypatrywać się paradzie wojskowej, na sądy i t. p. Jejmość poszła do drugiego pokoju kończyć tualetę, a ja pojechałem z wspomnianym przyjacielem do regenta, który mieszkał na Starem Mieście.

Wysiadłszy z koczka, szliśmy przez wąską sionkę, i po małej lampce, błyszczącej w kąciku, za ledwieśmy trafili na wschody kręte do pierwszego piętra. Izba od ulicy nie wielka, brudna, kilka osób zasiedło wszystkie miejsca. Poważny regent Marciński pisał przy stoliku, prosił nas siadać, ale nie było na czem. Nakoniec przyszła kolej na nas. Świadkowie obecni podpisali się. Już rzecz ukończona. Wychoząc, mówię do przyjaciela: widziałem zagranicą biura regentów, których zowią notaryuszami, ale te najczęściej bywają na dole, do których wygodnie z ulicy wchodzić można; kilku tam jest piszących, krzeseł nie braknie i stolików wolnych do liczenia pieniędzy.

Czytałem codziennie gazety i miałem rozrywkę

z „kurjera,” o którym chociaż mówiono, że niema w nim nic nowego, każdy go czytał. Przypomina mi to dawne gazety „pisane.” Znałem ich dwie w Warszawie. Jedną, którą wydawała panna Milewska, mieszkająca w kollegium pojezuickiem, drugą, pisaną przez starego Fetera, sprzedającego proch nad Wisłą, w budzie drewnianej na gnojowej górze, (później, około 1774 r. murawą obłożonej, z nadaniem nazwiskiem „zielonej góry”), ale ten wdawał się w politykę i mieszał dużo łaciny.

Odwiedzałem wszystkie nowości w Warszawie, o których dowiedziałem się z gazet, o nowo-założonych sklepach, restauracyach, fabrykach, których teraz jest dosyć w mieście, na przedmieściach i za miastem, czego dawniej nie bywało, wyjąwszy sławną i obszerną fabrykę Dangla na piękne pojazdy, małą fabrykę bronzów na Grzybowie, kunsztowną garncarską na Belwederze i na składach wytworną stolarszczyznę.

Spotkawszy się raz z jednym znajomym, gdy jeszcze było zawczasie na teatr, mówi do mnie:

— Wstąpmy na literacką kawę do Bautza, tu, niedaleko teatru.

— Chętnie — odpowiadam.

Wchodzę; izba starannie ubrana i alkierz. Nie wiele było pism, bo tylko „*Kuryer Warszawski*” leżał na stole. Zastaliśmy kilka osób rozmawiających i rezonujących.

Szczęście, że ani jednej fajki nie było, bo tylko to jedno miejsce nie czyni intraty fabryce tytoniu, dlatego, każdy, mając wolne usta, użyć je może do

rozmowy. Powiadano mi, że ta kawa wzięła oddawna swój początek przy ulicy Przejazd, przez Kalwodzińską utrzymywana, w małym, drewnianym dworku, który Francuzi nazywają *Café de bois*. Szczupłe miejsce, ale dużo odwiedzane od różnych porządnych osób, od których gospodyni wymagała, aby obyczajność była zachowana. Schodzili się tam nawet różni narodowcy, znać, że dla dobrze urządzonej kawy. Można tam było ułożyć nieraz *galepin* (tak) siedmiu języków. Francuzi. Włosi, kupcy rosyjscy, czasem Turcy i często porządna „hebrajszczyzna“ tam się zbierała, niekiedy mówiono i po hiszpańsku. Ta kawa, pod firmą teraz „Bautza,“ tu się przeniosła.

— Zaczna tu niebawnie schodzić się osoby — mówią do mnie — których warto będzie posłuchać.

Wkrótce też to nastąpiło. Z niechcenia wszczęto mowę o nowo-założonych fabrykach. Nie wiem, jak się zwróciła rozmowa o literaturze polskiej, francuskiej, niemieckiej, wyjąwszy łacińską, o której nikt nie wspominał.

Potem mówiono o teraźniejszych lekarzach. Ten chwalił Kopensztetera, ten Sztachelbranta, Sommera i t. p. Uważałem, a bardziej przekonałem się z przewodnika Warszawskiego, iż teraz nierównie więcej znajduje się lekarzy w Warszawie, jak było ich dawniej, i zacząłem ich wyliczać, których w stolicy po większej części było nadwornych, tak: Regeman, John — Sas, Zanelli, Boeckler, Dunker, O'Connor — Irlandczyk, Luss — Angielczyk, Delbene — dentysta, w r. 1779 Lefevre, który niemały zebrał majątek za ślicznie wprawiane ząbki damom,

które, aby przez niego nie były wyjawione, pięknie złotem bywały okupione. Chirurgowie królewscy: Karol Langenie, sławny okulista Wilhelm Ritsch, Eyer, Piotrowski, Wolhübner, Kalhorn i Mausberger, zamkowy Hirszfeld, doktor u kadetów Arnold, który umarł w r. 1827 — miał lat 81 i t. p. Co zaś tych, którzy się poświęcali usłudze publicznej: Moneta, Gitter, Kostrzemski, Nelson — Anglik, Guts-weller, sławny Lelewel — doktor Augusta III, Czempieński, Waszylewski, syn dawnego aptekarza, razem utrzymujący swoją aptekę, Morelli, Andrychiewiczów dwóch: Jakób i Wojciech, Dupont, Rewel, Morion — Francuzi, potem Mausbergerowie bracia, ci trzech — bardziej chirurgowie, Reinszmit, akuszer, i kilka akuszerów Francuzek i Niemek, jakoto: Dumeunier, Lelievre, Demiduit, Rousseau, Knabe i t. p. Później nastał sławny lekarz Gagatkiewicz, Lafontaine, Bergonzoni, dawniej zostający u dworu hetmana Braniczkiego, i co rok powiększała się ich liczba, jakoto: uczony lekarz Kurcyusz, Szwajcar — później Got-frej, w sztuce swojej celujący i t. p.

Gdy zgromadziło się więcej gości, zaczęto mówić o teatrze, o wczorajszej sztuce, o aktorach, aktorkach. Pytano mnie, jaką znajduję różnicę co do aktorów teraźniejszych a dawniejszych. Nie mogłem ganić dawniejszych, bo szczęśliwe jakoweś zebrało się ich towarzystwo, w małej, prawda, liczbie osób, które, bardziej natura, jak dzieła, ukształciła do teatru, co było powodem, że wielu z młodzieży, mniemając, iż posiadają w sobie udatność na dobrych aktorów, chcieli domy rodzicielskie opuszczać

i udawać się do teatru. Prócz znanych, wyliczałem jeszcze mało co teraz pamiętnych, jako: Kazimierza Owsińskiego, który umarł w r. 1799, Świeżawskiego. Nastarszy ten aktor w scenie polskiej, który umarł dnia 30 listopada 1806 r. u swych krewnych na wsi, na którego zgon napisano:

Ten, co wolny od przesąd, (!) zawsze przez naturę
Bawiąc umysły, czoło rozmarszczał ponure,
Nowy, przez ostateczną, kunszt, okazał scenę,
Gdy swym zgonem Thalią zmienił w Melpomenę.

Kempińskiego, Rotengruber, Bagińskiego, Mierzyńskiego, Hermana. Z kobiet: Truskolawska¹⁾, Grenowiczową, Pirożyńską, Iwańską, Sierakowską, Kossowską, Drozdowską, Nejmanową, Nowicką. Utrzymywała się jeszcze długo rozprawa o teraźniejszym teatrze. Malarz Śliwicki przyganiał dekoracyom. Ten wskazywał wadę tego aktora, ów — zły śpiew śpiewaczki, ten utrzymywał, że cena wejścia jest wysoka. Gdy zabierało się na długie jeszcze takowe wnioski, ja, zabrawszy się, wyszedłem.

¹⁾ Wyborna ta aktorka, od cudzoziemców nawet uważana, przy pięknej postaci swej ciała, celowała jeszcze na teatrze cudną grą swych oczu. Miała wielu czcicieli, między innymi zamięłowany Mikorski udarował ją raz tak woniejącą wanną, gdy mieszkała w przechodniej uliczce przy teatrze, iż po wylaniu z niej wody, przez parę tygodni jeszcze przechodzącym przyjemny roznosiła zapach. Umarła w r. 1831, mając lat 75.

VII.

Pan redaktor Dmuszewski. — Zebrania wieczorne. — Assamble warszawskie.

Nazajutrz i dni następnych nie omieszkałem odwiedzać wieczorami tej kawiarni, bo mi się podobało to towarzystwo, jako ów wianek uwity z pięknie dobranych kwiatów i ziółek, złożone z osób światłych, których zdania, często niezgadzające się z sobą, wzbudzały nieraz rozsądne spory, zdolne do oświecenia tak młodych, jako i starych, wiek bowiem dawniejszy nie może pochlebiać sobie, aby koniecznie młodzież terażniejszą przewyższał w naukach i wielu wiadomościach, których dawniej nie miał sposobności nabycia. Bywał tam prawie co wieczór Dmuszewski, jeden z dyrektorów teatru narodowego, człowiek bardzo łagodny, obdarzony szczególnie pamięcią, której raz dał dowód, gdy wymieniał nam, jakby z rejestru, wszystkie ordery europejskie, w każdym państwie, a co do główniejszych, i które w małej tylko liczbie są rozdawane, osoby niemi uzacnione. W takim towarzystwie osób, z których każda, prócz obowiązków swego przeznaczenia,

oddaje się częstokroć czytaniu dzieł naukowych, lub ma chęć nabierania od uczonych ciekawych i stosowanych do użytku wiadomości, czerpać i nabierać można z łatwością w wielu przedmiotach nadspodziewanego objaśnienia, lub oświecić się, gdzieby je znaleźć było można. Szkoda, że później, w r. 1828, od wprowadzenia tam gry szachów, do której znalazło się dużo lubowników, ustawały owe wspomniane zabawy wieczorne. Od czasu, jak pomnożyły się we Francyi, w Niemczech, w Anglii podobne kawiarnie, ogrody, bilardy i t. p., pomnożyła się także liczba wydawców dzieł, którzy, mając tam sposobność widzenia się z sobą, jedni przez drugich zachęcanymi zostali do udzielania ich światu dzieł bardziej pouczających, jak poprzednio do istot dziwacznych, w murach tylko posepnych zamkniętych.

Prawda, że traciłoby na tem towarzystwo domowe, gdyby mężczyźni nie odwiedzali, jak tylko podobne miejsca, które nie wymagają porządniejszego ubioru, przy zabawie ulubionych fajek, użyciu różnych napojów i wolnej rozmowy, służyć mogą za odpoczynek po dziennych zatrudnieniach. Ale jako częstokroć z jednej okoliczności wzrasta druga, tak teraz wzięte są po wielu domach wieczory, gdzie schodząca się młodzież, obdarzona przyjemnym talentem muzykalnym, bawi słuchaczów kwartetami i śpiewem. Inna, dowcipna rozmowa rozwesela damy, które mają sposobność występowania w nowo-datowanych kosiumach z żurnalów paryskich, niekoniecznie kosztownych, ale technicznie ułożonych. Uprzejma gosposia częstuje wszystkich roznoszona

w kolej herbata, owocami i t. p., nie zapominając o tych, którzy zasiedli do wista, lub ćwika. Tam bywa ubrany salonik, w którym czasem nierówną podłogę okrywa piękny dywan fabryki warszawskiej, krzesła i kanapy z tutejszych magazynów, lub wyrobu krakowskiego, gładko odpoliturowane, służą za wygodne sprzęty, niemniej inne, wymyślne, jakoto: *bonheur du jour*, *table a thé*, z patarafem, na którym goreje stojąca lampa astralna, *bouilliotte* — przeznaczony do gry w karty, *meridienne* — krzesło wygodne, berżery, gondole przy kominku, *Ecran à la Psiché*, *caquetoir* i t. p. Dawniej podobne wieczory po pierwszych tylko domach magnatów bywały dawane, pod nazwiskiem „assambl,” o których już w późniejszych latach wiersz przyłączony wspomina.

Assamble warszawskie w styczniu 1789 roku u wielkich panów:

Ludzkość, hojność, otwartość, tu przyjemność czyni,
 Wszystko jednak przewyższa grzeczność gospodyni¹⁾,
 Wdzięczna, miła, powabna, przyjemna i hoża,
 Nie wiem wprawdzie, kiedy nam zwiędnieje ta róża.
 Powabnie ujmująca, wszystkim się udziela,
 Przyjaciela zapewnia, prostaka ośmiela,
 Temu coś powie, tego swym wzrokiem uraczy,
 Każdy jeszcze przyjemniej to sobie tłómaczy.
 A tak, łącząc dostatek z grzeczności ukazem,
 Zyskuje uwielbienie i szacunek razem.
 Radbym ją dał za przykład tej środkowej pani²⁾,
 Co to z wszystkich się śmieje, co każdego gani,

¹⁾ Assamble czwartkowe u ks. Czartoryskich 1789 r.

²⁾ Wzmianka o pani Potockiej, która była z domu Józefa Mnischówna, kobieta wielkiej edukacyi, lecz pełna złośliwego dowcipu.

Najszcześliwsze przymioty w sobie tylko widzi,
Tem się bawi najwięcej, kiedy z kogo szydzi,
Brylanty i dostatek biją z każdej strony,
Za to mało szczerości, a gęste ukłony.
Ani ten, co to na nas ledwie spojrzeć raczy¹⁾,
Ta nadętość, jak u mnie, wcale nic nie znaczy,
Ta mierna okazałość, przy tak wielkiej dumie,
Nie zna grzecznych dla ciebie, kto być nim nie umie,
O niedzielnych assamblach, wyznam to w szczerości,
Więcej tonów i pychy, niżli obfitości,
Niechaj mnie tu o prawdę nikt nie łaje,
Łatwiej brykać, kiedy król wszystkiego dodaje²⁾.

¹⁾ U księcia Michała Poniatowskiego, brata królewskiego.

²⁾ U Mniszcha.

VIII.

Przyjęcie arystokratyczne. — Dawne obyczaje. — Szlachta. — Zabawy. — Na Podwalu. — U Wernika.

„Gdzie kilka pokojów otwartych oświecały jarzące świece, których światło tłumiliy obicia ciemne, najczęściej karmazynowe, adamaszkowe, z listewkami pozłacanemi, zdobiącemi takż lamperyą i drzwi pokojowe, przy kilku stolikach, stateczne, czyli w pewnym już wieku, damy uklejnutowane i mężczyźni w perukach bawili się grą l'hombra, w pikietę lub tryznę. Liberya roznosiła limoniadę i orszadę, bo lody nie były jeszcze znane, ani używane za czasów Augustów, z obawy może, aby takowe chłodniki nie szkodziły zdrowiu, zimną już etykietą bawiącym się gościom. Każdy z mężczyzn był przy szpadzie i nie odejmował jej, chyba będąc na balu, gdy miał tańczyć, a co do narodowego stroju należały karabele. Trzeba bowiem wiedzieć, iż dopiero od roku 1795 nasz stan rycerski zaniechał noszenia zawsze swej broni przy boku; poprzednio zaś nikt nie ważył się pokazać na ulicę, na urządzie, na sądach i t. p. bez

szpady lub pałasza. Słudzy nawet urzędu miejskiego tak bywali uzbrojeni, a za Augustów jeszcze zachowywany był po parafiach dawny zwyczaj, iż w kościele, przy czytanej lub śpiewanej przy mszy ewangelii, wszystka szlachta, powstawszy z ławek (z przestrachem nieraz dla obcego cudzoziemca w kościele), rzucała się do dobytcia gołych szabel, na znak gotowości bronienia w każdym razie ewangelii i wiary rzymsko-katolickiej. Szabla była oznaką szlachectwa. Piękny ten zaszczyt nie pozwalał trudnić się szlachcicowi handlem, ani żadną ręczną robotą, zatem biesiada, trunek, gra w karty i polowanie stało się jego zabawką, a drabowanie papierów do wynalezienia sądowych kłótni i intrygi sejmikowe — zatrudnieniem.

„Kraj nasz mnogim był w szlachtę, której majątkiem była tylko rola; jeżeli szlachcic na swem rolniczem gospodarstwie podupadł, nie zostawał dla niego inny, jak zwano, proceder do życia, czyli sposób utrzymania się, jak pójść w służbę do majątniejszego. Szlachcicowi wolno było służyć, w służbie być karanym kańczugiem, aby tylko na rozpostartym kobiercu; nie wolno mu było atoli niczego się uczyć, żadnego kunsztu mechanicznego, roboty lub zagranicznego handlu. Wszystkie ztąd korzyści należały do cudzoziemca. Skłonny do próżnowania, daleki od pracy, którą miał w pogardzie, z politowaniem nawet patrzył na czyją mozolną robotę, mówiąc: jak mu się chciało nad tem siedzieć? Równie nieprzyjaciół rachuby, którą, albo w swoich zamysłach pisał dla siebie pochlebną, albo jej wcale użyć nie

chciał. Dawne było narodowe przysłowie: szabla jest, a chleba niema!

„Co do sprzętów w wyżej pomienionych, te nie bywały nowotne, ale zawsze tchnące starożytnością; niektóre godne zachowania i ochrony, nie tak dla kształtnej, jak pracowitej i kosztownej, wysadzonej roboty. Zaszczycła się nawet tem nowozaślubiona para, gdy pokój zastawiony był po rodzicach lub antenatach jeszcze pozostałymi zabytkami dawnymi, krzesłami, kanapą, kantorkiem wrocławskim, parą zwierciadłami (*sic*), z ramami zwierciadlanymi, sepetami, nakrytymi kilimkami, równie stołem do zabawy lub gry w mydło, w maryasza, tryczaka, chapanki, družbarta, kupca i t. p., — łóżkiem podwójnem z pawilonem karmazynowym, albo zielonym, kitajkowym lub adamaszkowym, z koroną drewnianą u góry, oklejoną tymże bławatem, a u dołu, naokoło płotek od ziemi, narożną szafą, na której stały dawne sreberka i kielichy rysowane. Na ścianie wiszącą gablotką z kilku półeczkami, niedaleko drzwi stół z szufladami, zwany kredensem, okryty obrusami, naokoło niego wąskim ręcznikiem opięte ściany dla ochrony obicia, częstokroć z płótna drukowanego; na tym stole wystawione było szkło, jakoto: szklanki, kieliszki, solniczki i t. p., a na małym obok stoliczku stała wanienka miedziana z wodą do ich płukania. Przedpokoje nie bywały bowiem, jak tylko przy pańskich apartamentach, dlatego służba, siedząc w jednej izbie z panią swoją, nabierała do niej poufałości, a pacholik, świadek zabaw i miłostek panicza, nieraz mu był do nich usłużnym. Bywało to podobno i w in-

nych krajach, i mogło dać powód Francuzom do wprowadzania na scenę subretek i waletów.

„Będąc jeszcze na powyżej wymienionej kawie, przysłuchałem się, jak dwóch, już niemłodych, przypominało sobie swoje przed kilkunastu laty w Warszawie zabawy.

— Pamiętasz pan, — mówił jeden — jakieśmy się bawili wieczorami na Podwalu, u *Wernika*, dawnego traktyera? Był to poczciwy Sas, chuderlawy, na cienkich nóżkach, wielki lubownik muzyki, sam grał na wiolonczelli, ojciec wielu dzieci, z których każde musiało się uczyć muzyki. Środa i sobota bywały dni, przeznaczone na kwarteta wieczorne, wykonywane nie tak przez muzykusów, jako biegłych lubowników tej sztuki. Sama przystojna, uczciwa, niespracowana gosposia zatrudniała się kuchnią, niewykwintną, dostarczając licznie zgromadzonym gościom potraw domowych, zdrowych i niekosztownych.

„Jeden z tych opowiadających przytoczył, iż dopiero od r. 1799 poznał to miejsce, żałując, iż nie wprzód tam bywał. Byłby na tem, jak mówił, pozyskał sumę, której się nie spodziewał. Dowiedział się bowiem tam od urzędników przy komisji bankowej trzech dworów, natenczas w Warszawie odbywającej się, iż za wcześniejszą odezwą mógłby otrzymać od rządu pruskiego wynagrodzenie po bracie swoim zmarłym, czteroletnią pensją.

„Traktyernia ta niepozorna utrzymywała wieczorami towarzystwo osób, zajętych urzędami, nauczycieli, oficjantów pruskich i artystów.

„Słuchając to opowiadanie, odezwałem się, czyli

i teraz niema podobnych schadzek, gdzie możnaby trawić pożytecznie i wesoło późniejsze i wolne godziny wieczorne. Wymieniono mi, pomimo innych, jedno miejsce przy ulicy Freta, gdzie znaleźć można było podobną zabawę.

„Nazajutrz udałem się na ten bilar, znalazłem tam w oddzielnym pokoiku parę osób, znajomych sobie, które wymieniały po nazwisku inne, z którymi rozmawiały; później zaczęło się zbierać więcej gości, wszyscy sobie znajomi, gdyż dla innych nie było tam miejsca, podług urządzenia poprzedniego gospodarza, Lichtenszteina. Przysłuchałem się natenczas różnym wesołym i dowcipnym powieściom, wiadomościom naukowym i dziennym zdarzeniom, przepłatanym nieraz płóchemi żartami, zawsze roztro-
pnemi. Mało tam było starych, więcej tych, którzy, kończąc swe nauki tak w szkołach, jako w uniwersytecie, dawali dowody korzyści, tam nabytych, bez klehostwa, czyli pedantyzmu, bez upornego zdania, bardziej chcąc innym dowodzić, jak upornie i surowo przekonywać o zdaniach swoich. Miłe to towarzystwo pomnożone bywało artystami sceny i orgestry (*sic*) teatru narodowego; ci, z temperamentu weseli i znać, że za młodu lepiej, jak nasi dawni niektórzy aktorowie, prowadzeni, obdarzeni piękną pamięcią, przypominali nam czasem to, cośmy już słyszeli lub czytali, a później puścili w niepamięć. Uczęszczał takż *Wolski*, nauczyciel języka francuskiego, mający na celu wydanie dzieła olbrzymiego, Dykcyo-
narza francusko-polskiego, uzbrojony cierpliwością i niewzruszonem w swej pracy wytrwaniem. Gdy

mowa była o osobie wsławionej w stolicy przez jakowy dar natury, co do wymowy, pióra swego lub niepospolitego przymiotu, uczciwi towarzysze tego wieczornego grona nie omieszkali szukać sposobu, jakowymby tam ją sprowadzić mogli dla bliższego jej poznania. Ta, czasem późno w noc przedłużona zabawa, była zawsze dla mnie powabną, i za powrotem do domu, syty przyjemnie unużonym umysłem, udawałem się do spoczynku.“

IX.

Kawiarnia Łuszczyńskiej. — Młodzież. — Fircyk. — Strojniś. — Pojedynkowicze.

„Bywały jeszcze podobne schadzki wieczorne w izbach, przy korzennych sklepach, do których prawie zawsze jedne uczęszczały osoby, jakoto u Łuszczyńskiej, wdowy, przy Krakowskim Przedmieściu, naprzeciw domu Dobroczynności. Tam obywatele warszawscy majątniejsi, lekarze, artyści, negocjanci, już niemłodzi, których powodzeń handlowych często otyłość ciała bywała skazówką, wabieni na smaczne, sporządzone przez gosposię, kolacyjki, rozkosznie swoje wieczorne, sybaryckie, przepędzali chwile.

„Co teraz sądzić o owych domowych wieczornych posiedzeniach, gdzie z etykietalnego obowiązku zebrane zawsze też same osoby, przesądem i zbytnią o sobie zarozumiałością kierowane, ale znajdują w obecnych czasach nic lepszego, jak w upłynionych; nowość ich razi, każdy urzędnik u nich w podejrzeniu, na wszystko narzekając, nie widzą, jak samo oszukaństwo i fałszywe udanie rzeczy, a tak wszystkiemu przyganiając, rozkosznie się pławia

w głębokich swych zdaniach. Rozprawiają także dużo o polityce panujących, prawie tak, jak nasi dzisiejsi pilni dostrzegacze przez nowe refraktoryum z budowań, upatrywanych na powierzchni księżyca, sądzą o zamiarach i umyśle selenitów. Nakoniec wyczerpana rozmowa powołuje ich do gry w karty, którą skrócone późne godziny zbliżają nas do opuszczenia wieczornego towarzystwa. Będąc młodym, ledwie z musu udawałem się na takowe wieczory. Tam czas zdawał mi się długi, powtarzane utyskiwania na złe czasy przeciwne były memu przekonaniu, tem bardziej, że zdania młokosa słuchano tam prawie z politowaniem, w mniemaniu, że z naczynia chyba siwym już mchem pokrytego sądzić można o dobrze wytrawnem winie.

„Słyszałem atoli od ojca mego, iż znajdował upodobanie w zabawie z młodzieżą owoczesną, w porównaniu jej z młodzieżą, którą pamiętał jeszcze za Augustów, i że ta późniejsza, czyli w grze w karty, gdzie poznać można człowieka, czyli w rozmowie, dużo tamtą przez grzeczność, układność i znajomość świata przewyższała. W młodości mojej przypatrywałem się starym, ich przesądom, ich gdyraniu, opryskliwości i, mniemając, iż to jest konieczną wieku ich cechą, wystawiałem sobie, że albo takowych dla siebie dni nie doczekam, lub też przynajmniej co do popierania ciała mego, nie będę się mógł odmienić, tak co do umysłu wesołego i pobłażającego, jako serca zawsze skłonnego do przyjęcia miłego uczucia z przemijających okoliczności, które zawsze brałem z dobrej strony, ciesząc się ulubionym optymizmem.

Nie dlatego jednak wiek młody nie ma się różnić od starości, która, nie ubiegając się za nowością stroju i zwyczajów pożycia domowego, przebaczać jednak i dozwalać je winna młodzieży. Nie zabraniali mi rodzice ubioru modnego, który za wieku mego był wcale dziwacznym względem dzisiejszego. Kiedy teraz człowiek młody, zacząwszy od głowy, nie trefiąc, nie maszcząc włosów pachnidłami, ani przesypując miałko utartym krochmalem, krótko przyszczyżony włos układnie i prawie na wzór do rysunku dla malarza zaczesywać umie; frak zawsze ciemny dobrze odbijał od czerstwej i świeżej jego twarzy, spodnie, czyli pantalony (prawda, że dawniej nazywano je reytuzami), nie zabierają czasu do ubioru. Ciżemki, mniej kosztowne, jak dawniej, but angielski lub jedwabna pończocha z safianowym trzewikiem, stosowniejsze są do pory zimnego naszego klimatu.

„Wystawmy sobie teraz dawnego strojnisia, elegantem zwanego. Wieleż to drogiego ранego czasu stracić należało, aby się doczekać owego zacnego fryzjera, który lekką ręką prowadzonym grzebieniem umiał napuszyć głowę wątlą z włosów tkaniną, a której mały wichur na dworze całą niszczył budowlę. Co mogołu głowy nad wyborem koloru, na frak zawsze prawie jasnego, zielonego lub błękitnego, różowego lub białego, często jaskrawemi prążkami lub różnobarwnym rzucanym kwiatkiem opstrzonego półsukienka! (W tych czasach charty i konie maści tarantowatej bardzo popłacały). Bywali mężczyźni, którzy do swych twarzyczek używali bielidla i bar-

wiczki. Poznałem się na reducie z młodym Przependowskim, przebranym za pasterka z kwiecistą huletką. Odwiedziłem nazajutrz tego pieszczotnego Narcyza, mieszkającego wysoko w pałacu na poczie przy Krakowskim Przedmieściu. Zastałem go w powłośniku muślinowym, naprawiającego koronki. Prócz pachnideł w pokoju, okna zastawiooe od góry do dołu kwiatami w doniczkach i t. d.

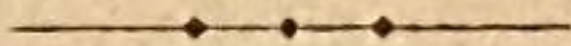
„A tak nie upłynęło pół wieku, jak ów modniś twarz zawiędlą Sarmaty na papinkowaną i z lubieżności bladą przekształcił. Szczerość serca na dworską obludę, prawe obyczaje narodowe na lekką i płochą cudzoziemczyznę przemienił. Obojętny na małżonków śluby, które łącno targał, gardząc swem zdrowiem, poświęcał się zbytkom i rozpuście, a brak uprawy umysłu niema przy ciągłej grze łupieży postawą pokrywał. Snuły się pieszo po ulicach lub wyniesione na subtelnych wozach Apolina zniewiesciałe takowe Adonisy, a potracając lud uboższy, pędzili się za wiatrem, która to rozwiązłość obyczajów tem bardziej biła w oko, iż nastąpiła po panowaniu Augusta III, którego żona, dając przykład życia pobożnego, wzorem była dla mężczyzn i kobiet. Każdy udawał pana, błyszczał powierzchownie, a majątny trwonił dziedzictwo, po rodzicach spadłe.

„Warszawa nie dość mogła dostarczać remiz, czyli porządnych karet do najęcia beczynnym tym pozornym paniczom, których źródła dochodów nie zdołał nikt odgadnąć. Młodzież między sobą zwała takich paniczów starostami Przemyślskimi, t. j. utrzymującymi się z jakowego przemysłu, gdyż jeden

z nich grał dobrze w karty, inny pozyskał łaskę u pewnej wdowy lub mężatki, ten umiał pochlebiać lub bawić którego magnata i t. p. Można ojciec z odległego województwa wysyłał syna swego do stolicy, aby nabrał znajomości świata, nie trudno znaleźć mu było przyjaciół, którzy, czatując na jego dochody, umieli z nich korzystać. Zaczynał lichwiarz, powołany na pomoc, gdy już wątku nie stało, zbawiennie podsycał kasę panicza, za wydanym na swoją osobę wekslem. Przyszedł czas, kiedy upokorzony syn listownie lub przez przyjaciół błagał ojca o przebaczenie i uwolnienie go z przykrego swego położenia. Jeżeli jeden taki panicz zniknął ze stolicy, wkrótce kilku ukazało się nowych, którym płeć piękna i młodzież warszawska ochotnie sprzyjała.

„Była także młodzież, która odwagę i męstwo chciała okazać w wystawieniu swego życia w obronie mniemanej swojej sławy, czyli ubliżonego swego honoru, zwykle z powodu małej jakiej okoliczności, pochodzącej to przez nieuważne nastąpienie komu na nogę, słówko urażliwe przy grze, lub wspólne ubieganie się w miłostkach. Pojedynek zatem jedyną był obroną do odzyskania jakowym sposobem skażonego honoru kawalerskiego i dość bywał częsty, jakoto: podróżującego cudzoziemca *Casanova* z hetmanem Branickim, z przyczyny śpiewaczki Catai, i generała Byszewskiego z Tomatysem; znanego z waleczności Rzewuskiego Kazimierza, pisarza polnego koronnego, z generałem Kozłowskim, który to pojedynek wzrósł z nieuważnego nastąpienia na nogę i odbywał się kilkakrotnie, aż Kozłowski został od

kuli ranionym w rękę; Gaudzickiego, jeszcze żyjącego, zamieszkałego pod Szydłowcem, z bratem; kasztelana oborskiego, Gałkowskiego, kuryera gabineutowego, z Kurowskim, z powodu zaszłej pomiędzy nimi kłótni; Wodzińskiego, starosty nurskiego, pod Nadarzynem, z kamerjunkrem Kownackim Stanisławem w r. 1788, który w tym pojedynku zginął; rođenjeństwo jego pociągnęło Wodzińskiego za sądowym wyrokiem na karę wieży cywilnej, w zamku królewskim odbytej. Było jeszcze niemało takowych potkań, najczęściej na pistolety, a czasem na szpady lub na pałasze, które zwykle odbywały się pod Jeziorną, o dwie mile od Warszawy, gdzie owa waleczność kończyła się częstokroć na kilku tuzinach butelek szampana.“



WSPOMNIENIA TRYBUNALSKIE.

1866—1876.

I.

Pałac a rudera. — Przedsiónek i jego publiczność. — Pokątni doradcy. — Sławetny pan Protazy. — Kilka typów.

Na placu Krasińskich, w Warszawie, równolegle do ulicy św. Jerzego, stoi zapuszczony i odrapany gmach, bez dziedzińca i wjazdowej bramy, okolony na blaszanym dachu skromną galeryjką, opatrzony tylko trojgiem drzwi wejściowych, w pośrodku i po obu jego krańcach umieszczonych.

Długo by obecnie oczekiwać należało pojawienia się jakiej żywej istoty w drzwiach owych, lub w oknach, gęsto po całym frontonie trzypiętrowego gmachu rozlokowanych... Rzadko kiedy przemknie się tamtędy postać służbisty, z papierami pod pachą, i znów na długie godziny zalega w około opuszczonego budynku cisza, przerywana tylko kiedy niekiedy powolnymi krokami przechodniów, lub dzwonkiem skrecającego na plac Krasińskich tramwaju.

A jednak, przed niewielu jeszcze laty, owa sieroca i osamotniona rudera była najgwarniejszym po giełdzie miejscowej przybytkiem, gdzie się rozstrzy-

gały losy kieszeni i czci ludzkiej, w sprawach, pod pierwszy wyrok sądu poddanych; z kąd się rozlegał dźwięczny i wymowny głos najznakomitszych w kraju obrońców, gdzie, jakby na uroczystość jaką, zbierały się zewsząd ciekawe tłumy, aby, już to w roli biernych widzów, lub też aktorów dramatów życiowych, przysłuchiwać się gorączkowym rozprawom wytrawnych jurystów, walczących z sobą często o prawdę, częściej jednak o — zwycięstwo...

W tym bowiem stosunkowo nieobszernym gmachu mieściły się: trybunał cywilny gubernii warszawskiej, sąd kryminalny tejże gubernii z odnośnemi biurami swoich prezesów i prokuratorów, sąd pokoju wydziału I-go, sąd policyi prostej, oraz archiwa spraw cywilnych i karnych, pod zawyroko-
wanie pierwszej instancji poddanych.

I w czasach najgwarliwszego życia, jakie szerokiem strumieniem przez wszystkie owego gmachu arterye płynęło, zewnętrzny wygląd przybytku sądowego i składowe części jego wnętrza nie odznaczały się należną im okazałością.

Przez wąskie, ciemne i zdezelowane schody, wchodziło się oszklonemi i skrzypiącemi drzwiami do przedsionka, okolonego ze wszech stron podłużnemi, niesymetrycznie ustawionemi szafkami. Były to prywatne archiwa, gdzie obrońcy trzymali akta w bieżących sprawach i oznakę swej godności — frak, zazwyczaj mocno sfatygowany...

W tej to wstępnej sali wrzało w godzinach sądowych gorączkowe życie. Dependenci przyjmowali tu informacye od swoich patronów, patronowie od

od swoich klientów, a ci ostatni nierzadko od swoich doradców, których, prawdopodobnie z uwagi na stanowisko, jakie obierali w przysionku sądowym, pokątnymi zwano...

Tam, w kącie sali, nieopodal od okna stoi wyrazista postać takiego doradcy. Wysoki, barczysty, z potężnym garbem, nadającym całej figurze kształty karyatydy, uzbrojonej potężną pałą, w rodzaju tych, jakie zdobią pięście olbrzymów na herbie państwa pruskiego, stoi sławetny N. w milczeniu, wyczekując swej ofiary, i wodzi nienawistnym wzrokiem po otoczeniu, aby w stosownej chwili, podniesionym głosem wyrazić swoje niezadowolenie, lub jaką sarkastyczną uwagę nad uzdolnieniem lub charakterem patentowanych obrońców. Postać to znana całemu miastu, podpatrzona i scharakteryzowana swego czasu przez niezapomnianego Panczykowskiego w komedyi „Łobzowanie,” ostatni typ zaściankowej palestry z zamierzchłej epoki.

Była to uosobiona skandaliczna kronika Warszawy, przedmiot postrachu gawiedzi ulicznej i cel jej pocisków, w chwilach, gdy przesuwając się milczkiem po ulicach miasta, rzucał sławetny N. z pod swego brązowego, bandyckiego kapelusza, nienawistne dokoła spojrzenia... W godzinach audyencyonalnych trybunału zawsze spotykano tę postać w temże samem miejscu, pod oknem przysionka, z sardonicznym uśmiechem, miotającego półgębkiem jakieś obelżywe słowa przeciw nieznanym wrogom. I długie lata powtarzał się ten sam tryb życia i postępowania pokątnego doradcy, aż pewnego razu

z zadziwieniam ujrzano opróżnione pod oknem stanowisko rębacza i niebawem rozeszła się po mieście pogłoska, że nieznany i niewykryty sprawca ułatwił sławetnemu N. bezpaszportową podróż do państwa Plutona... Zmiażdżona czaszka była jedynym śladem zaciekłości, z jaką tajemnicza ręka krwawe swe dzieło spełniła...

W tłumie różnojęzycznym gawiedzi zappełniającej przysionek trybunalski, wyróżnia się inna postać zakulisowego świata obrończego.

Pomimo przydługiego surduta i okazałej brody — nieszpetyne oblicze, oczy mądre, zdradzające niezwykle rozum i szanującą się powaga, bynajmniej nie licują z zawodem chyłkowego jurysty, przez właściciela owych akcesoryów piastowanym. Towarzyszy mu zwykle mniej charakterystyczny, lecz wydatny tuszą swoją, syn, przedstawiający symbolicznie praktyczne stosowanie teoryj ojca. Jest on wykonawcą jego zleceń, pośrednikiem między klientelą niższego autoramentu, a doskonałym teoretykiem, uosobionym w postaci ojca.

W tłumie, jaki się gromadzić poczyną, oczekując otwarcia sal audyencyonalnych, kręci się inna figurka *ejusdem farinae*. Jest to znany R., talmudyczny, nieco na bakier przekrecony umysł. Niski, krepy, czarny, puciołowaty, o małych, bystrych, czarnych oczkach, przechadza się po sali, zagadując znajomych językiem czystym, bez nieprzyjemnych dźwięków gardłowych, właściwych temu gatunkowemu typowi. Oczytanie się wszelkiego rodzaju kodeksami, handlowym zwłaszcza, postawiło R. w rze-

dzie powag pokątnego świata. Szukała jego rady i pomocy klasa bogatszych starowierców żydowskich. On jej swem okrągłem, nieco tureckie figlasy przypominającym pismem redagował wszelkie akta, kontrakta, komplanacye, a nawet, jako znawca hebrajszczyzny, tłómaczył oryginały dokumentów żydowskich na język polski. Gdyby nie zbytnie posiłkowanie się komentarzami, możeby swego czasu uzyskał był R. prawo stawania w sądzie handlowym w charakterze pełnomocnika. Ale gdy pewnego razu w jakiejś sprawie wekslowej przywiózł do sądu furę kajątek i zapragnął dowieść uczciwości niewypłacalnego dłużnika poglądami Pawła Pont'a, Rogron'a i Delvincourt'a, tak przestraszył swoją erudycją prezesa sądu, że stracił raz na zawsze debit dla swej kwiecistej wymowy w obrębie gmachu sprawiedliwości handlowej poświęconego i przeniósł działalność do jego przysionka.

Szcześliwszym odeń był towarzysz pokątnego zawodu, p. S., niski, bez zarostu, starannie przyczesany, w krótkim surducie jegomość. Niepoczesna ta figurka była istnym postrachem dla niewypłacalnych dłużników, których mściwość zagranicznego wierzyciela w jej ręce oddała. Jak nieubłagany cerber, węszył S. osobiście po najtajniejszych zaułkach ukrywającego się dłużnika, a śledząc wszystkie kroki ofiary, otaczał ją coraz ściślej łańcuchem i w danej chwili, w asystencyi komornika, rzucał się na nią i zmuszał do kapitulacyi. O ile działalność S. na tem polu była energiczną, o tyle na polu wymowy przed kratką sądu handlowego szwankowała nieco

brakiem prostoty i błędnem stosowaniem uświęconych formuł kratkowych. Słyszac obrońców, przemawiających do sądu z należnem uszanowaniem, mniej więcej w słowach; „miałem zaszczyt przedstawić sądowi etc.,” zapomniał się p. S. w zapale do tego stopnia, że krzyknął pewnego razu: „Szanowny Sąd Handlowy miał zaszczyt usłyszeć odemnie etc.,” Innym razem, wyłuszczając przed sądem ważność wekslowego zobowiązania, wyciągnął uroczystym głosem prawicę i zawołał: „Szanowny Sąd wie zapewne, co to jest weksel? Weksel — to święta rzecz!...”

II.

Dependenci i torbiferowie. — Kącik adwokacki. — Przed bitwą. — Dzwonki. —
Trybuna obrończa. — Woźny Krasnodębski.

Z takich i podobnego rodzaju osobistości rekrutował się przeważnie tłum, zalegający przedsiónek sądowy w godzinach rannych, nim dzwonek prezydujących sędziów w wydziałach dawał znak do rozpoczęcia rozpraw. Krzyk, hałas, kłótnie, głośnie narady, zlecenia i swary, stanowiły tło, po którym uwijali się pomocnicy patronów z aktami i tekami papierów pod pachą, oczekując przybycia pryncypałów do sądu. Typowemi były postacie owych dependentów. Dzieliły się one na dwie kategorie. Znajdowałeś tu ludzi z jakim takim wykształceniem, obytych w szkole doświadczenia, rutynistów na polu procedury. Byli także pomocnicy i pośledniejszego gatunku — zwykli torbiferowie, których zadaniem było dźwiganie pliki papierów patrona, pilnowanie wokand wydziałowych, by, na wypadek zbliżenia się kolei sprawy, zawiadamiać o tem obrońcę i nagiąć go do pośpiechu. Znajdowali się

tam ludzie dobrze już posiwiali, znani sądowi i uważani za zastępców adwokackich *de nomine*. Tytułowano ich nazwiskami rodowemi pryncypałów. Byli między nimi i młodzieniaszkowie, zaprawiający się przy kratce do przyszłych samodzielnych występów na polu pokątnego doradztwa.

Zbliża się godzina rozpoczęcia audyencji sądowej. Coraz gęściej wśród publiczności zalegającej przysionek, pojawiają się gromady obrońców, śpieszących do kratki. Fraki ich czarne odbijają od różnobarwnego tła otoczenia. Wszystko to śpieszy do małej przybocznej salki, a raczej kurytarzyka, zamienionego na izbę obrończą, gdzie, obok ścian, stoi zgruba ociosana ława i stół długi, na którym w nieładzie porozrzucone są teczki z papierami, zwitki akt procesowych, kałamarze i pióra. Przeciwnicy, którzy za chwilę walczyć z sobą będą na ostre i wzajemnie wytykać sobie bezzasadność rozumowania, teraz, w jak najlepszej zgodzie witają się i rozprawiają z sobą o rzeczach najobojętniejszych, o nowinach i wypadkach dnia, o rezultacie procesów z terminu poprzedniego, krytykując i chwając zapałkę wyroki, stosownie do tego, jaki kto z nich osiągnął rezultat.

Ciasna i niepozorna salka zapełnia się pomocnikami i torbiferami. Patronowie odbierają od nich papiery i raporta o kolei spraw naglejszych i o wydziałach, do jakich z mocy rozporządzenia prezydialnego się dostały. Ścisk i zgiełk zwiększają się do tego stopnia, że trudno rozróżnić głosy rozprawiających z sobą. Dopiero dzwonki, odzywające się

kolejno z rozmaitych sal przybocznych, kładą tamę zamętowi. Następuje względna cisza, wśród której słyhać tylko trzask otwierających się na oścież drzwi sal audyencyonalnych i głosy woźnych: „Uciszcie się panowie strony!”

Znalazłszy dostateczny odpływ, zgromadzony tłum przerzedza się i śpieszy do właściwych wydziałów, gdzie, poza kratką, za stołami, zielonem, nieco w szary kolor wpadającym suknem okrytemi, zasiada sąd, pod przewodem właściwych prezydujących, w asystencyi sędziów, asessorów i pisarzy.

Obok stolików, na uboczu rozmieszczonych, zasiadają podprokuratorowie, dający wnioski w sprawach władz rządowych, nieletnich i bezwłasnowolnych.

Obrońcą trybunę przedstawia ława drewniana, z oparciem, przytwierdzona do kratki, na której umocowany jest pulpit pochyły, służący obrońcom za podkładkę do akt sprawy. Komunikacją między salą dla publiczności przeznaczoną a sędziowskim stołem, stanowią drzwiczki, utworzone z części kratki, przy której odbywa służbę woźny audyencyonalny.

Seniorem owych woźnych, jakby jakiś obrazek z „*Pana Tadeusza*“ wykrojony, jest imię Krasnodebski, wysoki i chudy staruszek, o wyrazistem obliczu, siwy jak gołąb, z powagą trzymający w ręce wokandę spraw i wygłaszający nazwiska stron i obrońców do sprawy powołanych.

Jest to żywa kronika wysokiego trybunału. Zna on wszystkich obrońców, jakby rodzinę własną, i z góry już przygotowuje obecnych do świetnej rozprawy, ile-

kroć przed kratkami staje znany z wymowy i swady rzecznik.

Przyzywając publiczność do porządku stentorowym głosem, ilekroć ujawni się między nią jakiś ruch żywszy, lub głośniejsze wymówione słowo, albo gdy prezydujący machinalnie sięga ręką po dzwonek, by nim parę razy w stół uderzyć, wpatruje się pan Krasnodebski w oblicza przeciwników, i rozważa w swoim doświadczonej umyśle wszystkie szanse walki. Czasem uśmiech zadowolenia przebiegnie po jego obliczu, lub też grymas niechęci, gdy widzi, iż słowom ulubionego mówcy towarzyszy wzgardliwy ruch ramion przeciwnika.

III.

Illacye. — Sprawy skrócone, sumaryczne i ordynaryjne. — Wydziały. — Imię pan Świecki.

Audyencya rozpoczynała się zwykle od jednostronnych żądań stron, gdy przedmiotem sprawy było na przykład ostrzeżenie hipoteczne, lub inne, wymagające rychłego zdecydowania, żądanie. Po większej części sprawy te odbywały się zaocznie, lecz zdarzało się, że przeciwnik, zaczaiwszy się, stawał niespodziewanie przy kratce i przynosił za swoim klientem obronę. Rozprawa wówczas stawała się ożywioną i częstokroć przybierała rozmiary poważnej walki...

Po załatwieniu tak zwanych illacyj, ogłaszał imię pan Krasnodebski kolej spraw skróconych, przede wszystkim zaś — z terminu stałego. Były to sprawy pośpieszne, w których rola obrońcy redukowala się do czytania żądań, czyli tak zwanej konkluzyi, i przedstawienia faktu. Odbywały się one po większej części zaocznie, choć i tu czasami zgłaszał się przeciwnik

i zameldowaniem swej obecności udaremniał powodowi możliwość zyskania wyroku zaocznego. Pod tym względem procedura francuska była bardzo uproszczoną. Zbytecznem było okazanie pełnomocnictwa, a samo oświadczenie przed sądem, że w powołanej sprawie ustanawia się ktoś z adwokatów obrońcą pozwanego, wystarczało dla odroczenia terminu do dni następnych, w trakcie których, przeciwnik wręczał obrońcy powoda swoje ustanowienie.

Wyczerpawszy wokandę spraw skróconych, imć Krasnodebski otwierał stronnice wokandy, na nagłówku której widniał napis: „sprawy sumaryczne“, i przywoływał je kolejną ich wpisu.

O ile strony były do rozprawy przygotowane, rozpoczynało się wprowadzanie, gdy zaś jeden, lub drugi obrońca byli, jak mówiono, przeszkodzeni, torbifer obecny na sali upraszał jednego z kolegów nieobecnego, aby meldował sądowi o zaszłej przeszkodzie i sprawa odraczała się do czasu późniejszego, lub też do innego terminu.

Sprawy zwyczajne, czyli, jak je nazywano, ordynaryjne, odbywały się raz w tygodniu. Były to sprawy rachunkowe, graniczne, wymagające wyczerpującej instrukcyi na piśmie.

W ubocznej sali, oddzielonej od wydziału pierwszego wąskim, nieforemnym kurytarzykiem, mieścił się wydział drugi, w którym rolę przestrzegacza porządku i ciszy między publicznością, pełnił woźny audyencyonalny Świecki.

Charakterystyczną cechą owego dostojnika było

że nigdy nazwisk stron z wokandy wygłaszanych prawidłowo nie odczytywał. Pośpiech, z jakim czynności swego urzędu spełniał, i wzrok osłabiony, stawały się powodem dziwnych transfiguracyj, tak, że nikt już nie dziwił się, jeżeli zamiast np. „Prokuratorowi przeciwko Wolskiemu,” lub: „Dziembusa przeciwko Trepce,” słyszano na głos wywoływane nieistniejące strony: „Przepiórkowski przeciw Gojskiemu,” lub też: „Derus przeciwko Klapce...” Przyzwyczajono się powoli do objawów roztargnienia i pośpiechu pocziwego służbisty, i z pobłażaniem przyjmowano tak niespodziewane metamorfozy, ze względu na niekorzystne warunki, w jakich służba JMC Świeckiego się odbywała. Wązka i ciemna salka wydziału drugiego, zaledwie mogła pełnić funkcją niepozornego przedsionka, a tu, kazano jej być jednocześnie salą sądową, miejscem dla publiczności i trybuną obrończą!...

Zwykle też ścisk i zgiełk w wydziale drugim były większe, niż w pozostałych wydziałach. Pilnować ciszy i porządku, wywoływać strony do sprawy, spełniać rozkazy prezydującego i zlecenia obrońców — wszystko to przechodziło siły jednego człowieka, a cóż dopiero siły pana Świeckiego, który nawet wygodnego oparcia przy kratce nie posiadał, aby mózdz na niem lokować się jako tako, z oznaką swego urzędowania — podartą w strzępy wokandą spraw bieżących!...

Pozostałe dwa wydziały Trybunału wprost dwóch pierwszych na przeciwległym krańcu przedsionka rozlokowane, również nie grzeszyły odpowiednią

gmachowi sądowemu okazałością. Były to ciasne, niepozorne pokoiki, w których, natłoczona po brzegi publiczność, pozbawiona światła i powietrza, kupiła się ciekawie około obrończych trybun, i ciągłym przechodzeniem z jednego wydziału do drugiego zdwajała ogólny zamęt...

IV.

Aplikanci. — Teorya i praktyka. — Rutyniści.

W epoce, do której niniejsze wspomnienia się odnoszą, powołana do życia Szkoła Główna warszawska, dopiero zaczynała wprowadzać w świat— pierwsze zastępy wykwalifikowanych naukowo prawników.

Stosownie do obowiązującej w owym czasie praktyki, zaszczycony dyplomem „magistra prawa i administracyi“, wychowaniec wszechnicy warszawskiej, nim mógł uzyskać prawo do samodzielnego działania na polu adwokatury, lub do objęcia posady w hierarchii sądowej, obowiązany był przechodzić wszelkie stopnie praktycznego wykwalifikowania się w charakterze aplikanta, w odpowiednich urzędach sądowych.

Aplikacya ta rozpoczynała się zwykle od niższych sądów policyi prostej, następnie odbywała się w sądach poprawczych, kryminalnych, w wydziałach hipotecznych, w Trybunałach, a wreszcie w sekretaryacie biura prezesa trybunału. Tę ostatnią

aplikacyą wprowadził był około r. 1867 zamianowany w miejsce posuniętego do wyższej instancyi prezesa Polczyckiego, nowy prezes — Michał Rogoziński. Przygotowująca się do adwokatury młodzież znajdowała w praktycznych zajęciach, jakie jej wskazywano, materiał do gruntownego obeznania się z pozasądową machiną, nadającą bieg szybkiemu wymiarowi sprawiedliwości. Niejeden z takich aplikantów, który, ucząc się w Szkole Głównej, miał tylko przybliżone pojęcie o formalnościach proceduralnych, tu, stykając się bezpośrednio z całym aparatem sądowym, nabierał wprawy i doświadczenia, w zawodzie prawniczym niezbędnego.

Takie skojarzenie teoretycznego wykształcenia z praktyką, stanowiło ważny element postępu w ciele obrończem, i wносиło do zakamieniałej nieco rutyny obrońców dawnego autoramentu świeże siły, których właśnie, epoka, o jakiej mowa, koniecznie wymagała.

Nie posiadając przez szereg lat dziesiątków wyższej instancyi naukowej prawnej, zawód obrończy od r. 1830 do schyłku szóstego dziesiątka bieżącego stulecia rekrutował się przeważnie, z nielicznymi tylko wyjątkami, z rutynistów i praktykantów w zawodzie sądowym.

Nierzadko spotkać można było w szeregach obrońców kratkowych — ludzi, bardzo mało naukowo wykwalifikowanych, którym, do objęcia zawodu obrończego wystarczała długoletnia praktyka, w charakterze woźnych, komorników i pomocników adwokackich. Ztąd też, pomimo rutynicznej biegłości, jaką tradycyjnie niejako patronowie trybunałscy sły-

nełi, nie dostawało rozprawom krótkowym w tej instancyi — elementu naukowego, sprowadzającego proces sądowy ze sfery zwykłej „kłótni“, na pole dysputy szlachetnej i podniosłej o względną prawdę i prawo...

Podęjrzliwem też okiem mierzyli początkowo starzy rutyniści pierwsze borykania się młodych magistrów z trudnościami na polu praktyki obrończej i niejedna ironiczna uwaga spadała na głowę niedoświadczonego patrona, ilekroć w toku obrony uważał za właściwe powołać się na jakiego komentatora francuskiego, w stwierdzeniu bronionej przez siebie tezy.

— Może być — słyszano wtedy w replice starego rutynisty — że tam jakiś pan Marcadé utrzymuje, że taki a taki przepis prawa, w ten a ten sposób tłumaczyć należy... „Chłopski rozum“ wszelako i „logika“ stoją wyżej nietylko od pana „Merkadego“, ale nawet i od litery prawa...

V.

Organizacya palestry. — Patronowie. — Adwokaci. — Mecenasi.

Organizacya stanu obrończego w dawnych sądach Królestwa polegała na podziale obrońców na trzy, a właściwie, na cztery kategorie. Do pierwszej, najniższej, zaliczano obrońców przy sądach pokoju, rekrutowanych wyłącznie z praktykantów sądowych, odznaczających się jaką taką znajomością przepisów proceduralnych, a promowanych następnie za przykładne pełnienie obowiązków — na urząd patronów przy trybunałach.

Do kategorii drugiej należeli patronowie i pełniący ich obowiązki — specjaliści z wyższem wykształceniem uniwersyteckiem, lub też praktykanci, opatrzeni świadectwem ze złożonego egzaminu sądowego. Długoletnia ich, sumienna i uczciwa, służba, poświadczona przez urząd prezesa Trybunału, torowała patronom wstęp do wyższej instancyi t. j. do sądu apelacyjnego Królestwa. Wybitniejsze zdolności obrończe, prawość nieposzlakowana i wziętość u publiczności, skracaly patronom długoletnią trybunal-

ską służbę, tak, że komisya sprawiedliwości często-
kroć po upływie kilkoletniej praktyki patrona, z urzędu
posuwała go w hierarchii obrończej o stopień wy-
żej. Toż samo miało miejsce i z adwokatami przy
sądzie apelacyjnym. Dostawali się oni do senatu, na
urząd „Mecenasa“, bądź skutkiem zaszczytnego odzna-
czenia się na polu obrony cywilnej lub karnej, bądź
też wskutek egzaminu, złożonego przed „najwyższą
komisją“, w gronie której zasiadali dostojnicy są-
dowi, senatorowie i wyżsi urzędnicy komisji spra-
wiedliwości.

Zwykle każdy obrońca niższy, obierał sobie
jednego z kolegów starszych w urzędowaniu, któ-
remu, sprawę wygraną, lub przegraną, powierzał do
obrony w instancji wyższej. Mecenas i adwokaci
apelacyjni, pilnując się po licznych wydziałach i de-
partamentach senatu, znajdowali zastępców w ko-
legach młodszych i ich opiece sprawy łatwiejsze po-
wierzali w trybunale.

Zdarzało się jednak, i to dość często, że naj-
głośniejsi mecenas, którym się zazwyczaj dostawały
sprawy najważniejsze, ochoczo stawali w trybunale,
u kratki, aby swoją powagą i wymową wpłynąć na
wydanie zasadnego wyroku, już w instancji pier-
wszej. Nic więc dziwnego, że każdodziennie prawie
przed kratkami trybunału stawali sędziwi i zasłużeni
mecenas i adwokaci, i podnosili w opinii ogółu zna-
czenie tej instancji, wpływając swoim przykładem,
nauką i powagą, na kolegów młodszych.

Dzięki tej właśnie okoliczności jestem w sta-
nie włączyć do szkicu niniejszego galeryą głośniej-

szych z owej epoki obrońców, i przesunąć przed oczyma czytelnika, jakby w różnobarwnym kalejdoskopie najciekawsze jej typy.

W epoce, o jakiej tu mowa, galerya obrońców poważnych starego autoramentu już się przerzedzać poczyniała. Znikały powoli z widowni kratkowej głośnie ongi nazwiska sędziwych obrońców senackich: Józefa Brzezińskiego, Józefa Chróścickiego, Jana Nepomucena Chęcińskiego, Jana Dutkowskiego, Marcina Grabowskiego, Koisiewicza, Piotra Kobylańskiego, Juliusza Lübkiego, Józefa Moszyńskiego, Kaźmirza Podoskiego, Jakóba Rudnickiego, Józefa Skibińskiego, Augusta Trzetrzewińskiego, Stanisława Wilkoszewskiego, Ludwika Zalewskiego, Ottona Starzyńskiego, Pawła Piątkowskiego, Przeszkodzińskiego, Bryndzy, a z licznej tej falangi nestorów dawnej palestry, zaledwie już kilkunastu starszych mecenasów dotrwało na swych stanowiskach, aby młodszemu, coraz liczniej napływającemu pokoleniu, przekazać tradycją poważnego traktowania zawodu obrończego. Lecz i ta pozostała stara gwardya, nie utraciwszy dawnej swej żywotności, nadawała ton przewodni w chórze palestry nowszej, wnosząc do swych obron szlachetny element dyskusyi naukowej.

VI.

Mecenas-jubilat. — Charakterystyka pana Edwarda. — Czyn i zasady.

Rozstępują się z uszanowaniem zastępy słuchaczy w sali audyencyjonalnej trybunału i imć pan Krasnodebski uroczystą przystraja się miną, przywołując obecnych do porządku i ciszy, gdyż właśnie, przygarbiony nieco, z lekkim uśmiechem na ustach, ze zwitkiem papierów pod pachą, w asystencji jednego z najstarszych torbiferów, zbliża się do kratki głośny mówca i prawnik — mecenas Edward Grabowski.

W innem miejscu miałem już raz sposobność przypomnieć ogółowi tę sympatyczną, jedną z najsympatyczniejszych za czasów moich, postać mistrza mego, pana Edwarda.

Nie zgrzeszę zatem przeciw jednemu ze znanych, lecz mało w życiu obserwowanych przykazań, jeśli zapożyczę ze skarbonki owych wspomnień obrazek przed laty naszkicowany i powtórzę tu główniejsze jego rysy.

Oto, pan Edward, po ułożeniu potrzebnych dokumentów na trybunie, skłoniwszy się z uszanowaniem przed kompletem sądu, a z gracyą przed swoim przeciwnikiem, i przemówiwszy do niego kilka serdecznych, a dowcipnych słówek, z cicha, na wzór owych rycerzy francuskich, co to przed walką na śmierć i życie salutują się wzajemnie, składa jakby do modlitwy ręce i oparłszy się z lekka o balustradę trybuny, rozpoczyna swą przemowę do sądu.

Pod mianem mówcy pojmuje ogół zazwyczaj człowieka, wyrzucającego z piersi olbrzymi zasób głosu, gestykulującego przesadnie przed zastępem słuchaczy, a posiłkującego się doborem słów wyszukanych, lub górnolotnych, pięknie brzmiących, frazesów.

Takie o mówcy mający wyobrażenie zdziwiłby się niezmiernie, gdyby ujrzał przed kratką sądową przemawiającego Grabowskiego.

Niskiego wzrostu, szczupły, wątłej, o chorobliwym wyglądzie twarzy, nie usprawiedliwiał na pozór głośny ów rzecznik ustalonej swej oratorskiej renomy. Tem mniej odpowiadał Grabowski warunkom krasomówczego oddziaływania na nerwy słuchaczy... Mowa jego była spokojną, „codzienną,” pozbawioną wszelkich oratorskich kwiatków.

Siła jej wszelako tkwiła w umiejętnej ekspozycji faktu, w stawianiu oderwanych teoryj prawa na gruncie życiowej praktyki.

Znakomity mówca francuski, Lachaud, zwierzył się raz przed zaufanymi z metody, jakiej się trzymał

w obronach. Umiejętnemu stosowaniu tej właśnie metody zawdzięczał on liczne swe tryumfy.

Otóż, w każdej sprawie, jaką przyjmował do obrony, starał się Lachaud uchwycić gwóźdź jakiś (*un clou*), na którym w wywodzie sprawy wieszał najważniejsze argumenta obrony.

Skupiona około takiego „gwoździa“ uwaga sędziów poddawała się zwolna wpływom argumentacyi obrończej, a obezsilona ich atakiem, zdawała się w końcu na łaskę i niełaskę rzecznika.

Tej metody wyrobionej własną obserwacją i talentem trzymał się zawsze p. Edward. Nienawidząc tego, co u Francuzów nosi miano *d'une harangue*, starał się Grabowski przedewszystkiem o prostotę i jasność dykcyi, o zrozumiały i naturalny wykład „czynu sprawy,“ a gdy już był przekonany, że wytyczne jego punkta utrwały się i osiadły stale w umyśle sędziego, przystępował dopiero do naukowej strony przedmiotu.

I tutaj wykład jego celował niezmierną jasnością i przejrzystością treści i formy. Najzawilsze kwestye prawne wychodziły przy tak umiejętnem obrobieniu w postaci zrozumiałej i dostępnej dla umysłu słuchaczy.

Lecz nie w takich jedynie zaletach profesyjnych szukać należy wyjaśnienia wielkiej popularności pana Edwarda, jako obrońcy.

Po za znakomitym obrońcą, przekonywającym mówcą i szermierzem kratkowym, stał jeszcze człowiek prawy, sumienny, koleżeński, uprzejmy, nieskazitelnego charakteru, otaczający każdą przez się

bronioną sprawę przejrzystą atmosferą słuszności. Tak, jak mamy pewne sympatye i uprzedzenia do danych firm, uważając, że wszystko, cokolwiek go-
dłem tej firmy jest opatrzone, musi być dobrem —
tak też i w obliczu sądu, firma mecenas Grabow-
skiego była rękojmią, że sprawa, której obrony się
podjął, musi być dobrą i uczciwą.

Wokanda spraw bronionych przez Grabowskiego
była pokaźną. Spotykano na niej historyczne na-
zwiska potentatów rodu, stojące rzędem ze skrom-
nemi, demokratycznemi firmami.

Zamknęła się ta pokaźna lista z dniem 1 lipca
r. 1876. Lecz po latach 50 pracy otworzono na nowo
księgę zasług jubilata, i oto na zebraniu uroczystem
odbytem w dniu 4 listopada r. 1884 w sali Resursy
kupieckiej, wśród wielu mów okolicznościowych,
przypomniano jubilatowi i publiczności pożyteczne
zasługi sędziwego obrońcy, jako żywy przykład
i wzór do naśladowania dla pokolenia młodszego.

VII.

Drugi jubilat. — Jurysprudencya pana Wincentego. — Ważność konkluzyi.

Lecz oto staje przed kratką nowy szermierz sędziwy, a krzepki, i z powagą doświadczonego rzeczownika zapowiada sądowi wykład kwestyi prawnej, wymagającej bacznej uwagi i skupienia ducha...

„*Jurisprudentia* — wysoki trybunale — woła *in exordio* obrony swojej Imć pan mecenas Wincenty Majewski — *est divinaarum et humanaarum reerum notitia et scientia !!!*“

Tak przygotowawszy komplet sądowy do uroczystego nastroju, inwokacją formuły starożytnych jurysprudentów, rozpoczyna pan mecenas opowieść czynu sprawy, owej wiązanki faktów, która, w uściech jego, przybiera zarys romansu życiowego. Nim jednak od faktu przejdzie do zasady, niewątpliwie wyjaśni p. Wincenty sądowi wyrokującemu całą ważność i doniosłość konkluzyi, żądania, bez którego, słusznego wymiaru sprawiedliwości być nie może.

„Konkluzya, wysoki trybunale — głosi obrońca —

to treść i dusza każdego wywodu prawnego. Czego żądasz? — pyta w duchu sąd. Jeśli żądanie twoje jest słusznem, musisz zwyciężyć! Od odpowiedniego sformułowania żądań zależy należyte ustosunkowanie praw procesujących się stron! Jest to podstawa wszystkiego, granitowa osada, na której się opierają gmach sprawiedliwości, wyrokowanie słuszne a rozumne! W takiej to właśnie niewzruszonej podstawie ducha ludzkiego, leży cała głębokość orzeczenia starożytnych rzymian: *Jurisprudentia et divinarum etc.*“

Wymowa p. Wincentego, to odgłos wewnętrznego oburzenia na widok nieprawości działań przeciwnika. Niema w niej słodyczy, uprzejmości i wyrozumiałości, cechujących oracyą mecenasa Grabowskiego. Natomiast ton gniewny obejmuje szeroką skalą wywody p. Wincentego, który, miotając potokami zarzutów, stawia kwestyą prawną na gruncie obywatelskich stosunków, uderza taranem logiki w umysł sędziego, bije pięściami po jego sumieniu, otacza go siecią przytoczeń z praktyki sądowej i własnego doświadczenia, tak, że słuchający komplet nie znajdując w labiryncie zręcznych wywodów ujścia, chwyta się, jak zbawienia nici rozumowań rzeczownika i pozwala sobą kierować bez oporu...

Znać w Majewskim obytego z życiem i jego wymogami obywatela. Dla jego bystrych spostrzeżeń i przenikliwego wzroku niema sekretów w najzawilszej matni dokumentów. Podrzuca on cyframi i wyrachowaniami swego antagonisty, jakby piłką. Chwyta je w lot i wykazuje ich nicość. A gdy du-

sputa przejdzie na tory stosunków ziemiańskich, wartości wysiewów i płodozmianu, nie się nie ostoja przed zasadnością wywodów rzecznika. Tu stoi on na ulubionym i twardym gruncie, szermuje znajomością rzeczy, przyciska do muru przeciwnika, zamyka mu wszelkie drogi łatwego salwowania się ucieczką na pole frazesów i kwiatków i, w końcu, jak ów szermierz na arenie walki, dobitnem a jasnem sformułowaniem konkluzji opiera broń argumentów o pierś skruszonego antagonisty...

Pół wieku takiej pracy i wielostronnych zajęć na polu wszystkich towarzystw miejskich nie wyczerpała umysłu dzielnego starca. Pomimo licznej klienteli i rozgałęzionych stosunków, znajdował p. Wincenty czas na wszystk'e zabawy, koncerty i zgromadzenia publiczne. Wszędzie go było pełno. Począwszy od redakcyj pism poważnych, miesięcznych, aż do występów głośnego skrzypka, wszędzie Majewski świecił swoją obecnością. A gdy tak pracowicie spędzony dzień miał się ku schyłkowi, widywano dzielnego staruszka, jak śpiesznym krokiem dążył do swego biurka, by, pismem trochę w poprzek arkusza kaligrafowaniem, zapełniać libry papieru obrotami cywilnemi i karnemi w sprawach, między jedną a drugą, lekturą „Figara,” albo też głośnego jakiego romansu.

Jako jedna z popularniejszych osobistości w kraju, przeważnie zaś miasta Warszawy, doczekał się sędziwy mecenas jubileuszu swych zasług, na której to uroczystości, kolega jego zawodu i przyjaciel p. Wincentego, mecenas Grabowski, uczcił go piękną

przemową, inny zaś, humorystycznym wierszem, wygłosił zasługi jubilata. Wiersz ten w swoim czasie wydrukowany w *Kuryerza Warszawskim* w Nrze z d. 6-go marca r. 1879, brzmiał jak następuje:

Kiedy się ludzie biorą za czuby —
Sądy szukają najwyższej chluby,
By zadowolnić tłum prawdy głodny
I wydać wyrok z kodexem zgodny...

Lecz sądzić ludzi — trudna to sprawa!
Tu — w grze majątek, tam znowu — sława,
Tu — ludzka zręczność sieci rozkłada,
Tam sterczy podstęp, tu znowu — zdrada...
Trzeba w tych ludzkich błędów chaosie
Poznać w ciemnościach prawdę — po głosie,
A tu — jak na złość, rzadkie przypadki,
By prawda w sądach lśniła — od kratki!

Mając tak wielką trudność na względzie,
Mądra Opatrzność rządząca wszędzie,
Stworzyła światu -- obrończe ciało,
By ono — berłem słowa władało
I — gdy się rozum sędziego biedzi —
Mogło mu wskazać: gdzie prawda siedzi!

Słowo! Potężna to dźwignia świata!
Ono to — serca, myśl z myślą splata...
Kiedy drzemiaczka napada ludzi —
Słowo ich znowu do czynów budzi...
A gdy naprawia złe obyczaje
Słowo naówczas — czynem się staje...
I — jakby nowej ery posiewy—
Słowo to zwie się: Gambetta... Grevy!

Lecz są i inne działania pola
Gdzie również wzniosła jest słowa rola,

Kiedy działając w uczciwej wierze
Kieszenie nasze w opiekę bierze,
I siłą zręcznych myśli polotów
Od różnych w życiu strzeże kłopotów...

Cny Jubilacie! Piastunie słowa!
Dziś dla cię błysła chwila godowa,
Że za półwiecznych prac poczet długi
Odbierasz hołdy czci i zasługi...

Klijentów Twoich liczna rodzina
Nazwisko Twoje dziś z czcią wspomina,
Bo Twa wokanda, z inkaustu czarna,
Lśni, jako szata biała, ofiarna...
Jaśnieją na niej pracy znamiona:
Walka z podstępem, a cnót obrona!

Dźwigałeś ludzi z ostatniej nędzy,
Innymś napędzał w kieszeń pieniędzy,
Dzieciom dawałeś huk alimentów,
Starcom — redakcyę do testamentów,
Pannom — intercyz pisałeś stosy,
Spółkom — bez liku akcyjne losy...
Mowa Twa nieraz była walutą,
Bo gdy niedawno spisek uknuto,
By jedną z resurs puścić z subhastą,
Tyś — jako trybun zbuntował miasto,
A słowa Twoje — jak istne czary —
Zakłęły zgubne spisku zamiary,
Bo, gdy dłużnicy z strachu zdrętwieli,
Tyś m ó w k ą spłacił złych wierzycieli!

To był Twój występ w rzeczy publicznej...
A gdzież Twych z wycięztw poczet ów liczny,
Gdyś jako prawnik, zręczny, a ścisły,
Kruszył na miazgę wraże pomysły!

Straszny wśród boju! — Lecz po wygranej
Ojca miał w Tobie wróg pokonany,
Boś, jako rycerz szlachetnej broni,
Piorun miał w ustach, lecz serce — w dłoni!

Tak! Wieść procesa umiałeś świetnie!
Lecz Tyś je często tłumiał szlachetnie..
Bo tam, gdzie proces mógł wzrósć gardłowy,
Tyś radził zgodę i — mir domowy!...

Często — gdy w sprawach o prawość rodów
Brakło zupełnie jasnych dowodów,
By ten, co ojcem go nazywano
Mógł zasłużenie nosić to miano,
Ty, choć weszylesz autorstwo dziecka:
Że ojcem jego — spółka zdradziecka,
Wolałeś — tłumiąc obmów korupcyę:
— Precz mi z procesem! *Quem monstrant nuptiae*
Ten sprawcą dziecka! Idź Waść do domu,
I nie czyn własnej godności sromu,
Nie spędzaj nocy przy białem winie
A własnoręczny syn cię nie minie!

Często, gdy w stadłach nie było zgody,
Tyś im przynosił w tece — rozwody...
I — gdzie ust dwoje swary dzieliły,
Cztery się buzie w szczęściu łączyły...

Gdy się co komu ukraść zdarzyło
Tyś go od kozy bronił słów siłą,
I za tak szczytną pracy nagrodę,
Złodziej — Twą własną grabił komodę

Gdyś u obrończej przystawał deski,
Sąd szeptał z cicha: broni Majewski!
Więc pocóż męczyć tkanki mózgowe?
Już on motywa da nam gotowe...
Czyn i zasady tak nam ustali,
Że ich i Senat nawet nie zwali!

Walka — to życia Twojego norma!
Gdy nastąpiła sądów reforma,
Była to mężstwa Twego oznaka,
Żeś wsadził gwiazdkę w dziurkę od fraka,
I nowych ustaw przejrzawszy księgi
Spełniłeś nową rotę przysięgi!

Więc sto lat żyj nam, mówco przysięgły
Losy się nasze z Tobą tak sprzęgły,
Że nam weselej dla serc i ducha,
Gdy widzimy w Tobie siwego zucha...

Tym więc toastem kończę swą mowę:
Niech do grobowej służy nam deski,
I niechaj święci dni brylantowe
Dzielny mecenas, wiarus — Majewski!

VIII.

Polski Lachaud — Inwokacya. — Oratorskie kwiatki.

O ile dwaj mecenasi jubilaci wytworzyli odrębną niejako szkołę wymowy potocznej, bez krasomówczych kwiatków, bez owych retorycznych zwrotów, działających na tłumy efektem wysokiego *cis*, w aryi śpiewanej przez głośnego tenora, o tyle krasomówstwo w stylu francuzkim, poparte odpowiednią gestykulacją i kunsztowną modulacją głosu, z przestankami, po których następowały zwykle efektowne zwroty oratorskie, miało jedyne, a sympatycznego przedstawiciela, w osobie znakomitego mówcy — Antoniego Radgowskiego.

Każdy występ pana Antoniego przed kratką sądową stanowił prawdziwą ucztę dla zwolenników tego rodzaju wymowy. Kojarzył on z wywodami prawniczej natury, podkład czysto literacki i estetyczny.

W ustach Radgowskiego najzwyklejsze stosunki ludzkie, a nawet termina specjalne, przybierały formę

wykończoną oratorskiego peryodu. Nie uważano w ustach pana Antoniego za zwrot przesadny i niewłaściwy, jeśli np. mówiąc o „natychmiastowej wykonalności wyroku“, o tak zwanym „rygorze tymczasowej egzekucyi“, podnosił patetycznie dwa palce do góry i określał ów środek prawny definicyą: „że wyrok bez tymczasowej egzekucyi jest to — kwiat bez woni; miłość — bez wzajemności...“

Wysokiego wzrostu, bez zbytniej tuszy, z twarzą okrągłą, wygoloną, przyozdobioną tylko wywoskowanemi dobrze, do góry sterczącemi wąsikami, z lekkim uśmiechem i głosem lirycznie drżącym, uosabiał pan Antoni typ iście paryskiego adwokata przed sądem przysięgłych, grającego na uczuciu sędziego sympatycznemi a dźwięcznemi strunami dobrze nastrojonego instrumentu.

Zawsze starannie i elegancko przyodziany, z plastronem anielskiej śnieżystości, stawał p. Antoni u kratki i rozpoczynał oracyą od długiej, wymownej pauzy, w trakcie której, publiczność miała dość czasu, by się uciszyć i w skupieniu oczekiwać wstępu, nacechowanego podniosłym, uroczystym nastrojem.

A gdy już atmosfera ciszy i oczekiwania dostatecznie była przygotowana, słyszano wówczas, podczas jednej z głośniejszych spraw, rytmicznie utoczony wstęp oratorski:

„Na odległej wyspie... oblanej ze wszech stron... szmaragdowemi falami wód wielkobrytańskich... oparty o skałę... jak Prometeusz... stanął mąż wielki... jako olbrzym, i objawszy orlim, szekspirowskim wzrokiem wszechświat... wyrzucił ze swej piersi głos wielki

a brzmiący... by echem jego... echem tysiącznem... napelnić serca i umysły współbraci...”

W takim duchu i takim stylem prowadzone były wszystkie bez wyjątku obrony pana Antoniego, a stosowały się one szczęśliwie do przedmiotu sprawy, gdyż nie było stosunku romantycznego a niezwykłego, z którymby nie udawano się do rzecznika, rozmiłowanego w wyjaśnianiu przed sądem sytuacji niezwykłych i powikłanych romantycznie...

Zabójstwo, otrucie, śmiała kradzież, sfalszowanie testamentu, zaprzeczenie prawości rodu, małżeńskie swary, rozbicie statku, naruszenie własności literackiej, kontrafakcja, podstęp w umowach, krzywoprzysięstwo, zamorski milionowy spadek i tysiączne inne awantury i powikłania à la Gaboriau, stanowiły nieodłączny raptularz spraw głośnego mówcy. Zapalał się on do nich, przejmował do głębi duszy romantycznością sytuacji, aby wszystkie efektowne epizody roztoczyć przed sądem, olśnić go barwnem przedstawieniem, wzruszyć i nastroić sympatycznie.

Każda mowa Radgowskiego przepełnioną była aluzjami do teraźniejszości. Drgała w nich struna uczuciowa, i nigdy prawie nie zdarzało się, by gromadząca się tłumnie w około trybuny rzecznika publiczność nie życzyła tryumfu sprawie — tak złoćtouscie bronionej... Prawda, że sąd wyrokujący nie zawsze poddawał się wrażeniom tłumów, sympatyzujących z metodą obrony Radgowskiego, i w większości wypadków przechylał się na stronę adwersarza pana Antoniego... Nasz mówca jednak, nie zważając na zgryźliwe i ironiczne docinki przeci-

wnika, który delikatnie dawał do zrozumienia, że i najpiękniejszy frazes ostać się nie może wobec wręcz przeciwnej litery prawa, nie gniewał się, ani obrażał o taką krytykę... Znosił przegrane wyroki ze stoicyzmem godnym filozofa, a uzbrojony arsenałem nowych retorycznych zwrotów, przenosił się tryumfalnie do wyższych instancji...

IX.

Pan Zygmunt. — Krótki program, a szerokie wykonanie. — Walka przedkratkowa.

Niedbałym krokiem, głośno rozmawiając i uśmiechając się do przeciwnika, zbliża się do kratki okazały — Zygmunt Krysiński.

Rębacz to nie lada. Obrona jest dla niego zabawką. Nie patrzy nawet na głos obrończy, na którym, oprócz komparycyi i konkluzyi, ręką pomocnika napisanej, znajdują się zaledwie dwa wiersze obrony i inicjały własnoręcznego podpisu, mogącego oznaczać: *Krzyż, Kryś, Krzyk, Kir, Knys, Kis, Kip, Kiz*, — nigdy zaś właściwe nazwisko — *Zygmunt Krysiński*.

W pisaninę bawić się nie lubi nasz mówca. On wszystko wypowie, wygłosi, wyśmieje, wydrwi, tak, że z obrony przeciwnika pozostanie zaledwie jakiś skrawek, zasługujący na wyrzucenie za okno trybunału. Kratka obrończa — to istna arena dla popisu pana Zygmunta. Przychodzi do sądu z improwizacją, w mglistych zarysach mając w umyśle zarysowany kontur obrony, i dopiero replika antago-

nisty podaje mu gotowy materiał do pomysłów mistrzowskich a świetnych.

Przemawiając przed sądem, pan Zygmunt opiera się całą majestatyczną swą postawą o krawędź trybuny, a głowa jego olbrzymia, zawsze do skóry przyszyty, przerzuca się nieustannie na obie strony audencyonalnej sali, jakby dawała znaki porozumienia rozciekawionym i oczekującym co chwila jakiej dowcipnej facecyjki słuchaczom. Niepodobna nigdy przewidzieć, jaki obrót weźmie obrona pana Zygmunta. I on sam prawdopodobnie obrotu tego nie przewiduje, gdyż wygłaszając jakby od niechceń jakie zdanie, pracuje myślą nad wynalezieniem nowego, dobitniejszego argumentu, a gdy mu się ten jakby na zawołanie nasunie, nie puszcza go już, lecz wysnuwa zeń tysiączne sylogizmy, waląc jakby taranem w osłabiony takim gradem pocisków szaniec obrony przeciwnika.

Najlepszy człowiek i kolega, najzacniejsze, gołębie serce, uosobiona dobroć i uczynność — nie zna pan Zygmunt litości dla swego adwersarza, choćby nim był od szkolnej ławy rówieśnik i towarzysz najmilszy. Podczas rozprawy przed sądem toczy on nie raz zakulisową szermierkę z przeciwnikiem, obrzucając go półgłosem epitetami, niewyjętymi ze słownika parlamentarnego.

Wszystko to uchodzi płazem panu Zygmuntovi i tylko panu Zygmuntovi, nie ma on bowiem nieprzyjaciół między kolegami, i każdy otrzymawszy niespodzianą admonicyą przed kratką i poza kratką, chętnie wybacza ostre docinki rębaczowi, gdyż wie,

że są tylko wynikiem sangwinicznego temperamentu, a nie złej woli. Młodzi zwłaszcza szermierze czerpią ze skarbnicy pomysłów pana Zygmunta, jakby z własnej szkatuły, tysiączne pomysły w najtrudniejszych kwestyach prawnych; a choć tytułem waluty zamiennej otrzymują przy sposobności porządne kropicidło od swego mistrza, znoszą swój los z rezygnacją i nie żywią żalu do nieubłaganego rębacza. Nie raz się zdarzało, że poddawszy jaki dzielny pomysł swemu przeciwnikowi, z równą dzielnością zbijał jego wyniki przed kratką... Najzawilsze sprawy — podnoszenia starych, odwiecznych depozytów z banku przeprowadzał pan Zygmunt w krótkich i najprostszych fazach proceduralnych. Sam śmiał się i chwalił, że nikt tylu co on milionów depozytów nie wydobyl z piwnic bankowych. Na starość nosił pan Zygmunt ogromną, dziwacznej formy laskę grubą, którą nazywał kijem bankowym i twierdził, że za pomocą tego talizmanu Sezam się przed nim odmyka... Był przytem p. Zygmunt zręcznym, a nie złośliwym krytykiem rozporządzeń prezydyalnych, jak np. w sprawie tak zwanych sumaryuszów obrończych, które należało na stemplu dołączać do akt. Podał raz pan Zygmunt prośbę o wyznaczenie terminu i dołączył arkusz stemplowy na którym napisał: W tej sprawie akt żadnych niema...

Innym razem, miał p. Zygmunt sprawę z młodym, a bardzo zarozumiałym kolegą. Ten, dla poparcia swej sprawy, sprowadził do sądu całą kolekcję komentatorów francuskich i chępliwie twierdził, że

w nich znajdzie argumenta, któremi zmiażdży przeciwnika.

— Na komentatorów pańskich — odparł p. Zygmunt — znajdę lekarstwo — i posłał pomocnika do swej kancelaryi. Niezadługo wraca torbifer z ogromną księgą in folio, starannie owiniętą w papier... Zaciekawienie ogólne wzrasta, coby to za komentator krył się pod owym tajemniczym zwitkiem? Sprawa już się ma ku końcowi, a pan Zygmunt tylko palcem po księdze uderza, lecz jej sądowi nie ukazuje, zwalcza dosadnie wywody przeciwnika, zmieszanego nieco tajemniczem postępowaniem p. Zygmunta i — wygrywa sprawę... Okazało się, że pod owym papierem kryło się parę tomów *Tygodnika Ilustrowanego*.

Przypatrując się metodzie obrony p. Zygmunta, gotowego bronić z jednaka maëstryą dwóch wprost sobie przeciwnych tez prawnych, nieraz się słuchaczowi zdawało, że pan Zygmunt, ukończywszy swoją mistrzowską obronę, przejdzie na miejsce swego adwersarza i zacznie zbijać własne wywody z jednakim skutkiem. Była to natura nawskroś adwokacka, stworzona do nieustannych kontrowersyj, walcząca z amatorstwa, z potrzeby i z konieczności byle jakiej walki. Dodawszy do tego niewyczerpany zasób facecyj i anekdot z prawniczego świata, będziemy mieli w panu Zygmuncie niezrównany typ palestranta starej daty, coraz bardziej zacierający się we wspomnieniach żyjącego pokolenia.

X.

Wielki festyn. — Występ pana Kaźmirza. — Wymowa symfoniczna. — *Con fuoco è conbrio*. — Poeta w birecie. — Nieco rzewnych wspomnień.

Między obrońcami i publicznością ujawnia się ożywienie niezwykle. Będzie festyn nielada, gdyż właśnie z uprzejmym ukłonem i uśmiechem na pysznym owalu sympatycznego oblicza staje przed kratką — mecenas Kaźmirz Brzeziński.

Niskiego wzrostu, pulchniutki, o formach zaokrąglonych, o całości niewypowiedzianie sympatycznej, z wielkimi obramowanemi oczyma — *les yeux en poches*, jak mówią Francuzi, z wąsikami sztorcem stojącemi i malutkiem *point d'opposition* pod dolną wargą, zawsze starannie wymuskany i wyświeżony — słowem, *un beau*, zabiera się pan Kaźmirz do wygłoszenia obrony w sprawie niezmiernie zawiłanej. U jego boku staje z namaszczeniem jego uczeń i współpracownik, równie niski, jak mistrz, i również jak on wymuskany, z wąsikami wyostrzonymi — Leon Krysiński...

Kończą właśnie rozpoczętą między sobą dys-

putę prawną, i pan Kaźmirz, strzepnąwszy z kołnierza fraka urzędowego jakiś pyłek i zawinąwszy pod górę wąsiki, pełną piersią rozpoczyna opowiadanie. Zdaje ci się, że jakiś śpiewny tenor zawodzi sympatyczne trele, że z owej cudnej modulacyi głosu płynącego nieprzerwanie, według taktu doskonałego kapelmistrza, wywinie się niezadługo pyszna symfonia oratorskiej sztuki. W wywodzie p. Kaźmirza niema ani jednej fałszywej nóty. Wszystko łączy się i kojarzy harmonijnie, zmierzając nieprzepartemi premissami do końcowego sylogizmu.

Jak są poeci „z łaski bożej“, tak i między ciałem obrończem uosabiał pan Kaźmirz mowę „z bożej łaski.“ A był przytem poetą w duszy, w czynie i w słowie nieodżałowany pan Kaźmirz. Jego wiersze ulotne, improwizacye wierszowane, a dowcipne, nieschodzący z ust uśmiech, łaskawe dla każdego słowo, ręka hojna dla nędzy ukrytej i jawnej, rycerska uprzejmość dla kobiet, wysoce parlamentarna, a niepozbawiona uroku dowcipu i satyry obrona przed kratką, jednały mu nietylko liczną klientelę, ale i przyjaciół w szerokich kołach towarzyskich. Pomimo napływu spraw, zawsze pracowicie, stylistycznie obrobionych, dyktowanych uczniom w gabinecie obrończym, odznaczających się i literackiem zacięciem, i gruntownością wywodów prawniczych, żył p. Kaźmirz duszą i sercem w czystej atmosferze umysłowych rozkoszy, był *hedonistą* w klasycznym tego wyrazu znaczeniu.

Zapalony muzyk, każdą operę wyśpiewywał na

zawołanie, z pamięci, owym barytonowo-tenorowym głosem, którym napelniał sale sądowe podczas wprowadzanych przez siebie spraw. Znajdował prócz tego dosyć czasu, aby stać na wysokości współczesnych kwestyj: literackich, naukowych i artystycznych. Najlepszy kolega, serdeczny i dowcipny współbiesiadnik uczt, w trakcie których wygłaszał wierszowane, arcydowcipne oracye, prawnik rozmówany w swym zawodzie, był pan Kaźmirz prawdziwą ozdobą obrończego ciała. To też, kiedy nagły zgon przerwał pasmo pięknego jego żywota, niekłamany żal smutnem ozwał się echem w społeczeństwie. Do tej chwili jeszcze widzę przed oczyma duszy owo pogodne, sympatyczne oblicze najlepszego człowieka, męża, ojca i kolegi, i słyszę w koło zawsze żywy i niewygasły żal, z powodu zbyt wczesnego ustąpienia z pola działalności jednego z najpożyteczniejszych członków dawnej adwokatury...

Zachowałem jako cenną pamiątkę ostatni wierszyk, jakiemi co sobota prawie krasił pan Kaźmirz suchą formalność, tak zwanego, p o r z ą d k o w a n i a spraw sądowych.

Dnia 8 lipca r. 1876 odbywało się ostatnie porządkowanie w sądzie apelacyjnym. Koleją losu wypadło mecenasowi Kleczkowskiemu i adwokatowi Ancowi być zastępcami kolegów przy tej czynności. Na ich to cześć napisał pan Kaźmirz czterowiersz, w którym, jakby smutnem wiedziony przecuciem, zapowiedział bliski swój zgon.

Oto ów wierszyk:

„Wkrótce przyjdzie pożegnać ów obyczaj bratni,
„Anc i Kleczkowski będą służyć nam ostatni,
„Więc za pomyślną przeszłość dzięki niosąc Niebu,
„Prosim o zdroj łask nowych w tej chwili pogrzebu...”

Dla uczczenia pamięci ukochanego towarzysza zawodu, koledzy zmarłego, za inicjatywą adwokata Bardzkiego, wmurowali w jedną ze ścian kościoła b. OO. Kapucynów, przy ulicy Miodowej, marmurową tablicę pamiątkową, na której widnieje płaskorzeźba, uwieczniająca drogie rysy nieodżałowanego Kaźmirza Brzezińskiego.

XI.

Dziedziczność uzdolnienia fachowego. — Warszawski Jules Favre. — Prokuraro
w roli obrońcy.

Uzdolnienie fachowe przechowuje się czasami tradycyjnie w danych rodzinach. Jak zdolności literackie i artystyczne przechodzą w pewnych rodach z pokolenia w pokolenie, uwydatniając się w jego członkach nieprzerwanie, tak i w adwokaturze spotykamy częstokroć powtarzające się nazwiska, do których przywiązana jest tradycyjnie opinia wyższych zdolności zawodowych. Objaw ten spotykamy w rodzinie Brzezińskich, która w bieżącym stuleciu miała już kilku wybitniejszych przedstawicieli adwokatury, i prawdopodobnie nie tak prędko zejdzie z pola pożytecznej swej działalności.

Obok sympatycznego pana Kaźmirza staje mniej może sympatyczny, ale niemniej utalentowany i wymowny rówieśnik jego — pan Andrzej. Użyliśmy wyrażenia „mniej sympatyczny“ nie dla tego, by rzucić jakiś niepochlebny cień na wysoce szanowną i poważną postać tego obrońcy, lecz jedynie w celu

scharakteryzowania właściwości indywidualnej człowieka, który klasyczną swoją powagą i prokurator-
skim niemal zachowywaniem się przed kratką, nie
pociągał ku sobie otoczenia w takiej mierze, jak
jego nieodżałowany bratanek.

Już sama zewnętrzna strona pana Andrzeja
i jego metoda obrończa odskakiwały wielce od oto-
czenia. Bez uśmiechu, bez odcienia najlżejszej frazy,
z powagą rzymskiego oratora, stawał pan Andrzej
przed sądem, i dosadną argumentacją, głębokimi
wywodami prawnymi walczył niezachwianie z poglą-
dami przeciwnika.

Twarz poważna, surowa, obramowana gęstemi
faworytami, dziwnie przypominała Juliusza Favre'a
z epoki jego adwokackiej działalności.

Wykład p. Andrzeja pozbawiony był w zupeł-
ności okras retoryki. Zmierzał on prosto do celu,
bez żadnych wstępów i kwiatków oratorskiej sztuki.
Mowa jego płynęła równomiernie, skandowana dobrze
odznaczonemi przecinkami, średnikami i punktami.
Zaokrąglony peryod łączył się logicznie ze swoim
następcą, tak, że nie patrząc na p. Andrzeja w chwili,
gdy mowę swoją wygłaszał, możnaby sądzić, że
mowę swoją odczytywał z pracowicie odrobionego
referatu. W obronie jego brzmiała nuta oskarżenia
prokuratorского, a miałby się z pyszna ów obwi-
niony, gdyby pan Andrzej zmieniając rolę obrońcy,
przeszedł na stronę oskarżyciela. Pod obuchem argu-
mentów dosadnych i ściśle prawnych niknęły wszel-
kie wątpliwości i niejasności, bez których żaden sto-
sunek ludzki obejść się nie może. *Quaestio juris* po-

chłaniała w ustach pana Andrzeja stosunek faktyczny, sprowadzała go na grunt czysto prawny, tak, że w oczach sądu niknął zupełnie fakt życiowy, a natomiast wynurzał się suchy szkielet litery prawa, wobec którego należało ślepo poddać się orzeczeniu prawodawcy, zapomnieć zupełnie o zasadzie wyrokowania *ex justo et aequo* i stawić zasadę: *pereat mundus — fiat justitia!*

Ciężkie też przechodzić musiał chwile przeciwnik pana Andrzeja, gdy wobec potoku logicznej i zbić się niedającej argumentacji, przychodziło mu odwołać się do uczucia i względności sędziego.

Kwiatki retoryczne i najpiękniejsze frazesy padały wówczas podcięte niemiłosierną kosą wywodu prawnego, a ta właśnie bezwzględność i siła argumentacji czyniły pana Andrzeja niepokonanym i stanowiły w większości wypadków o losie sprawy. Poza obrębem swego zawodu nie znał pan Andrzej żadnych *allotriów*. Szeroka działalność społeczna nie pociągała go ku sobie. Przywalony ogromem spraw ważnych a trudnych, nie miał pan Andrzej możliwości, ani czasu do zajmowania się czynnościami przekraczającymi sferę jego zawodu. Był to prawnik ciałem i duszą, wyłącznie oddany arkanom swojej specjalności, mówca klasyczny, szerokiego stylu.

Do rzędu cenionych uczniów jego i współpracowników należał za czasów moich nader wzięty, pracowity i zdolny obrońca, p. Stanisław Rotwand. Jeżeli pod względem wymowy i klasycznego wykładu nie dorównywał swemu mistrzowi, to, za to,

na polu argumentowania logicznego przed kratką — równego sobie między członkami młodszego patronatu nie miał. Zdolność obrończa pierwszorzędna, sympatyczny i koleżeński, cieszył się pan Stanisław nie tylko rozległą klientelą, ale i powagą przed kompletem sądowym.

XII.

Pan Dominik. — Jurysprudens szkoły wyższej. — Wyrok kolejowy. — Mecenas Zalewski. — *Liberum nego!* — Opozycja jako zasada.

Przedstawicielem satyrycznej nuty w orkiestrze obrończej był głośny onego czasu prawnik, mecenas Dominik Zieliński. Rzadko bardzo zjawiał się pan Dominik u kratki sądowej, gdyż go sprawy pozakratkowe, radcowstwa prawne w pierwszorzędnym domach bankierskich i przemysłowych, prawie w zupełności absorbowały. Jako minister bez teki głośnych w kraju firm, zajmował się przeważnie praktycznym stosowaniem teoryj wekslowych i ekonomicznych do potrzeb miejscowych, nie gardząc przytem i piórem, które w jego ręku odznaczało się ciętością i zamaszystością niezwykłą.

Otoczony armią komentatorów francuskich, użytkowywał wszystkie ich poglądy w trudnościach praktyki handlowej, a jeśli się zdarzyło, że dom jakiś bankierski był w kłopotcie: jaką drogą zrealizować żądanie swoje rekonwencyjne względnie do żyranta, który zapomniawszy sporządzić protest w terminie

właściwym, ogłosił *cessio bonorum* i drogą rewindykacyi i substytucyi, zewaluował kurs waluty zagranicznej na rynkach zamiejscowych? — pan Dominik, z pamięci zacytowawszy Pont'a, Alauzet'a, Sirey'a i Demolomb'a, układał plan kampanii, i, z punktu obserwacyjnego kierował wszystkimi ruchami wybranych przez siebie dowódców, we wszystkich instancjach. Zdarzało się jednak, że i pan Dominik schodził z wyżyn swego obserwatorium na kulawe deski ziemskiej sprawiedliwości. Były to jednak wypadki arcywyjątkowe, chyba, że trybunał zaocznym wyrokiem, na żądanie pokrzywdzonego zalewem wód hreczkosieja, nakazywał drodze żelaznej usunąć relsy z gruntu... Wówczas pan Dominik *in persona*, utykając, wdrapywał się na trybunalskie schody, i w drodze opozycyi rozpoczynał gwałtowną dyatrybę przeciw wyrokowi w taki mniej więcej sposób:

— Kilka lat już, wysoki trybunale, nie przemawiałem z tego miejsca. Przychodzę jednak, aby naocznie się przekonać, jak wygląda sąd, który takie wyroki stanowi...

Tableau! Dzwonek prezydującego zapowiada jakąś niezwykłą scenę, lecz pan Dominik, z uszanowaniem chyląc głowę przed majestatem sprawiedliwości, wstępuje *in medias res*, i zaczyna argumentować, jak najzwyklejszy śmiertelnik.

Głowa brzydka, Sokratesowa, wieczny sarkazm na ustach, głos krzykliwy, ton zawsze ironiczny, oto były zewnętrzne cechy pana Dominika.

Namiętność i oratorską swadę zostawiając in-

nym, stawał pokrewny panu Dominikowi z usposobienia i erudycyi, pan mecenas Stanisław Zalewski przed sądem, bynajmniej nie dlatego, by sprawiedliwość przy jego pomocy odniosła tryumf nad pokrzywdzoną niewinnością, lecz aby dać folgę opozycyjnemu z zasady swemu usposobieniu i dowieść, jak na dłoni, bez uniesienia, najzupełniej na chłodno, że antagonistą jego kratkowy jest wciele niem wszystkich grzechów głównych i na wiarę u sądu nie zasługuje...

Zamieniwszy dawne hasło: nie pozwalam! na dewizę: nie zgadzam się! toczył pan Stanisław walkę, dla jedynej satysfakcyi wykazania swemu przeciwnikowi, że w danej sprawie głosu mu podnosić nie wolno...

Z pozoru łagodny, a w gruncie uprzejmy, koleżeński, dużo dobrego ludziom po cichu świadczący, sam jak najlepszego serca człowiek, stawał się pan Stanisław przed kratką sądową istnym Torquemadą. Zabijał swego przeciwnika *lege artis*, z takim spokojem, jakby tu chodziło o przyznanie komuś nagrody Monthyon'a za cnotę, lub o uwieńczenie jakiej rosier'y. Bez uniesienia, zawsze zimny, lekkim ruchem rozwartych palców, podnosząc kiedy niekiedy spadające z nosa okrągłe okulary — nie spoglądał pan Stanisław na swego przeciwnika, który dla niego *in actu* zupełnie nie istniał...

Widział tylko w miejscu, gdzie przeciwnik pięści ze złości zaciskał, a b s t r a k t, ideę p r z e c z a c ą, coś takiego, co pozwala sobie odmiennego być przed kratką, aniżeli pan Stanisław, zdania... Więc nale-

żało koniecznie tę zasadę przeczącą usunąć, i na jej miejscu postawić wprost przeciwną. Środkiem ku temu służył równomierny pochód argumentów ziemnych, lecz dobijających przeciwnika, i kroczących do ubezwładnionego takim naciskiem umysłu sędziego aż do wywiercenia w nim dziury poglądów — zgodnych z poglądami pana Stanisława.

Pan Stanisław nie lubił roli *p o w o d a*, t. j. stawiającego pewne pozytywne przed sądem żądanie. Natomiast namiętnie lubił rolę *p o z w a n e g o*, bo mu ona z natury swej pozwalała nie godzić się na żądanie przeciwnika, stawiać mu przeszkodę w urzeczywistnieniu podjętego zamiaru, słowem, pozwalała mu być wprost przeciwnego zdania...

Nie wiem czy to jest prawdą, lecz słyszałem od wiarogodnych, że pan Stanisław w dyskusyi miał się raz odezwać: „Nie znam poglądu szanownego kolegi, lecz z góry go nie *a k c e p t u j ę*!” a gdy raz, *p o w ó d*, przez usta swego obrońcy, zaczął dowodzić sądowi, że prawdą jest to, co żadnego dowodzenia nie potrzebuje, pan Stanisław, z właściwą sobie flegmą, rozpoczął obronę od słów:

— „Prawdą, wysoki trybunale, jest to, czego szanowny mój przeciwnik nie wypowiedział przed sądem...”

Szczególniej możni i silni finansowego świata bywali ulubionym celem zatrutych strzał pana Stanisława.

Ta fala zaciętości, jaka płynęła z obron mecenasa Zalewskiego, obryzgiwała nieraz najniespodziewaniej i przedstawiciela ofiary, a gdy tem w replice

pragnął okryć siebie i swego klienta pokostem anielskiej białości, ze zdumieniem zwykle spostrzegał, jak pogromca, z rękoma w kieszeniach, zimny jak gład i majestatyczny jak tryumfator, oddalał się, bez odwrócenia głowy, od kratki obrończej...

Poza obreębem tej właściwości czysto, że tak powiem, k r a t k o w e j, pan Stanisław, jako człowiek, miał wielu bardzo zwolenników, ceniących w nim nieskazitelność charakteru, śmiałość i odwagę przekonań, a nadewszystko uczynność w stosunkach obywatelskich.

XIII.

Pan Ksawery. — Dukta i redukta. — Wasy i peruka. — Mecenas Parisot. —
Andrzej Wolff.

Krzykliwym głosem i wielką ruchliwością odznaczał się przy kratce mecenas Ksawery Karasiński. Niskiego wzrostu, okrągłutki, z twarzą młodzieńczą, rumianą, a siwemi wąsikami, wydawał się Karasiński odtworzeniem sejmikowicza rębacza i brak mu było tylko portretowych przyborów, aby należeć do kategorii rębajłów, wystawionych na obrazie Szwojnickiego — *Kaptowanie*.

Sympatyczna ta postać zapełniała gwarem i nie-milknącą ani na chwilę swadą przybytek trybunalski, ilekroć stawiała u kratki, by bronić spraw granicznych i dosadnemi ruchami ręki wskazywać na powietrzu istotne kierunki duk t ó w, r e d u k t ó w, *terminorum a quo i ad quem*, kopców granicznych, kontrowersów, ubikacyj, wyroków podkomorskich i planów spornego gruntu. Sypał wówczas pan Ksawery cytatami łacińskimi z *Voluminów legum*, szermował jakby karabelą przepisami starodawnych praw,

unosił w górę poźółkle dokumenta graniczne, wysnuwając z nich dowody i fakta stanowcze, i, rzekłbyś, patrząc na niego w takich chwilach, że to widocznie maruder jakiś z XVIII wieku przywłókł się z Lublina na plac Krasińskich, aby ostatecznie zakończyć rozpoczętą przed stu laty graniczną sprawę.

Gdy po dniu tak pracowicie spędzonym wracał pan Ksawery do domu, widywano go często na ognistym rumaku, jak z fantazją galopował po ulicach Warszawy, i pokręcając węża, obmyślał plany do nowej kampanii duktów i reduktów granicznych.

Jakby przeciwstawienie temperamentu ogniowego pana Ksawerego, ukazywał się słuchaczom trybunalskim elegancki i układny mecenas Aleksander Parisot, figura salonowa, zawsze pięknie utrefiona, której nie dostawało tylko niebieskiego fraka ze złotymi guzami, kołnierzyka koronkowego i żabotów, jedwabnych pończoch z trzewiczkami na klamki złote zapiętymi, aby przedstawiać skończony typ markiza z czasów Ludwika XV.

O ile Karasiński wyobrażał węża, o tyle Parisot był uosobieniem peruki, w przenośnem tego wyrazu znaczeniu. Przy kratce dość małomówny, lecz bardzo układny, o wyszukanych, zaokrąglonych frazesach, lubił pan Aleksander nadewszystko sprawy o prawość rodu, lubił roztaczać przed sądem spory, na małżeńskiej *incompatibilité des caractères* oparte, i estetycznie uwypuklać tajniki małżeńskiej alkowy, która, jak się zdaje, przykuwała sympatyę obrońcy swoim urokiem i znajdowała w sędzi Aleksym Brzezińskim namiętnego słuchacza...

Tych wszystkich okras pozbawionym był poważny, surowy i czysto specjalny wykład mecenasa Andrzeja Wolffa. Już samo oblicze pana Andrzeja okazywało niewzruszoną powagę i marmurowy chłód zawodowego jurysty. Pan Andrzej nie kochał się w kwiatkach, jakkolwiek wysoko cenił godność ziemianina - obywatela, i uważał się za nowatora w kwestyach płodozmianu i irrygacyi łąk... Poza tem jednak, wobec sądu i publiczności był to prawnik duszą i ciałem, i trzymał się tylko orzeczeń kodeksu, nie wkraczając zupełnie w idealne sfery frazeologii i retoryki. Występy Wolffa przed kratką sądową nosiły na sobie uroczystą cechę wykładów praktyki życiowej. Loika dowodów i siła przekonania walczyły w przemówieniach Wolffa z nieubłagana konsekwencyą wywodów prawniczej natury. Każde słowo p. Andrzeja trafiało do celu, a argumentacya mówcy obfitowała w kazuistykę, wobec której oratorstwo przeciwnika broń składać musiało.

XIV.

Mecenas Flamm. — Ważna kwestya frakcyi dziecka prawego. — Das Ding an Sich. — Mecenas Leo i jego wycieczki w sfery humorystyki wyższej.

Do jednakiej z mecenasem Wolffem kategorii należał i mecenas Filip Flamm, okaz cichego, uprzejmego i parlamentarnego mówcy. Był to prawnik-teoretyk, rozmiłowany w zawodzie prawniczym dla — idei...

Niskiego wzrostu, przyjemnego i łagodnego oblicza, o głosie sympatycznym i cichym, uważał pan Filip kratkę sądową za profesorską katedrę, sędziów za akademickich swoich słuchaczy, przed którymi wygłaszał subtelne poglądy prawne, np. o jednej trzeciej części dziecka prawego, wyobrażającej całokształt praw dziecka naturalnego...

Każda sprawa była dla Flamma źródłem i pretekstem do głębokich wywodów prawniczych. Zapominał dla niej nieraz o konkretnym interesie klienta, lecz bronił zasady, teoryi czystej, *das Ding an sich selbst*, wysnuwając z niej tysiączne, okwiecone zasobem świeżo ukutych wyrażen swojskich, kazuistyczne (przypadkowościowe...) powikłania.

Gdyś spotykał Flamma, idącego ulicą ze zwitkiem papierów pod pachą, lub też dobijającego się zwycięstwa nad deską z figurami szachowemi, mógł być pewnym, że w tej chwili prawdopodobnie pan Filip łamał sobie głowę nad właściwszem użyciem wyrazu: *ręko b i e r c a*, lub *ręko j e m c a*, a gdyś ośmielił się zrobić uwagę, że może prościej byłoby tu użyć wyrażenia: *garant*, wówczas pan Filip z namaszczeniem rozwijał teorią (zasadę) słownictwa swojskiego i konieczność stosowania wyrazów takich, któreby nietylko rzecz, ale i myśl malowały dosadnie... Poza obrębem takiej właściwości usposobienia Flamm był przedstawicielem nie-licznej garstki głębokich znawców filozofii prawa i języka swojskiego, był w całym tego wyrazu znaczeniu uczonym prawoznawcą, a liczny szereg naukowych jego dzieł (*Wexle i czeki*, *Wykład kodeksu cywilnego*, *O spółkach rolnych* i t. p.) wzbogacił piśmiennictwo prawne cennemi pracami, którym zasłużoną sprawiedliwość oddała krytyka naukowa, a oceni jeszcze lepiej potomność, gdy takich głębokich znawców prawa, do jakich należał Flamm, już zabraknie...

Natomiast nie szukał z a s a d y nieoceniony mecenas Edward Leo, w sprawach bronionych przed sądem. Dla sympatycznego pana Edwarda, proces sądowy był tylko środkiem publicznego ujawniania humoru i dowcipu, jakimi łaskawe nieba obdarały duchową jaźń utalentowanego mówcy. Wesóło też było w kółku, w którym się znajdował Leo. Anekdoty naświeższe i koncepta dwuznacznej na-

tury, okraszone malowniczymi określeniami, sypały się, jak z rękawa na głowy zachwyconych słuchaczy. Powtarzano sobie na mieście wycieczki pana Edwarda w krainy humorystyki wyższej. Łatwość wysłowienia, towarzyska ogląda i wykwintne maniere łączyły się w panu Edwardzie z erudycją literacką, której dowody składał w książkowych swoich artykułach, zamieszczanych w odcinkach poważniejszych gazet.

I przed kratką nie taił się pan Edward ze skłonnością swoją do humorystyki wyższej. Docinki, sypane w stronę antagonisty, drażniły — lecz nie raniły ofiary; jeśli zaś rezultat sprawy w taki sposób bronionej, nie zawsze odpowiadał humorystycznym jej zaczątkom, pozostawała na dnie porażki ta słodka pociecha, że arena sądowa nie zawsze służy za pole walki o zasady prawa, lecz może być czasami i areną, do której humorowi i dowcipowi dostęp wzbronionym nie jest...

Z powierzchowności podobny do angielskiego lorda, z bokobrodami troskliwie pielęgnowanymi, z rogowem *prince-nez*, ulokowaniem na klasycznie ukształtowanym nosie, odbijał pan Edward od szarego tła obrońców kratkowych i wnosił wszędzie, gdzie się tylko ukazywał, pogodną atmosferę towarzyskości, tak pożądaną w życiowych stosunkach.

XV.

Mecenasi Tańkowski i Grobicki. — Imię pan Mieczysław Wyrzykowski. — Gustaw Wołowski. — Henryk Krajewski.

Niezwykłą werwą satyryczną odznaczał się przy kratce mecenas Hipolit Tańkowski, mówca apodyktyczny, zgryźliwy, cięty, a gruntowny w wywodach obrony. Kolosalnych wymiarów ciała, o wyglądzie stentora rzymskiego, łysy, a wymowny, jak Cyncero, gnębił swego adwersarza potokiem argumentów ścisłych, logicznych, opartych na praktyce życia i znajomości charakterów ludzkich. Kratka, przy której stawał pan Hipolit, była jak ziejąca ogniem góra, a z niej, z ust mówcy kłębiły się gęste chmury potępiających dowodów... Nie widać było żadnej gestykulacyi rąk, ani kołysania się popiersia mówcy. Usta tylko miotaly pociski, a nadchmurzone gęstemi brwiami oczy puszczały błyskawice gniewu w stronę przeciwnika, uśmiercały go gromami dowodów i zarzutów, na które parasol kwiecistych frazesów nie dawał żadnego schronienia.

Do kategorii takich bezlitosnych szermierzy należał i mecenas Wincenty Grobicki. Z żołnierską zamaszystością, twardy w karku, a cięty w słowach, wypowiadał pan Wincenty krótkie, urywane zdania, ozdabiając suche swe wywody cytacyami łacińskimi i adagiami prawniczemi, bez uniesienia i kwiecistości stylu, a skończywszy obronę, miarowym krokiem, jak żołnierz, oddalał się od kratki, nie okazując najmniejszej ciekawości, czyli wywody jego znalazły potwierdzenie w ferowanym wyroku.

A oto znowu przed nami postać niepośledniego wzrostu, barczysta, o rudym zaroście i o stentorowym głosie rzymskiego trybuna.

Jest to mecenas Mieczysław Wyrzykowski, słynny facecyonista, lecz człowiek najzacniejszego serca i niezwykłego doświadczenia fachowego. Mowę swoją przed kratką zaprawiał orzeczeniami ludowemi, rąbał językiem niewyszukanym, zmierzając prosto do celu, bez żadnych omówień i okras frazeologicznych. Stosunki ziemiańskie i kwestye serwitutowe znał i uprawiał z zamiłowaniem. Był wrogiem pijawek społecznych — lichwiarzy. Nie szczędził ich też w obronie, i niejeden z owych dobroczyńców, dla uniknienia siarczanej kąpieli zarzutów, chętnie się godził przed sprawą ze swą ofiarą, byleby tylko uniknąć zasłużonej z ust pana Mieczysława kary. Dziwny wstręt miał pan Mieczysław do — właścicieli domów, *vel* kamieniczników, jak ich nazywał. Złe języki utrzymywały, że zawsze był z nimi w za-

targach, z powodu komornego, którego pobieranie uważał, ze swego stanowiska, za nadużycie... Twierdził też, że stanowczo przyjść musi chwila rzezi kamieniczników... Miał jednak kolegę, który był właścicielem domu, a z którym wielce sympatyzował. To też w przystępie dobrego humoru obiecał mu, że ponieważ go bardzo lubi, to postara się, aby w czasie owej rzezi, był zarżniętym ostatni... — — Abym się z tobą dłużej mógł cieszyć... dodał na pocieszenie.

Antytezą owych rębaczy był mecenas Gustaw Wołowski, chudy, wysoki, o ptasiej fizygnomii, z długim nosem i uciekającej w głąb kołnierzyka bródce, zawsze nerwowo drażliwy. Choroba piersiowa odejmowała jego wymowie urok głosu pełnego; lecz w owych cichych, z trudem dobywanych słowach, tkwił zasób erudycji niepospolitej i odczytania wszechstronnego. Oddziaływały one na sędziów i słuchaczy urokiem stylu literackiego i przekonywającej treści. Głośna sprawa literacka „Kłosów“ z „Gazetą Polską“ o przekład „Pracowników morza“ ujawniła w Gustawie Wołoskim klasycznego obrońcę i literacko wykształconego prawnika.

Na krótko przed reformą sądową pojawił się u kratki znakomity mówca w osobie Henryka Krajewskiego. Jeżeli zewnętrzna strona wykładu pana Henryka szwankowała brakiem ciągłości, trudno było oprzeć się potędze obron Krajewskiego pod względem ścisłości i gruntowności treści, jaką za-

wsze celował. Twarz bardzo sympatyczna³, obramowana białą jak śnieg brodą, ożywiała się młodzieńczą krasą, gdy pan Henryk stawał przed sądem, by bronić spraw ważnych i energicznem słowem dobijać się zwycięstwa, dla niesłusznie krzywdzonych spraw klienta.

XVI.

Imci pan Łabędzki — Adwokat Magnuski. — Zamierzchtë typy. — Nasz pan
Aloizy. — Śmierć na wyłomie. — Jurisprudens Karpiński. — Kleczkowski
i Ciagliński.

Do charakterystycznych postaci między obrońcami starszego autoramentu należeli: mecenas Łabędzki i adwokat Magnuski. Obadwaj okazałego wzrostu, o twarzach wygolonych, łysi, żywo przypominali portrety dawnych palestrantów. Magnuski, przechylając się przez kratkę obrończą, efektownie, niby szepcząc, obniżał głos, lecz nagle, w miejscach, które uważał za stanowcze, wybuchał głosem silnym, tubalnym i uderzał z mocą o krawędź trybuny, tak, że sędziowie, ukołysani chwilowo liryką wykładu, nerwowo poruszali się na krzesłach kurulnych, ilekroć obrońca takim nadzwyczajnym środkiem przyzywał ich uwagę do porządku...

Tego samego systematu trzymał się w swoich obronach mecenas Łabędzki. Dziwna jakaś energia przejawiała się w ruchach staruszka, gdy widząc przechylającą się szalę zwycięstwa na stronę prze-

ciwnika, usiłował przekonać sędziów o słuszności swojej sprawy. Podnosił wówczas obie ręce do góry, zaciskał pięści, szamotał się całym korpusem, i wyrzucał z piersi tony rozpaczliwe, wzywające sędziów do ratunku.

Na jednej z obron Łabędzkiego znalazł się i genialny ś. p. Aloizy Żółkowski, pragnąc podpatrzeć niektóre charakterystyczne rysy Łabędzkiego, aby je skopiować wiernie, w roli, którą miał odegrać na scenie. Publiczność z zajęciem śledziła tę mimowiedną, zakulisową grę, za kratkami sądowemi, i cichemi szepty wyrażała swoje uwagi. Spostrzegł Łabędzki, co się święci, i po skończeniu obrony przystąpił najspokojniej do Żółkowskiego.

— Panie Aloizy — odezwał się do niego bez przygotowania — byłem przyjacielem ojca pańskiego. Jestem człowiekiem starym, ojcem dzieci i pracuję uczciwie... Nie rób mi przykrości i nie wystawiaj mnie na pośmiewisko gawiedzi...

Żółkowski spojrzał zdziwiony, i niepomny miejsca, w którym się znajdował, objął Łabędzkiego i serdecznie go ucałował.

— To zacny człowiek! — szepnął, odchodząc z sali — ja mu tej krzywdy nie wyrządę...

Zdziwili się też pewnego razu słuchacze, gdy ujrzeli Łabędzkiego, jak po gorącej obronie w jakiejś sprawie cywilnej, skulił się w milczeniu w kącie ławki obrończej, a gdy przeciwnik jego skończył replikę i oczekiwał głosu Łabędzkiego, ten już nie podniósł się ze swego miejsca, gdyż w trakcie mowy przeciwnika zasnął snem głębokim — na zawsze...

Do rzędu cichych, sympatycznych i użytecznych pracowników należał mecenas Józef Karpiński, wiekuiście zajęty zbieraniem ziaren mądrości senackiej i szeregowaniem ich według liter alfabetu. Z prac mecenasa Karpińskiego, systematycznie, przez szereg lat gromadzonych, zebrała się już poważna biblioteczka. Przyszły historyk sądownictwa krajowego znajdzie w niej z czasem bogaty materiał do poznania jurysprudencji cywilnej, w dawnej najwyższej magistraturze sądowej.

Pan Józef nigdy nie pretendował do wybitniejszej przed kratkami roli. Jako cichy i skromny pracownik, uprzejmy w stosunkach towarzyskich, nie narażał sobie nikogo w wywodach obrony. Jedynym ideałem jego obrończego zawodu było to, aby do pokaźnego zbioru swoich notat dodać jeszcze jakąś jurysprudencję, i pomagać swoim kolegom praktyczną radą w wyszukiwaniu odpowiednich orzeczeń senackich.

Koledzy senaccy wyliczonych powyżej mecenasów: Józef Kleczkowski (senior) i Franciszek Ciągliński, surowego oblicza, lecz bardzo łagodni ludzie, jeszcze skromniejszych byli aspiracyj. Odczytywali swoje obrony w skupieniu ducha i rzadko kiedy puszczali się na grzążkie i śliskie pola improwizacyi ustnej.

XVII.

Zabytek sądu najwyższej instancji. — Wierzchlejski. — Łącki. — Wrotnowski.

Uzupełniały galeryą starszych obrońców postaci mniej głośnie, lecz niezaprzeczanej w swym zawodzie użyteczności.

P. Tomasz Nowakowski, najstarszy, nie tylko *de nomine*, ale i *de jure*, *mecenas* z epoki sądu najwyższej instancji (przed r. 1842), dawny współpracownik *Temidy*, pomimo sędziwego wieku, zachował rumieniec i świeżość iście młodzieńczą. Cichy, potulny, stawał przed kratką zawsze zakłopotany, i głosem niepodniesionym wygłaszał argumenta prawne z cytacyami łacińskimi, bez uniesienia, bez okrasz krasomówczej.

Nowakowski doczekał się obchodu jubileuszowego półwiekowej działalności na polu obrończym, a uroczystość ta przyniosła upadającemu w owym czasie wydawnictwu „*Biblioteki umiejętności prawnych*” zasilek pieniężny i dała *assumpt* żyjącemu, lecz niestety, już nie dla świata, Stanisławowi Kronenber-

gowi, do zaopiekowania się losem wydawnictwa, które piękną kartę w literaturze prawniczej współczesnej wypełniło.

Jednakiej miary pod względem zdolności fachowych był ongi p. Roman Wierzchlejski, postać niezmiernie ruchliwa, w szerszych kołach towarzyskich powszechnie znana. Jako nauczyciel prawa w klasach dodatkowych, następnie jako profesor Szkoły Głównej, jako prokurator senatu i współpracownik ustaw filantropijnej natury, odznaczał się znajomością fachową przedmiotu i korzystał z dobrej opinii w kole zawodowych kolegów, którzy go zwykle jako swego prowodyra na zebraniach prawniczych wybierali.

Z obrońców dawnego autoramentu wymienić należy i p. Teodora Łackiego, niegdy bardzo wziętego obrońcę, znawcę subhastacyjnych zawilości. Zapełniał on szpalty gazet obwieszczeniami o sprzedażach przymusowych, i głosem tubalnym gromił usiłowania zręcznych dłużników w sporach egzekucyjnych. Nie zaliczano Łackiego do wybitniejszych zdolności obrończych i on sam też do nich zbytniej nie rościł pretensyi, lecz była to siła użyteczna, z którą rachować się należało.

Jako „literata“ uważano za czasów moich mecenasa Antoniego Wrotnowskiego, ponieważ przetłumaczył z francuskiego traktat Marcade'go o „przedawnieniu“. Było to istotnie czemś wyjątkowem i niezbyt dobrze o rozległości praktyki obrończej świadczącym wydarzeniem, jeśli spotykano nazwisko jakiego prawnika pod artykułem literackim, lub też

na okładkach książki. Pozytywnie myślący ludzie wzruszali ramionami na widok obrońcy, który, oprócz kratki i po za nią pielęgnował w duszy inne jeszcze ideały. To, co się w czasach dzisiejszych, w adwokatach, pomiatających nauką i uważających zawód swój jedynie za sposób „robienia grosza“, uważa za lenistwo, filisterstwo i umysłową penuryę; to, w czasach, o których mowa, uważało się za rodzaj wykroczenia przeciw powadze palestry, jeśli adwokat zajmował się literaturą, a co gorsza, jeśli drukował jaką rozprawkę w oddzielnem wydaniu. Nazywano takiego niedołęgę wprost „literatem,“ i jeśli nie znajdowano argumentu dość silnego na zgnębienie takiego przeciwnika, to się napomykało sądowi, że „może to w książce drukowanej nieźle wygląda, ale do „kratki“ zupełnie nie pasuje...”

I dzisiaj może członkowie palestry nie grzeszą zbyt zbytniem zamięłowaniem do nauki „czystej.“ Rzadko który między nimi, po za obrębem chlebobajnego zawodu, uprawia jakąś gałąź nauki lub literatury w takiej mierze, jak to np. we Francyi się praktykuje. W każdym razie, na ilość biorąc, więcej się spotyka dziś obrońców piszących, lub uprawiających allotria, aniżeli za czasów moich, gdy zajmowanie się allotriami wprost obniżało obrońcę w oczach kolegów i klienteli...

Mecenas Wrotnowski używał wielkiej wziętości w kołach arystokracji krajowej, a posiadając języki obce, miał liczną klientelę w domach handlowych i zagranicznych.

XVIII.

Pan Wojtuś. — Kocio Bożewski. — Kokeli. — Thieme i Holtz. — Helcel. — Łubieński.

Kiedyśmy już zawadzili o prawników, którzy hołdowali innym boginiom, nie porzucając Temidy, wspomnieć tu należy ś. p. Wojciecha, vulgo Wojtusia Bronikowskiego, adwokata, posiadacza jednej z piękniejszych galeryj obrazów i gorliwego zwolennika piękniejszej połowy „personelu“ sceny warszawskiej. Zaczny „Wojtuś“ (świeć Panie nad jego duszą!) był duszą wszystkich zebrań towarzyskich, miłym bardzo gawędziarzem, i z tego tytułu miał wiele bezinteresownych między płcią piękną adoraterek.

Lubiło się wprowadzać sprawę z Wojtusiem, bo nikomu nie mącił wody, nie poruszał żółci, nie szykanował, nie wzywał pomsty sprawiedliwości, lecz każdą sprawę oddawał pod „obywatelski“ sąd sędziów trybunału, i ze stanowiska zaściankowej obywatelskości traktował stosunki panów Piotrów i Pawłów, choć tym ostatnim częstokroć ani się marzyło w taki sposób kończyć rozpoczęte sądowe waśni

Zacny, łatwo ulegający wpływom i prośbom, częstokroć w trudnem z tego powodu znajdował się położeniu. Raz, klient jego, dostawca maszyn rolniczych, polecił mu pozwać dziedzica i dzierżawcę pewnych dóbr o zapłatę należności za wziętą przez nich na kredyt młockarnię. — Pan Wojciech zapozwał obu, lecz trybunał wyrokiem swym tylko jednego z pozwanych, a mianowicie: dziedzica, skazał na zapłatę, dzierżawcę zaś, słusznie, czy nie słusznie, od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił. Po wyroku, zjawia się dzierżawca u Wojtusia i prosi, aby mu, jako „nieszczęśliwemu dzierżawcy“ dać pokój i trzymać się tylko „zamożnego dziedzica“. Pan Wojtuś w dobroci swej zgodził się na to uwolnienie i dopuścił w tym jedynie punkcie prawomocności wyroku. Tymczasem dziedzic zaapelował i dowiódł w wyższej instancji, iż to właśnie ów „nieszczęśliwy dzierżawca“ zamówił młockarnię, dobra spustoszył i umknął z ową młockarnią za dziesiątą granicę. Sąd Apelacyjny uwolnił dziedzica od odpowiedzialności... i tym sposobem pan Wojciech znalazł się nagle bez przeciwników...

Nie można też zapomnieć i o kochanym Konstantym, vulgo Kociu Bożewskim, figurce czarnej, malutkiej, z dużym, poważnego zakroju nosem. Nieoceniony to był kolega i towarzysz. Jako stary kawaler pędził całe życie wiosniane chwile, a adwokaturę uważał jedynie jako potrzebny dla konkokcyi żołądka środek higieniczny. Dowcipnemu panu Edwardowi Leo, nastroczał niski wzrost Kocia sposobności do wielu trafnych, lecz przyjacielskich przymówek.

Pewnego razu zadał np. pan Edward kolegom pytanie: kto nieszczęśliwszy z powodu swego niskiego wzrostu: czy Dominik Zieliński, czy Kocio Bożewski? Gdy zapytani biedzili się długo nad odpowiedzią, pan Edward najpoważniej zagadkę wyjaśnił.

— Nieszczęśliwszym jest Bożewski, gdyż pan Dominik ma jedną nogę krótszą, a Kocio — obie...

Nie zapalał się też pan Konstanty do spraw, chętnie je „spuszczał z wokandy“ jeśli się nie czuł usposobionym do „wprowadzania,“ i tak, czuwając nad drogocennem swem zdrowiem, ani się spostrzegł, jak go pewnego dnia powołano do sprawy przed Sąd ostateczny, z którego się już nie wraca...

Do kategorii pilnych, czujnych i rozmiłowanych w kratkowej praktyce jurystów, należał mecenas Józef Kokeli. Tonem jednostajnym, gniewliwym, przez nos puszczanym, wygłaszał pan Józef swoje obrony, którym pod względem gruntowności i dosadności nie zarzucić nie było można.

Jednakiej miary i wartości byli poważni obrońcy-mecenas: Thieme i Ludwik Holtz, wygłaszający głosem niepodniesionym, bardzo zjadliwe dla przeciwnika zasady. Fachowa znajomość przedmiotu łączyła się w obronach owych mówców, z gruntownem znawstwem arkanów handlowych.

Ciekawy okaz niespożytej energii i długowieczności przedstawiał już za czasów moich mecenas Wojciech Helcel, staruszek wysoki, ponury, o starannie przylepionej czarnej peruczce i troskliwie wygolonej fizyognomii. Ów trybunalski Chevreuil liczył sobie kilkadziesiąt lat z okładem, a mimo to, zawsze

żołniersko-sztywny, czarno od stóp do głowy ubrany, nigdy zestarzyć się nie chciał. Z zegarkową punktualnością dążył na otwarcie posiedzeń sądowych i wychodził z nich ostatni. Skromny, bez najmniejszych pretensyj, doczekał się jubileuszu półwiekowego swego zawodu, lecz mimo nalegań kolegów, wymówił się od przyjęcia jubileuszowej bibki wyrażając ze stanowczem zaufaniem w swe niespożyte siły — dyamentowego wesela mecenasury, które również bez żadnej iluminacyi i fajerwerków obchodzić miał zamiar. († 1890 r.)

Błękitna krew miała w palestrze przedstawiciela w sympatycznej postaci Tomasza Wentwortha hr. Łubieńskiego. Z manierami iście arystokratycznymi w ruchach i mowie szybkiej, sfrancuziałej, poprzetykanej grasseyowanemi zgłoskami, łączył hrabia Tomasz zalety wyszukanej towarzyskości przed kratką, nieraz nawet ku niezbyt wielkiemu zbudowaniu strony interesowanej. W owym potoku słów szybkich, wymawianych zaciśniętymi ustami, było bardzo wiele kurtuazyi względem przeciwnika, lecz bardzo mało materiału faktycznego i prawnego. Kto na taki systemat obrony się nie godził, mógł cierpliwie oczekiwać repliki antagonisty, gdyż z niej dopiero dowiadywał się, o co właściwie strony się swarzą...

XIX.

Okolski. — Głębocki. — Metafizyka i fizjologia w prawie. — Tomaszewski.

Wykładem profesorskim, pedagogicznym, zalecały się obrony prof. Okolskiego. Sympatyczny ów obrońca uważał każdą sprawę, jako materiał do dysertacyi naukowej. Zapominał często, że ma przed sobą sędziów, lecz zdawało mu się, że to audytorjum uniwersyteckie oczekuje komentarza do artykułu wątpliwego. W obronie mecenasa Okolskiego niknęły strony, z całym aparatem interesów osobistych, namiętnostek, chciwości, podejść i kruczków prawnych, lecz wynurzał się z niej *Primus*, który pewnemu *Secundusowi* zawierzył skrypt poreczony przez *Tertiusa*, na co *Quartus* nie zgadzając się, przyzywał *Quintusa* do akcji rewindykacyjnej przeciw *Sextusowi*, a ten znowu drogą rekonwencyjną domagał się od *Septimusa* waluty wypłaconej *Primusowi*...

Takim wykładem suchym i kościstym odznaczały się i obrony mecenasa Głębockiego. Bez cienia namiętności szeregowwały się w tych obronach argumenta bardzo zasadne i logiczne, ale zbywało im

na kolorycie, który jest duszą wymowy. Blade i bezbarwne, dążyły bez pośpiechu do głównego celu — uzasadnienia art. 130 kod. Post. Sądowego, i na tem się ich jedyna misja kończyła.

Doktrynerska zaciętość natomiast przenikała obrony mecenasa Aleksandra Majewskiego, chudego i kościstego palestranta. Zasłynął on obroną w niezmiernie drażliwej kwestyi małżeńskiej, w trakcie której, z całym aparatem fizyologicznej wiedzy, dowodził możliwości wytwarzania się rodu ludzkiego sposobem sztucznym... Brakowało tylko demonstracyom tego rodzaju pieca stosowanego przy sztucznem wylęganiu kurcząt, a nauka zdobyłaby niekosztowną prawdę, na której objawienie od stworzenia świata napróżno czeka...

Do kategorii obrońców neutralnych, nie mącących nikomu wody uporczywem trzymaniem się własnego poglądu, należeli: Szaniawski, Starzyński, Tomaszewski, Chraszczewski i Chruszczakowski, uprzejmi i mili w obejściu ludzie. Po rozprawie z nimi przed kratką, odchodziło się w stanie zupełnego spokoju, bez żadnego nerwowego rozdrażnienia, jak po jakiejś bezprzedmiotowej dyspucie, w której każdemu wolno pozostać przy własnem zdaniu.

XX.

Parter sprawiedliwości. — Proces czytany. — Ważność świadków. — Kara podzwyczajna nadzwyczajnie bolesna. — Śliczny paragraf czterysta dziewiąty. — Jędrzejewicz. — Zegrzda i Jan Teodor.

Pozostawmy na chwilę obrońców, dowodzących na pierwszym piętrze trybunalskiego gmachu czystości intencji wszystkich klientów, którzy swe kieszenie ich opiece powierzyli, i zejźmy dla odpoczynku na parter tego gmachu, gdzie w obszernej sali, pod wydziałem I cywilnym sytuowanej, mieściła się sprawiedliwość karząca. W sprawach ważniejszych prezydował tam ś. p. Alfons Bielski, postać charakterystyczna, o długich, siwych, z angielską przeczesanych faworytach, rumianem obliczu i przenikliwych, Javertowskich oczach. Komplet składał się z ludzi sędziwych, zmęczonych, osłuchanych z nieskończonym szeregiem nieprawości „podsądnych,” z których każdy przybywał przed kratkę, aby dowieść, jak na dłoni, że nie było nadeń na świecie człowieka uczciwszego, że mu tylko przypadkowo, z pośpiechu, albo przez omyłkę, sprawę karną uformo-

wano. Procedura tutaj, za moich czasów, odbywała się na podstawie zadawnionej ordynacyi pruskiej. Referent czytał relacyą, obrońca czytał obronę, prokurator czytał wnioski, sąd czytał wyrok. Pomimo, że w takich warunkach obrona była prostą formalnością i mało nastrezczała pola do samodzielnej akcji, znajdowali się i tutaj specjaliści, którym rozgłos tłumów przylepił przydomek świetnych kryminalistów. Zjawiali się oni u kratki, bez żadnego przygotowania, bo już ich obrona wystylizowana na arkuszu papieru, doszytą była do akt sądowych i obowiązkiem ich było odczytać to, co u siebie przy biurku napisali. Ideałem takiego obrońcy karnego było zdobycie dwóch tylko świadków, którzyby byli *omni exceptione majores*. Sprawiedliwość karna ważyła za czasów ordynacyi pruskiej czyny ludzkie na czułej szalce dowodu ze świadków. Jeśli ich było dwóch — zatrzymywała się wskazówka szalek na punkcie zero, jeśli był tylko jeden „wiarogodny świadek” — przechylała się na stronę skazania.

Gdy ktoś miał za sobą, przypuśćmy, półtora świadka, albo dwóch świadków mocno podejrzanym, rozciągano winowajcę i wymierzano mu karę podzwyczajną, (która czasami nadzwyczajnie bolała...), a po jej zniesieniu, uwalniano „dla braku dowodów” z pruskiego paragrafu 409...

O! niezapomniany paragrafie 409! Iluż to było obwinionych, którzy, jako najwyższą łaskę upatrywali dla siebie, gdy do nich sąd ów „śliczny paragraf” stosował! Kto miał za sobą ów paragraf, uwa-

żał się za szczęśliwego i nie dopominał się już nagrody Monthyona...

O zdobycie tego tylko paragrafu walczyli specjaliści karni, a na ich czele, po ustąpieniu z pola działalności głośnego ongi Karola Winiewicza, zacny staruszek, imć pan adwokat Jan Jędrzejewicz (ojciec zmarłego astronoma płońskiego). Była to zacność uosobiona. Skromny, powolny, z wielkimi, czerwono obramowanymi oczyma, które nieustannie czerwoną fularową wycierał chustką, o wymowie nieco zamazanej, stawał Jędrzejewicz przed kratką i odczytywał pracowicie wyrobioną obronę, opartą na wiarygodności „dwóch, wyższych nad zarzuty świadków“. Na pole ustnych komentarzy nie puszczał się zacny staruszek, bo uważał je za zbyteczne. Czasami tylko, w ustępach ważniejszych, wycierał z łoskotem swoją czerwoną, fularową chustką nos, aby dać sędziom możliwość zapamiętania faktu stanowczego, od którego powtórzenia, po skończonej procedurze puryfikacyi nosa, rozpoczynał dalsze wywody.

Miał imci pan Jędrzejewicz rywala w osobie adwokata Zegrzdy. Pan Ludwik musiał pochodzić z rodziny ongi bardzo energicznej, jak to już samo nazwisko wskazuje. Wymówić z całą stanowczością i odpowiednim akcentem wyraz Zegrzda, znaczyło już tem samem spełnić akt niepospolitego animuszu. Ale już za moich czasów p. Ludwik Zegrzda nie był w zgodzie ze swoim nazwiskiem. Był to sobie cichy i zaspany obrońca, o siwych i rzadkich blond włosach, przemawiający zwolna, ze wzrokiem skierowanym w stronę żabotów, które stanowiły jego

właściwość. I dla niego „śliczny paragraf 409“ stanowił ideał niedościgniony, ale nim do stosowania tego paragrafu przystępował, puszczał się na komentarz ustny, starał się przejednać komplet sędzacy na korzyść oskarżonego, oczyścić zhańbione jego imię szczotką przypuszczeń i szuwaksem argumentów, z praktyki życiowej czerpanych. Niktby też na chwilę przypuścić nie mógł, aby ów cichy, potulny, *de nomine* tylko energiczny, pan Zegrzda, zdobył się na tak energiczny i desperacki koniec, jaki swemu kłopotliwemu zgotował życiu. Znaleziono pewnego dnia w r. 1876 przed gmachem izby sądowej pokrwawionego, z poderżniętem gardłem człowieka, a w nieszczęsnym denacie poznano zacnego pana Ludwika. Rozstrój nerwowy i *taedium vitae*, samobójczą dłoń podały nieszczęśliwemu do ręki...

Jeszcze dwaj owi specjaliści „od paragrafu 409“ byli w pełni swojej działalności, gdy nagle na torze praktyki kryminalnej pojawił się nowy zapasnik, w osobie pana Jana Teodora Wedemana. Zdolność to była niepospolita, ale spaczona nieokiełznanym temperamentem. Wymowny, jak Demostenes, o postawie okazałej, szermujący doborem słów wyszukanych, a przystrojonych erydycją z paryzkich kursów zaczerpniętą—mógłby p. Wedeman dostąpić z czasem istotnej wziętości i zdobyć wawrzyn pierwszorzędnego mówcy. Nie stało się to jednak, z winy dziwnego lekceważenia talentu oratorskiego, ku wielkiemu żalowi ogółu rówieśników p. Teodora. Zeszedł też prędko z widowni działalności szerszej, i zaprzepaścił się w jakiejś prowincjonalnej mieścinie, z kąd już nie wrócił...

XXI.

Imię pan Fortunat. — Polowanie na kosza z naganką.

Czas jednak nam powrócić na pierwsze piętro, aby dokończyć przeglądu galeryi obrońców, którym, i z wieku i z urzędu pierwszeństwo się należało, by przejść następnie do galeryi niższego autamentu i odbyć defiladę w gronie ichmość panów patronów trybunalskich.

Nim tę ostatnią odbędziemy wędrówkę, musimy się zatrzymać chwilę jeszcze przy osobie niezapomnianego imci pana Fortunata Biegańskiego, który, za czasów moich, stanowił istny postrach na wróble, albo raczej na ruble gromadzone w kieszeniach adwokackich. Stara to jak świat prawda, że żadnemu zawodowi fachowemu nie zazdroszcza tyle „honoraryów,” ile adwokatom. Dla ludzi, nie wnikających głębiej w przyczynę wziętości adwokackiego stanu, z powodu łatwości, z jaką, przy pewnej zdolności, a przede wszystkim sumienności w pełnieniu obowiązków, adwokaci zdobywają sobie chleb codzienny: względnie obfite rezultaty prac tych osta-

tnich, stanowią przedmiot nieusprawiedliwionej częstokroć zawiści.

Znaliśmy wielu takich, którzy porównywując swoją pracę zmudną i uciążliwą, z pracą adwokacką, polegającą, ich zdaniem, tylko na „gadaniu przed kratką,” przyszli do przekonania, że art. 130 kodeksu postępowania sądowego, mówiący „o kosztach,” istotnie jest kosztownym i niesprawiedliwym... Że takie przekonanie znajdowało ujście w przymówkach czynionych „gardłaczom” ze strony niektórych upośledzonych w hierarchii urzędniczej osobników — rzecz to naturalna i czysto ludzka... Ale że taki pogląd mógł się uformować w łonie jednego z przedstawicieli palestry obrończej, to stanowiło oryginalność, i do takiej właśnie oryginalności rościł sobie pretensją niezapomniany pan Fortunat. Specyalnością jego były — skargi na honorarya obrończe, subhastacyjne zwłaszcza. Pilnował się on czujnie przy terminach „ostatecznego przysądzenia;” a gdy zauważył, że sąd w obliczeniu kosztów za sprzedaż realności „przesolił nieco” — niezwłocznie formował skargę i popierał ją przez instancje, aż do zupełnego zadowolenia swej ekonomicznej teoryi.

Specyalność ta jednała panu Fortunatowi liczne koło klientów, lecz rzucała prawdziwe *odium* na łysego, namiętnego i opasłego staruszka, który nic sobie z tego ogólnego despektu nie robiąc — prowadził otwartą walkę „z kapitałem” w imię wrzekomego ogólnego dobra.

Nie zawsze jednak taka podjazdowa wojna prowadziła do celu, i często też jowialny adwokat

S** „w piątym“ wydziale trybunału, mieszczącym się obok ogrodu Krasińskich, dawał folgę inwektywom przeciw panu Fortunatowi miotanym, i radość swoją z powodu doznanej przez tego ostatniego porażki topił w kieliszku „białego“, a czasem dla odmiany — i „czerwonego...”

Z dość okazałego szeregu takich tryumfalnych uroczystości kolegi S** i z radosnego onych święcenia, można sobie było statystyczną utworzyć opinią, że zabiegi imci pana Biegańskiego, nie zawsze zbiegały się w punkcie powodzenia...

XXII.

Armia niedobitków. — Pan Franciszek Krakowski. — Jego wilgotne obrony i suche repliki.

Oryginalna postać pana Fortunata, jakby ostatnie ogniwo palestranckiego łańcucha, kończącego się w instancyi najwyższej, łączy nas z zastępem patronów trybunalskich niższej kategorii, i prowadzi do również ciekawej galeryi typów, jaką z ostatnich lat istnienia trybunału żyjące pokolenie w pamięci swej zachowało.

Bogatą też była owa galerya patronów dawnego autoramentu, co to zewnętrznym wyglądem, wymową i zachowywaniem się wobec klienteli i sądu żywo przypominali znane już tylko z tradycyi typy.

Choć owa tradycja palestrancka bynajmniej świetną nie była, choć wszystkie pamiętniki opisujące dawną palestrę, z przekąsem wspominają o fortelach i sprawkach patronów starej daty, jednakże trudno jest dziś oprzeć się zajęcie, jakie budzi ów stan, który okazywał w dobrych i złych przejawach

niezaprzeczone piętno oryginalności, i mimo odmiennych warunków bytowania, umiał zachować animusz i swadę w sposobie przemawiania do sądu, w systemacie obrony pomysłowości i zręczności niezaprzeczanej.

Już sama postawa maruderów dawnej palestranckiej armii odskakiwała od powszedniego tła pierwiastków napływowych, młodszych. Z biegiem czasu wielu bardzo patronów owego dawnego typu przeszło do instancji wyższych i opróżniło szeregi trybunalskie. Pozostało jednak za czasów, o jakich tu mowa, sporo jeszcze palestrantów typowych, i młode pokolenie wstępujące dopiero na pole zapasów krótkowych miało przed oczyma resztki tradycji trybunalskiej, z jej zaletami i wadami, napraszającemi się Hogarthowskiego ołówka, pióra Wilkońskiego, lub, w ostatecznym razie, malarza takiej siły, jaką miał Rzewuski w „*Pamiętnikach starego szlachcica*“ aby dosadnemi rysami odwzorować choćby kilka wybitniejszych tej kategorii okazów.

Oto jeden z owych niedobitków przesuwają się właśnie między rzeszą ciekawych, zalegającą przed sionek trybunału.

Górując wzrostem i niezwykłą tuszą nad otoczeniem, imci pan Franciszek Krakowski z wyżyn pogardy opuszcza wzrok na rzesze młodych patronów, uwijające się po sali trybunału. Kolosalny żywot spowity w szarą kamizelkę, połączoną trwale z dalszym ciągiem szerokiego ubrania, nie pozwala mu nawet sięgać wzrokiem w stronę owych lilipu-

tów obrończych. Dla pana Franciszka istnieje tylko sędzia prezydujący i pan pisarz trybunału, który motywa wyroku redaguje. Do nich tylko przemawia pan Franciszek. Źle mówię. Pan Krakowski nie uważa za właściwe zwracać się do sądu z przemową. On tylko czyta to, co napisał własnoręcznie i podkreślił czerwonymi linijkami; a po każdym odczytanym ustępie zwraca na sąd wejrzenie baczne i przenikliwe, jak gdyby chciał sprawdzić, czy podkreślony czerwono ustęp sprawił na panu pisarzu Zgórskim wrażenie; poczem znowu opuszcza oczy na arkusz papieru, i miarowym stentorowym głosem czyta dalej.

Czytanie to nie idzie panu Franciszkowi łatwo. Myśli jego, wyprzedzając głos, jednoczą opasłe wargi ust i język w tak ścisłą spójnię, że dźwięki czytanego głosu obrończego nikną w powodzi ślin wydzielanych przez mówcę i zmuszają antagonistę do użycia parasola — w formie chustki ochronnej... Trzymają się też antagoniści w poważnem od mówcy oddaleniu, — i dopiero gdy pan Franciszek, po skończeniu tego rodzaju wilgotnej oracyi, przecisnąwszy się z trudnością przez przestrzeń ławki obrończej i balustrady, zstępuje na niziny podłogi sądowej i jeszcze na odchodnem woła: „Koszta z artykułu setnego trzydziestego kodeksu postępowania sądowego, stronie wygrywającej od strony przegrywającej zasądzeniu ulegają!“ wtedy dopiero adwersarz ma możność w suchej replice praw swoich bronić przed napaścią tak groźnego oratora...

Odchodzi też pan Franciszek od kratki dumny

i wyniosły, gdyż sądzi, że argumentem końcowym zmiażdżył do szczeru swego przeciwnika, i wraca do przysionka trybunału, wśród którego obrzękła twarz jego i piętrowy podbródek świecą, jak księżyc, na tle chmur szarych i nikłych...

XXIII.

Nieźrównany pan Konstanty i jego tête à tête. — Obrona z chórem greckim. —
Kto ma prawo apelować?

Po flegmatycznym panu Krakowskim, kolej na sangwinicznego i rzutkiego imć pana patrona Konstantego Grzybowskiego. Typ to odmienny i oryginalny; rzekłbyś, figurka wykrojona z kartonu osławionej palestry z czasów saskich... Krępy, czarny, niski, z łbem ostrzyżonym, a mimo to jeżącym się sterczącymi jak szczotka włosami, czuje się imć pan Konstanty przed kratką we właściwym sobie żywiole... Rzuca przed siebie krótkie, a zjadliwe frazesy; miota na przeciwnika gradem inwektyw, szydząc z jego obrony, a wszystko to odbywa się na tle arcywesołego, iście kawalerskiego opowiadania, jakby oracyi przysłuchiwał się żądny wrażeń podsek i pobudzał mówcę do ustawicznej wesołości.

Wiecznie zaaferowany, kręcący się jak mysz w ukropie, nie miał Konstanty czasu do głębszych studyów prawniczych. Dla niego — proces sądowy to tablica szachów. Wysunie partner laufra, pan

Konstanty konikiem zabiega mu drogę i do odwrotu zmusza. Podstawi przeciwnik pionka, pan Konstanty wieżą z trudności się wykreca. Zawsze czujny i sprytny, igra ze swoim przeciwnikiem, jak z myszą, a gdy droga do salwowania się ucieczką zamknięta, zjawia się nagle opozycja trzeciego pomysłu pana Konstantego i cała egzekucya na nic. Gdzie nie pomagają argumenta prawne, tam zręczny fortel staje w odwodzie i udaremnia napad antagonisty. A jakąż to encyklopedia wyrazów zasłyszanych gdzieś w rozmowie na mieście, lub przy kieliszku! Jaki przepych cytat, mających pretensyą do francuzczyzny!

— „Pomieniały się strony między sobą — woła w zapale mówca. — Ta dała siekierkę, owa kijek i basta! Zamiana łeb na łeb! *Tête à tête!* I czegoż tu nas ciągnąć przed kratkę? Jeśli kobyła istotnie była ślepą, toć należało jej przedtem dać do czytania *Rewiu de demą*. A jeśli się okazała kulawą, to należałoby dowieść, że nią była od urodzenia, w żywocie matki. Teraz, panie dobrodzieju za późno! *Tête à tête* i basta!...”

Pan Konstanty — to obrońca i opiekun pocziwych i naiwnych kmiotków. Wierzą w niego, jak w swoją kieszeń, towarzyszą mu nieustannie, w sądzie, na mieście, w gabinecie, radzą się go we wszystkim. Czasami ułatwia im pan Konstanty zachody i sam do nich zjeżdża na jarmark. Sadowi się w poblizkiej karczmie i udziela audyencyi kmiotkom. Wiedzą już o przyjeździe pana Konstantego siermieżni klienci. Tłumnie gromadzą się z papierami i woreczkami śrybnych rubli, starannie wypolerowa-

nych i lśniących. Odbywa się narada, obmyśla się plan działania, gromadzą dowody i świadkowie.

Działając na wyobraźnię kmiotków, pan Konstanty rozdaje im różnokolorowe bilety wizytowe, z adresem swoim. Najlepiej płacący — otrzymują bilety czerwone; mniej dobrzy płatnicy — zielone; zaś najtańsi klienci — otrzymują za karę żółte bilety... Gdy w jednej i tej samej sprawie „chłopskiej“ pan Konstanty kilku swoim klientom rozdał różnokolorowe kartki, a posiadacz zielonego biletu skarżył się, że jego sąsiad otrzymał bilet czerwony:

— Głupiś! — huknął pan Konstanty. — Twój sąsiad zapłacił lepiej, więc będzie broniony według koloru. Dopłaćcie i wy do swego biletu, a będziecie również czerwono t. j. ogniście bronieni...

I kmiołek dobywa z kalety grosiwa, i cieszy się, że również posiada cenny talizman — bilet czerwony...

Ilećkroć sprawa o tak zwane „grońta“ agituje się przed trybunałem, otacza Grzybowskiego zastęp pocziwych kmiotków. Wiedzą oni, że gdy pan Konstanty za plecami da znak umówiony ręką, należy gremialnie buchnąć głośnym płaczem i lamentem...

Słuchają też i wyczekują posłuszni kmiotkowie tej komendy, i sala sądowa zmienia się naówczas w dolinę łez i dolegliwości człeczego rodu.

Lecz nawet, gdy się i owa sztuka nie udaje, a „grońt“ z wyroku trybunału zostaje przy „somsiedzie“, nie rozpacza pan Grzybowski i pobudza do nadziei zwątpiałe serca pocziwych kmiotków.

— „Czego płaczeta? — woła oburzony. — Abo-

żeśta co przegrali? Patrzta! — Sąd wpis zatwierdził, najwyraźniej zatwierdził! Komu zostawił prawo do apelacyi? Czy sąsiadowi waszemu? Nie! Wy tylko mata prawo apelować i apelować musicie, bo takie jest prawo, a prawa słuchać należy! Jedźta do domu, a ja już wam doniosę, kiedy na wpis nowy fundusze przysłać macie. Uszy do góry!!“

XXIV.

Pan patron Kowalski. — Odrzucenie opozycji. — Walka pokusy z obowiązkiem. —
Sprawa dziwnie wnioskowa.

Podczas, gdy pod wpływem tak przekonywających argumentów klienci pana Konstantego nowym się krzepią się animuszem i widzą niezawodną tym razem wygraną w apelacyi, w przedsionku trybunału inna rozegrywa się scena. Niziutki a krępy i przysadzisty torbifer Majewski, prawie przemocą ciągnie do kratki imć pana patrona Kowalskiego, gdyż właśnie nadarza się sposobność „odrzucenia opozycji“ jakiemuś młodziutkiemu patronowi, jednemu z kategorii świeżo upieczonych adherentów palestry, których tak serdecznie nie lubi pan Edward. Widocznie jednak nie natrafił pan Majewski na dobry humor pryncypała, gdyż ten mruczy ospale jakieś niezrozumiałe wyrazy, i stara się ująć natarczywości przytrzymującego go za poły torbifera.

O tej właśnie porze odbywa się walna sesya w „piątym wydziale,“ i prawdopodobnie już kolega S*, mości dobrodzieju, niecierpliwi się z powodu

braku kompletu. Nie stawić się do apelu byłoby ubliżeniem panu Franciszkowi, a tu, pan Majewski, zobligowany widocznie przez klienta, nie pozwala panu Edwardowi ruszyć się z miejsca i daje znak imci panu Krasnodebskiemu, by raz jeszcze nazwisko pryncypała do kratki przywołał. *Nolens, volens*, ulega nareszcie pan Edward przymusowi, i leniwym krokiem posuwa się do trybuny obrończej. Stanąwszy przed kratką, ospale i półgębkiem odczytuje pan Edward komparycją i kontestacją; nagle jednak ożywia się i wymownemi argumentami zaczyna gromić swego nieobecnego przeciwnika za działanie „na zwłokę,” i kończy inwokacją o skazanie oponenta na „pryzwoite kosza”. Obecność pana Majewskiego przy takim „odrzucaui opozycyi” jest nieraz konieczną, gdyż zdarza się, że pan Edward w ferworze sam swoją własną odrzuca opozycją i skazuje się na „pryzwoite” kosza...

Lecz to są wypadki wyjątkowe, gdyż ogólnie biorąc, nie zawsze pan Edward jest do tyła roztargniony i wzruszony, aby nie wiedział, co czynić należy. Owszem, w większości wypadków, pan Edward należy do bardzo niebezpiecznych, szczególnie dla młodej generacyi, przeciwników. Umie on jej zalać za skórę, i takimi ją praży dosadnemi argumentami, że częstokroć obrona staje się wprost niemożliwą. Widok młodzieniaszka przy kratce podsyca pana Edwarda do wybuchów zgryźliwości i złego humoru.

— Sprawa nie jest przygotowaną do sądenia—zarzuca pan Edward na wstępie do obrony.

— Jakiż powód? — pyta prezydujący.

— Brak wniosków prokuratora — odpowiada pan Edward.

— Sprawa nie jest wnioskową — objaśnia prezydujący.

— Ze względu na nieletniość obrońcy przeciwnika, uważam obecność urzędu publicznego za konieczną — odpowiada za zgryźliwym uśmiechem pan Edward, i odpowiedź ta ściągą nań przywołanie do porządku.

Młody przeciwnik, K., istotnie bardzo młodzieńczego wyglądu, przyjmuje za dobrą monetę żarcik swego kolegi, gdyż wie, że to tylko wybryk dobrego lub złego humoru pana Edwarda, nie zaś chęć szykany.

Nie zawsze jednak występy patrona Kowalskiego cechowały się tego rodzaju lakonicznymi dogryzkami. Są chwile, gdy pod wpływem szlachetnego oburzenia wewnętrznego, zaspany wzrok pana Edwarda zapala się płomieniem namietności, narzucone na czoło rzadkie włosy, kołyszą się niespokojnie, potrząsane ruchami głowy, potoki wymowy leją się na sąd i przeciwnika, nie powstrzymywane względami dla losu niewypłacalnego dłużnika. Ironia, sarkazm, namietność wprawiają w ruch pięści pana Edwarda, odbijając się głuchym echem na pulpicie obrończej trybuny. Każdy argument znajduje oddźwięk w silnem uderzeniu zaciśniętej pięści o kratkę, i dopiero gdy taka bolesna amunicja jest wyczerpana, następują pogardliwe apostrofy, miotane w stronę anta-

gonisty, i kończą się zwykłą inwokacją — o bezwzględne zastosowanie art. 130 procedury.

Niezaprzeczony talent obrończy pana Edwarda ujawniał się częstokroć w ważniejszych sprawach siłą argumentacji i niepoślednią swadą, która ścigała do krutek trybunału liczne grono ciekawych i jednała mówcy liczną klientelę.

XXV.

Sławetny pan Marcelli. — Ekscepcya niewłaściwości sądu. — Gęś bez pana i wykaz hipoteczny.

„*Nessun maggior dolore...*“ powtarzał sobie za Dantem każdy, ilekroć miał przed sobą arcy popularną ongi postać sławetnego „pana Marcela“ Pawłowskiego... Jam go już znał w epoce upadku, lecz z tradycyi znana mi była wziętość owego człowieka, który za czasów moich świecił już tylko przebłyskami swej dawnej świetności. Przed laty, był to adwokat czynny, ruchliwy, praktykę miał rozległą i znaczne dochody. Zmarniał jednak szybko i *von Stufe zur Stufe* zszedł do kategorii najniższej, kontentując się parą rubelków, jakie mu koledzy za zastępstwo w trybunale handlowym płacili. Niepozorna ta figurka, z mocno zarumienionym nosem, wiekuście zaaferowana, w srodze nadniszczonym fraczku, o bardzo krótkich szosach, stanowiła istną materią wybuchową złotego humoru i niezrównanych conceptów prawniczych. Wielkie czytanie i światowy polor, zamięłowanie do sfer teatralnych, którym po-

święcił nawet przykład głośnej ongi *Ritty Hiszpanki*, stały się powodem, że „Pan Marcel” zaczął zaniebysować praktykę, i z powodu częstych libacyj w kole aniołów bez skrzydeł, lecz o bardzo krótkich spódniczkach, utracił liczne koło klientów i zeszedł na zwykłego drapichrusta kratkowego. I w tej jednak kłopotliwej pozycyi nie stracił nasz Marcel swego humoru i sympatyi kolegów. Gromadzili się też licznie około kratki, przy której stawał Pawłowski. gdyż wiedzieli, że się im ta cierpliwość opłaci sowicie... Trudnoby tu wyliczyć choć małą dozę konceptów, rzucanych na poczekaniu przez dowcipnego pana Marcelka. Przypominam sobie jeden fakt, świadczący o przytomności jego umysłu i o środkach, jakich w obronie swej używał. Powierzono mu raz sprawę przeciw osobie, nie już dwuznacznego, lecz zupełnie zdeklarowanego charakteru... Chodziło o zapłatę terminowego zobowiązania. Pan Marcelek ciągnie dłużniczkę przed forum handlowe. Pozwana broni się dokumentem, stwierdzającym w zupełności jej charakter nie kupiecki. Na to pan Marcel, odczytawszy zwolna wszelkie, nawet z najświeższej daty poświadczenia, odpowiada:

— Wysoki sędzie! Z przedstawionego dokumentu płynie dowód, iż interes tej pani do ostatnich dni nie próżnował... A że tym sposobem handel jest otwarty — nie widzę powodu, aby sąd inny sprawą jej się zajmował...

Jakoż ekscepcyą oddalono.

W innej sprawie bronił pan Marcel jakiegoś biedaka, który widząc błakającą się bez właściciela

gęś, zaprosił ją do swego mieszkania, z którego już nie wyszła... Rzec się wydała, i zbyt gościnny lokator pozwany został o „odszkodowanie“. Z całą powagą dowodził Pawłowski zasady teoryi, że *res nullius cedit primo occupanti*. Tą rzeczą *nullius* była, zdaniem obrońcy — gęś blakająca się bez pana...

— Proszę mi dowieść, że gęś ta powinna mieć swój wykaz hipoteczny! — woła w natchnieniu pan Marcel. — Gdyby go miała na grzbiecie, wówczas każdy z działu drugiego mógłby się przekonać o nazwisku właściciela. *Vigilantibus jura*, wysoki sędzie! *Prior tempore, potior jure*... Kto pierwszy ten lepszy. Pozwalam powodowi w taki sam sposób postąpić z gęsią mojego klienta, a z pewnością przy kratce nas nie spotka!

— Widok upadłej w osobie Pawłowskiego więtości był odstrasającym przykładem dla wielu kolegów. Miano przed oczyma i inne tegoż pokroju przykłady! Któż nie pamięta sławnego ongi Jana Zaleskiego, profesora kursów prawnych, zdolnego mówcy i uczonego prawnika? Jak „pan Marcel“, tak i pan Jan, zeszli z pola działalności zbyt wcześnie, dzięki tylko swej nieogłędności i niepamięci jutra. Bezskutecznie też powtarzał często ojciec Marcelego Pawłowskiego:

— Ja miałem ojca porządnego, nie dziw więc, żem zeszedł na paliwodę. Ale ty, Marcelku, miałeś wiatronogiego ojca, widziałeś do czego prowadzi życie bez jutra, a pomimo tego nie cofnąłeś się i poszedłeś za jego przykładem!!

XXVI.

Pan Maciej. — Piwoński. — Tomicki. — Muszalski. — Gadziński i inni ejusdem farinae. — Starzy i młodzi.

Stawał też czasami u kratki staruszek przygarbiony, w dużych ze srebrną obwódką okularach, blady i wycieńczony — pan Maciej Szypnicki. Trudno zdać sprawę z tego, czy sąd rozumiał cośkolwiek z wywodów owego palestranta. Osłabionym głosem przesiewał pan Maciej przez sito procesu swoje arcy ubogie argumenta, i zsuwał się z kratek tak cicho, jak do nich przystępował, a tylko czerwona chustka, którą wycierał łyse czoło, była widomym znakiem, że pan Maciej dąży do innego wydziału, gdzie go już oczekiwała nowa zaoczna sprawa.

Innym typem był sławetny pan Piwoński, może z powodu koloru swego nosa, (jak Neron — z powodu okrucieństwa swego) tak nazwany... Trochę głuchy, a mało widzący, wprawiał w podziwienie swoich antagonistów, iż zwykle słyszał dobrze te argumenta, które w czemkolwiek na korzyść bronionego klienta przemawiały, a zasłaniał się przy-

tępionym zmysłem słuchu i wzroku, gdy rzeczywistość przeciw jego wywodom przemawiała. W takich razach zwykle przechylał nieco muszlę swego organu słuchu, i ciekawie patrząc się w oczy przeciwnika, powtarzał: *Co? Co?*

Rówieśnikiem jego był pan Tomicki Teofil, figura obdarzona przyzwoitym, ciekawym nosem, zawsze figlarnie uśmiechnięta i cichym, szybkim tempem wygłaszająca najzwyklejsze termina prawnicze.

Należałoby jeszcze przesunąć przed oczyma czytelnika kalejdoskop, złożony z oryginałów nieposłedniej miary; przedstawić np. takiego pana Muszalskiego, który obdarzony siwą czupryną zjawiał się kiedy niekiedy z czarną jak atrament głowicą; takiego pana Wawrzyńca Szablowskiego, specjalistę od spraw zaocznych, rewersowych, nieprzejednanego wroga młodszej generacyi patronów; takiego pocziwego pana Jana Gadzińskiego, któremu rok rocznie nieba zsylały bliźniaków, a czasami nawet i trojaczki, lecz niebożęta owe w niczem do zwiększenia praktyki obrończej swemu rodzicowi przyczynić się nie chciały; takiego p. Kajetana Wołowskiego, specjalistę od wykrywania wadliwości kontestacyi pozwów; takich suchych i kościstych patronów: Grzyskiego i Chojnowskiego; takiego pana Seweryna Kozarzewskiego, który do spółki z pocziwym panem Izydorem Karśnickim tworzył nierozdzielna dwójkę, pomagającą sobie we wszystkich trudnościach zawodu i słuchającą się wzajemnie z uwagą, tak, że gdy jednemu pamięć nie dopisywała, drugi, stojąc przy kratce, kończył rozpoczęte przez swego

alter ego zdanie; takiego Juliana Czajkowskiego, który między patronami niższej kondygnacyi stanowił powagę i dosługiwał się pracowitemi obronami wyższego w hierarchii obrończej stopnia; takiego zdolnego patrona Aleksandra Niemirowskiego (brata znanego pisarza, Adama Niemirowskiego), którego, zbyt wczesna śmierć, od piastowanego z korzyścią dla ogółu, zawodu odwołała... Moznaby jeszcze wspomnieć tu patrona Kaźmirza Kalinkę, brata rodzzonego zasłużonego autora „*Sejmu czteroletniego*“, również zbyt wcześnie, ze szkoda dla palestry, w szpitalu zaprzepaszczonego; energicznego, a wymownego Władysława Chęcińskiego, a nadewszystko znakomitego mówcę i prawnika— Witolda Moszyńskiego... O wszystkich tych osobistościach wieleby się jeszcze powiedzieć dało; zwiększyłoby to jednak rozmiary pamiętnika, bez interesu dla obecnego pokolenia, które o mniej głośnych nazwiskach słyszeć nie miało ani sposobności, ani też może i potrzeby.

XXVII.

Siły i środki palestry młodej. — Początek końca.

Pojawienie się grona młodszych obrońców z kategorii magistrów prawa i administracyi, których w roku 1868, na jednej sesyi b. komisyi sprawiedliwości kilkunastu naraz zamianowano, zaniepokoiło nieco szeregi starej trybunalskiej palestry.

Zasilili szeregi palestry obrończej warszawskiej: Mellerowicz Wincenty, Bardzki Artur (zdolny i zręczny szermierz kratkowy), Szrajer Wiktor, Walewski Juliusz (zbieracz jurysprudencyi), Woźnicki Zbigniew, Helbich Józef, Rosso Karol (†), Marczewski Ludwik, Szwarценberg Józef, Stabrowski Józef (†), Małkowski Władysław (obrońca zdolny i wymowny), Kraushar Alexander, Piotrowski Kajetan, Kirsztot Józef (znany ekonomista), Rodzyn Szymon, Hoffman Henryk (czasowo wykładał historią prawod. słowiańskich w byłej Szkole Głównej), Kamiński Stanisław, Ostrowski Wiktor (b. wydawca *Kłosów*), Jaworski Józef (†), Hryniewiecki Julian, Gostomski Karol (późniejszy re-

gent), Strasburger Roman (†), Krysiński Leon (zdolność niepospolita, jako prawnik i mówca), Wejchert Edmund (†), Markusfeld Artur, Kossecki Edward, Anc Dominik (dowcipny i wymowny), Dębski Feliks, Lewandowski Józef (profesor b. Szkoły Głównej) (†), Rościszewski Teodor (†), Naimski Józef, Makowski Stanisław (John Bull), Gepner Stanisław (†), Groer Wincenty, Koszarski Przemysław, Grodziński Edward, Skupiewski Józef, Wrotnowski Lucyan (znany obrońca i publicysta), Sorgenstein Saul, Grabowski Leon (prawnik subtelny), Żurkowski Gustaw (†), Preiss Alfons, Zieliński Franciszek, Zalewski Kaźmirz (przeniewierzył się Temidzie i przystał do Melpomeny), Marks Emil (zdolny mówca), Kurmanowicz Piotr, Bruner Henryk, Newelski Ignacy, Tyszka Julian, Szrzednicki Ścisław, Walewski Teodor, Kozanecki Bronisław, Kirsztrot Jakób, Tatarkiewicz Ksawery (jeden z założycieli Biblioteki umiejętności prawnych), Englisz Fulgenty, Łukomski Józef, Poznański Maksymilian, Wilman Julian, Bojasiński Lucyan, Kronenberg Wiktor (b. podprokurator, obecnie sędzia), Rotwand Leon, Jurzyński Władysław, Próchnik Stanisław, Powichrowski Włodzimierz, Skokowski Wiktor, Przyrembel Bronisław (b. redaktor *Opiekuna domowego*), Goldszmit Józef, Bielicki Wincenty, Mejer Kaźmirz, Sonenberg Szymon, Pinowski Feliks, Smoleński Ksawery, Roszkowski Gustaw (prof. uniw. lwowsk.), Osuchowski Antoni, Jan Maurycy Kamiński (znany publicysta i obrońca), Schönman Julian, Szaniawski Artur, A. J. Kohn (literat), Rytel Władysław, Goldman Emil (†), Elzenberg Henryk, Kwiatkowski Jó-

zef, Meyét Leopold (nowelista), Rauszer Julian, Portner Apolinary, Skurzyński Jan, Plebiński Edmund (prawnik-literat), Bensef Juliusz (prawnik-literat), Ochimowski Feliks, Więckowski Romuald, Szlązkowski Józef, Wierzbicki Stanisław, Pepłowski Adolf (pierwszorzędny mówca), Bem Juliusz (literat), Klochowicz Jan, Mirosławski Zygmunt, Gulski Jan, Czarnowski Stanisław (literat), Sunderland Seweryn, Leśkiewicz Olimp, Jasiński Kaźmirz (literat), Suligowski Adolf (inicyator zebrań prawniczych), Szumański Wiktor i Rydzewski Julian. Do grona senackich obrońców zaliczono: zdolnego prawoznawcę — Kaźmirza Paszkowicza, Aleksandra Jałowieckiego, Juliana Niemiryca (publicystę), Eberta Kaźmirza(†). Urzędy podprokuratorów objęli również ludzie młodzi: Lesznowski Stanisław (obecny redaktor *Gazety Warszawskiej*), Józef Brzeziński, Henryk Turowski, Michał Szymanowski, z kategorii świeżych magistrów prawa i administracyi. Nowy element wniósł do korporacyi trybunalskiej świeże siły, chęć odznaczenia się krasomówstwem i nauką, na świeżo odbytych studyach opartą. Praktyczne stosowanie formalności proceduralnych i obycie się ze wszelkimi tak zwanemi kruczkami prawnemi, stanowiło wprawdzie wyższość palestrantów dawnego autoramentu, natomiast, to wszystko, co suchą literę prawa przyobleka jakąś aureolą umiejętności wyższej, było im obcem, dostępnem wszelako tej falandze młodych, która z ław uniwersyteckich wyniosła pewne idealniejsze porywy i odczytanie się w źródłach i wyjaśnieniach prawa.

Początkowo owe wycieczki w sfery filozoficznych pojęć o prawie i historii prawa budziły nśmiejch politowania na ustach starych rębaczy, przyzwyczajonych do traktowania stosunków życia ze stanowiska tak zwanego chłopskiego rozumu... Powoli jednak owe dasy starego pokolenia zaczęły się uśmierzać, gdy się przekonano, że i publiczność, i sąd nie odmawiają zaufania siłom młodym, stawiającym pierwsze kroki w zawodzie trudnym, lecz pięknym i pożytecznym dla ogółu.

XXVIII.

Kurulne krzesła. — Trybunał. — Sąd apelacyjny. — Senat.

Po przejściu do sądu apelacyjnego, zasłużonego prezesa trybunału, Tytusa Polczyckiego, godność zwierzchnika tej instytucji piastował za czasów moich — prezes Michał Rogoziński, który, początkowo, jako dygnitarz w wyższych dekasteryach administracyjnych i współredaktor cennego *„Zbioru praw administracyjnych Królestwa,”* przeszedł następnie na linię sądową, i pożyteczną działalność swoją w najwyższej magistraturze sądowej do dziś dnia rozwija. Za prezydencji Rogozińskiego dopuszczono młodszych adeptów palestry do sekretaryatu trybunału w charakterze referentów podań i spraw pod osądzenie prezesa przychodzących, gdzie też mieli sposobność praktycznego obeznawania się z kółkami, nadającymi bieg całej machinie sądowej. Jako urzędnik baczny i skrupulatny, wprowadził prezes Rogoziński wiele ulepszeń, które się nawet i w zewnętrznej formie odzieży palestrantów korzystnie odbiły. Miejsce dawnych surdutów, a nieraz i kurtek,

zajęły obowiązkowe fraki, do których niezapomniany „Pan Marcel” jakoś przywyknąć nie mógł, o co był często nawet strofowany. Oprócz tego i ciało obrończe, staraniem gorliwych gospodarzy: Bardzkiego i Marczewskiego, zyskało dla siebie jaki taki kącik, gdzie się mogło zbierać i porządkować swoje akta sądowe. Jako człowiek uprzejmy, łączący ze stanowczością i rygorem urzędniczym, wielki takt w postępowaniu z sędziami, obrońcami i publicznością, zjednał sobie prezes Rogoziński uznanie władzy i zaszczytne w kole sędowników wspomnienie.

Cichym a pracowitym współpracownikiem prezesa na niższym szczeblu trybunałskiej hierarchii był pan Ludwik Grabiński, konserwator wszelkich papierów w sprawach bieżących.

Pisarzem trybunału w owym czasie był Antoni Zgórski, prawnik doświadczony, pióro świetne, krótkie, dobitne a stanowcze. Obok niego, w równej powadze i zdolności stał p. Julian Świerczewski, człowiek arcy-dowcipny, wygłaszający bez uśmiechu trafne uwagi nad sprawą, podczas toku obrończych rozpraw.

Mniej uzdolniony, cichy i spokojny p. Franciszek Betley, godzien wspomnienia choćby z powodu motywów wyroku, które, ze sprawy krótkiej — librowe tworzyły zeszyty. Ostrożność i dokładność posuwał p. Franciszek do tego stopnia, że zamieszczał w motywach nawet godzinę kontestacji pozwu „domownikowi pozwanego, pod niebytność samego”. Nie była czasami bez powodu taka ostrożność cytacji, gdyż za czasów moich zdarzyło się, że woźny

niedoświadczony, chcąc misją swoją spełnić należycie, zanotował w pozwie, że wezwanie doreczył „pozwanemu, na marach leżącemu, do rąk własnych, osobiście...” Zdarzyło się również, że gdy akta obrończe pewnemu patronowi zaginęły, odbudował on z motywów Betleya cały szkielet sprawy.

Godzien wspomnienia również, zacny następca Zgórskiego, pisarz, Roman Linowski i p. Konstanty Łącki.

Prokuratorem, w czasach, o których tu mowa, był bardzo sumienny urzędnik p. Leonard Janczewski, lecz z uwagi na rodzaj jego urzędowania, obrońcy trybunału mało mieli z nim zetknięcia.

W kompletach sądzących, na krzesłach kurulnych, zasiadali zazwyczaj mężowie sędziwi, w charakterze prezydujących, lecz częstsze w latach 1870—1876 wakanse tej godności, powołały i żywiol młodszy do kurulnych krzeseł; starsi zaś przenieśli się do instancyj wyższych.

W wydziale I prezydował energiczny starszek — Rożnowski, ex-wojskowy. Znać było z jego miny i zachowania się, że był przyzwyczajony do subordynacyi i żołnierskiej sprężytości. Rzadko zasiadał na krześle, lecz oparty obiema rękoma o jego krawędź, wpatrywał się bacznie w przemawiającego przed kratką obrońcę, a gdy coś uszło jego uwagi, lub niedość jasno było wyłuszczone, przerywał obronę słowami: „*Permettez ! permettez !*” Słówko to pozostało jego przydomkiem.

Innym typem ex-wojskowego był zacny starszek — Wiktoryn Dobrski. Nizkiego wzrostu, przy-

garbiony, siedział podczas rozpraw obrończych spokojnie, i w skupieniu ducha ogryzał z przyzwyczajenia paznogie. Czasami tylko sięgał po dzwonek i cichym głosem zadawał obrońcom pytania. Była to postać typowa purysty językowego i romantyka. Pan Wiktoryn pisywał wierszyki i zaufańszym kolegom odczytywał je w b. cukierni na rogu ulicy Czystej i Wierzbowej, gdzie zwykle przesiadywał w godzinach wieczornych i pilnie wszystkie gazety przeglądał. Pozostawił po sobie testament z hojnym zapisem na rzecz nowożeńców z rzemieślniczej sfery. Co się z jego rękopisami stało? niewiadomo.

W wydziale drugim prezydował sędzia Edmund Jałowicki, arcy-żywego temperamentu, często roztargniony, lecz doświadczony jurysta. W powstałym wydziale czwartym, krzesło prezydyalne nie miało za czasów moich stałego przewodniczącego. Najczęściej zasiadał na niem sędzia Konstanty Gruszecki rozważny, baczny i bardzo drobiazgowy prawnik, poprzednio zaś zajmował je ś. p. Aleksy Brzeziński, o charakterystycznej, ozdobionej sumiastym wąsem, twarzy.

Bardzo sympatyczne po sobie zostawili wspomnienie członkowie trybunału: Józef Wosiński i Aleksander Gudowski. Zajęli oni po wprowadzeniu reformy wysokie w nowych sądach urzędy, lecz śmierć nieubłagana w kwiecie wieku przecięła pasmo żywota obu tych pożytecznych pracowników. — Towarzysz ich i kolega, p. Józef Karnicki, dotąd jeszcze piastuje w hierarchii sądowej ważne stanowisko.

Do zdolniejszych członków trybunału, z któ-

rych wielu przeszło następnie do nowych sądów, zaliczano: prezesa Kajetana Mijakowskiego, bardzo doświadczonego i wytrawnego sędziego; Franciszka Garwolińskiego, późniejszego członka notaryatu; Adama Bonieckiego, heraldyka; zacnego Kornela Wołowskiego, obdarzonego niezaprzeczonym talentem rymotwórczym; p. Tomasza Malinowskiego, biegłego hypotekaryusza; Restorfa Aleksandra, późniejszego prezydującego w nowych sądach; Ludwika Szpotańskiego, powołanego z wyborów do przewodniczenia w trybunale handlowym; głębokiego znawcę prawa, Adama Umienieckiego, również późniejszego prezesa trybunału handlowego; Emeryka Kozerskiego i Glewińskiego, znawców hypotecznych arkanów. Obok nich, z równym dla wymiaru sprawiedliwości pożytkiem, działali sędziowie: Jan Zawadzki, Felicjan Lewandowski, Adolf Kłodziński, Józef Sadkowski, Eustachy Czarnowski, Teofil Zieliński, Karol Maciejowski, Henryk Wilczkowski, Józef Stachurski, Aleksander Grochowski i Bagniewski. Wielu z pomiędzy nich przeszło następnie w zasłużony stan spoczynku; inni, dotychczas jeszcze w gałęzi sądowniczej pożytecznie pracują.

Lista powyższa, prawdopodobnie niezupełna, z powodu opornej dziś już pamięci, nie zamyka szeregu nazwisk zasłużonych i uczonych prawników, którzy za czasów moich w wyższych zasiadali instancjach. Możnaby o każdym z owych prawników z osobna, wyczerpującą podać charakterystykę. Postaci takie, jak między innymi: Wieczorkowskiego, Polczyckiego, Tyszki, Jeziorańskiego, Kosmowskiego, Szabrańskiego, Sztummera, Skrzetuskiego, Wałęckiego,

Dąbrowskiego, Józefa Brzezińskiego, Żyzniewskiego, Domaszewskiego, Łokcikowskiego, Łazowskiego, Karpińskiego, Zalewskiego, Gutmana, Ateńskiego — z instancyi apelacyjnej; wreszcie, senatorów: Karnickiego i Gudowskiego, i członków b. senatu i prokuratury: Bilewskiego, Grabowskiego, Polaskiego, Hubego, Mączewskiego, Imbry, Zaborowskiego, Kozickiego, Nowakowskiego, Chobrzyńskiego, Muszyńskiego, Machczyńskiego, Jabłońskiego, Bartoszewicza, Białosukni, Budzińskiego, Dramińskiego, Fajlerta, Lutostańskiego, Pawłowskiego, Chwaliboga, Sobierańskiego, Hermanowicza i Prokopowicza, zajęły w dziejach sądownictwa krajowego w czasach nowszych poważne stanowisko, i nie nadają się do pobieżnego pamiętnika, obejmującego zaledwie lat kilka istnienia trybunału, z przed epoki reformy sądowej.

PRZYGODY
FRANCUZA PAYEN'A
W PODRÓŻY Z GDAŃSKA DO KRAKOWA.

(1660 r.).

Wydany w powtórnej edycyi w r. 1667, w Paryżu, u Loyson'a, opis podróży pana Payen'a, namiestnika królewskiego z Meaux, po rozmaitych krajach Europy, a między innemi i po dawnej Polsce, z epoki Jana Kaźmirza, należy do istotnych rzadkości bibliograficznych. Wzmiankuje wprawdzie o tej książce pod rokiem 1667 Estreicher (VIII, 332); napomyka o niej Załuski w swej wierszowanej „*Bibliotece*“ (str. 83), ale nie była widocznie relacya podróżnicza Payen'a znaną z treści naszym szperaczom, skoro niepospolitym swym humorem i charakterystycznym opisem przygód, doznanych przez autora w Gdańsku i pod Małogoszczem, opisem, zakrawającym niemal na satyrę rozmyślną obyczajów ówczesnych, nie zwróciła na siebie powszechniejszej uwagi nie tylko naszych, lecz i zagranicznych bibliomanów.

Zaznaczyliśmy na wstępie rok 1660, jako datę pobytu Payen'a w Polsce. Być może, iż data owa nie jest dokładną, gdyż nie ustala jej autor w swej relacyi. W każdym razie, nie może być ona późniejszą od roku 1663, gdyż dopiero w dniu 4 lutego

1663 r. król Ludwik XIV wydał autorowi przywilej na druk pierwszego wydania książki, noszącej w oryginale tytuł: „*Les voyages de Monsieur Payen, lieutenant général de Meaux.*“

Z powodu rzadkości książki Payen'a, należącej do kategorii białych bibliotecznych kruków, nie tylko u nas, lecz i we Francyi, nie podobna o jej autorze podać bliższych biograficznych szczegółów. Wiadomo tylko, że był namiestnikiem królewskim w Meaux, że podróżował po Europie, prawdopodobnie w jakimś poselstwie dyplomatycznym, a potroszę, jako turysta, żądny wrażeń i chęci poznania zwyczajów i obyczajów rozmaitych oświećszych narodów europejskich; że był zestosunkowany z jednym z najwybitniejszych dostojników owoczesnej Francyi, Monseigneur'e'm de Lionne, markizem de Berny, ministrem sekretarzem stanu j. kr. mości Ludwika XIV, i że w czasie owej podróży towarzyszyła mu łaska i opieka potężnego protektora, któremu też w hołdzie najgłębszego uznania książkę swoją poświęcił.

Jeżeli jednak szczegóły biograficzne tak skąpe nie są w stanie określić dokładnie charakterystyki cudzoziemca, to, z drugiej strony, fizyognomia jego moralna dosyć przejrzysto uwydatnia się w treści dzieła i pozwala czytelnikowi odgadnąć w panu Payen'ie nieodrodny typ Francuza z epoki Ludwika XIV, nacechowany powabem świetnego humoru i swobody obyczajów, przeciętny typ Francuza szukającego wszędzie i zawsze sposobności do zabaw, do wrażeń wesołych i charakterystycznych, nie prze-

bierającego w środkach, byleby tylko zadowolić kwintny gust żołądka i podniebienia...

Pierwsze kroki naszego turysty w każdym zwiedzanym kraju kierują się przedewszystkiem w stronę zakładów gastronomicznych, gdzie można dobrze zjeść, wypić i *faire la debauche*...

Przerwy jedynie między festynami tego rodzaju wypełniają wcale rozumne spostrzeżenia i uwagi nad naturą kraju, okolicy i mieszkańców zwiedzanych miast. Nic też dziwnego, że widnokrąg umysłowy, polityczny i pisarski naszego podróżnika jest zabarwiony atmosferą tych wrażeń, które najsilniej na psychiczną jego stronę działały.

Przejrzymy się tedy karykaturalnemu nieco obrazkowi, jaki o wrzekomych obyczajach mieszkańców Polski z epoki Jana Kaźmirza naszkicował turysta, współczesny naszemu jmcu panu Chryzostomowi Paskowi, pan namiestnik królewski z Meaux...

I.

Napływ Francuzów do Polski. — Odgłosy pamiętników Paska. — Marszruta pana Payen'a. — Wyjazd ze Szwecyi. — Burza morska. — Niespodziewany ratunek. — W porcie. — Do Gdańska.

Pokój wieczysty zawarty w maju 1660 roku w Oliwie, położył koniec nieszczęśliwemu najazdowi Szwedów na Polskę, lecz jednocześnie wzmocnił i ugruntował wpływ Francyi na sprawy północy i sprowadził do Polski liczny zastęp przybłędów, którym się uśmiechały widoki karyery, na wypadek urzeczywistnienia planów stronnictwa królowej Maryi Ludwiki — wyniesienia na tron Rzeczypospolitej księcia d'Enghien, syna Kondeusza.

Odgłosem owego nadmiernego napływu Francuzów do kraju są słowa pamiętników Paska, wygłoszone z właściwą zacnemu panu Chryzostomowi rubaszością: „Francuzów w Warszawie więcej, aniżeli owych, co Cerberowe rozdymają ognie: pieniądze sypią, praktyki czynią, a najbardziej nocne; wolność im w Warszawie wielka, powagę mają wielką;

tryumfy publiczne sprawują z otrzymanych zwycięstw, choć nie za prawdziwe, lecz za zmyślane.“

Zachciało się istotnie wówczas Francuzom na publicznem theatrum w Warszawie przedstawić scenę, w której cesarz Leopold Ludwikowi XIV koronę swoją własną oddaje w oznakę hołdu. W gronie widzów znajdował się i nasz Pasek, i w jego to obecności, któryś z braci szlachty, chcąc okazać despekt swój figurantowi, cesarza udającemu i tak jak on „wargę wywracającemu,“ jał domagać się, „aby go zabito,“ bo w przeciwnym razie nie będzie już miał świat pokoju. „Porwie się do łuku — pisze Pasek — a nałożywszy strzałę, jak utnie pana cesarza w bok, to aż drugim bokiem żelezce wyszło, i zabił. Drudzy Polacy do łuków, kiedy wezmą szyc w ową kupę: naszpilkowano Francuzów dużo, a nawet i tego, co siedział w osobie króla, postrzelono naostatek w głowę, aż z majestatu spadł pod teatr i z innymi Francuzami uciekł...“

Udało się Paskowi zręcznym fortem wywikłać się z owej srogiej awantury, lecz nie wstrzymało go to od zamieszczenia w pamiętniku uwagi, „że się tak dwór rozmiłował w tym narodzie, że już nawet ministrowie podrygali na śpiew koguta; sama tylko wolność polska nie miała w tem upodobania i wszystkim tem pogardzała.“

Ciągnęły tedy zastępy Francuzów przez Gdańsk do Warszawy i z Warszawy do Krakowa, i dla nich to nasz podróżnik zakreslił marszrute, poradziwszy z Gdańska kolaską za 22 liwrów kierować się przez Grudziąż, Chełmno, Toruń, na Warszawę, wypoczy-

wać w Mazowszu pod gołym niebem (*a l'etoile*), a ztąd znowu kolaską przez Tarczyn, Nowe Miasto, Radoszyce, Małogoszcz, Słomniki ruszać do Krakowa i tam popasać w karczmie (*au Bacchus*) za 30 soldów.

Zabawiwszy pięć miesięcy w Szwecyi, wsiadł nasz podróżnik w Stockholmie na płynący do Gdańska okręt holenderski, który obładowany miedzią i zbożem napowrót do Hollandyi miał się udać.

Podniesiono kotwicę i przy dosyć pomyślnym wietrze ominięto szczęśliwie rafy okalające Stockholm, a następnego dnia okręt był już niedaleko Kalmaru. Nadzieja dostania się do Gdańska nazajutrz okazała się zawodną, gdyż niebawem ujrzeli się podróżni w niebezpieczeństwie rozbicia okrętu. Niebo okryło się czarnymi chmurami, a wzburzone, rozszałałe fale groziły co chwila pochłonięciem statku. Przeczucie niechybnej śmierci, bezład i osłupienie odjęły majtkom wszelką ochotę i nadzieję ratunku. Jeden trzymał się masztu oburącz, drugi nie miał ani siły, ani woli do trzymania żagli; wszyscy zaś z osłupieniem przypatrywali się szalonym podskokom fal. Krok jeden rozdzielał już osadę okrętową od zguby. Morze rozwierało się, by pociągnąć statek do otchłani, to znów z niewypowiedzianą szybkością podrzucało go pod obłoki. Biedny okręt chłonał wodę wszelkiemi porami, utracił już jeden maszt, rozbił ładunek i z podartemi żaglami i rozerwanemi sznurami puścił się na wolę wiatrów.

W tak nieszczęśliwem położeniu ufność podróżnych polegała już tylko na kapitanie okrętu i na rudlu, lecz i tę nadzieję mieli już utracić na za-

wsze, gdyby nie odwaga majtków, którzy w ostatniej chwili tak groźnego niebezpieczeństwa zdobyli się na rozpaczny krok i wskoczyli w morze dla ratowania tonącego kapitana, co też im się szczęśliwie powiodło.

Fortuna uśmiechała się podróżnym na nowo. Wichry i fale uśmierzyły się nieco; firmament wypogodził się i wlał w zbolące serca otuchę, która zdwoiła siłę rąk żeglarzy, pozwoliła im uzupełnić szczyrby okrętu i dobić szczęśliwie do Kalmaru. „Możecie sobie łatwo wyobrazić radość naszą — pisze Payen — gdyśmy się znowu poczuli na lądzie stałym. Holendrzy pozostali w porcie jeszcze dni kilka; ci zaś, którym się śpieszyło, skorzystali z fregaty szwedzkiej, która miała nazajutrz popłynąć do Kołobrzegu, i zabrawszy się na pokład, w mojem towarzystwie, w ciągu dwudziestu czterech godzin dostali się na Pomorze, a ztąd pocztową kareta do Gdańska“.

II.

Gdańsk. — Ruch handlowy. — Arsenał. — Kościoły. — Ludność. — Kobiety. — W piwnicy gdańskiej. — Szlachcic z orszakiem. — Nowa znajomość. — Fajki i fatalne ich następstwa. — Dziwaczne sztuki.

„Gdańsk jest pierwszym miastem pruskim, usadowionem nad Wisłą, na pobrzeżach Bałtyku, i tworzącem niejako państwo odrębne, republikę, pod protektoratem królów polskich. Celuje ono nad innemi miastami nie tylko Polski, ale i Niemiec, okazałością swoją, bogactwem i ufortyfikowaniem, tworząc niejako emporyum Pomorza.

„Zboże przybywa tutaj Wisłą i ztąd rozchodzi się po całej Europie.

„Przystań jego, bardzo korzystnie urządzona, jest broniona przez cztery fortece, zdolne do stawienia oporu najsilniejszym statkom armii morskiej.

„Arsenał Gdańska otoczony jest armatami, prochem, kulami i inną bronią zaczepną i odporną.

„Kościół Matki Boskiej tworzy rozległą nawę, w której okazują chleb skamieniały, rękę, która wyrzuciła się z grobu lat ośm temu, i obraz przed-

stawiający sąd ostateczny, uchodzący zdaniem znawców za arcydzieło, za które cesarz Rudolf chciał zapłacić czterdzieści tysięcy talarów.

„Luteranie stanowią tu większość, za nimi idą katolicy, a reformowani zajmują trzecie z rzędu miejsce; po nich następują anabaptyści, mający tutaj swoje zbory i wolność wyznania.

„Bursztyn znajduje się tu w obfitości nad brzegiem morza.

„Kobiety nie odznaczają się w Gdańsku pięknnością skończoną, lecz są bardzo układne, ładnie się stroją i w ogóle są dosyć przystępne. Mówią po polsku i po niemiecku.

„Ponieważ mowa o kobietach — pisze Payen — muszę tu opowiedzieć zabawną propozycją małżeństwa, jaką mi w tem mieście uczyniono...

„Pewnego dnia zaszedłem z pewnym szlachcicem niemieckim, dobrym moim przyjacielem, na birbantkę, do jednej z piwnic, gdzie sprzedają wino hiszpańskie.

„Podpiwszy sobie uczciwie, aż do zamroczenia myśli, mieliśmy już opuścić piwnicę, gdy nagle ujrzeliśmy wchodzącego człowieka, wzrostu około sześć stóp wysokości mieć mogącego, z wygoloną czupryną i brodą. Twarz miał pokiereszowaną, a czoło tak pomarszczone, że z pod zmarszczek oczu się nie widziało. Był to szlachcic polski, otoczony piętnastu pacholkami.

„Zażądał on jadła dla siebie i dla swego otoczenia.

„Zaledwie nas ujrzał, przystąpił wnet do na-

szego stołu z ofiarowaniem swej przyjaźni i spytał, czy długo już siedzimy u stołu?

„Mój towarzysz rozumiał nieco po polsku, lecz nie w takim stopniu, by mógł mu w tym języku odpowiedzieć. Szlachcic nasz bowiem mówił „z mazurska“ (*parloit Mazovien*), co stanowi odrębne narecze w Polsce...

„Należało zatem uciec się do pomocy języka łacińskiego, i w tym języku odpowiedzieliśmy szlachcicowi, że siedzimy już około trzech godzin przy butelce.

„Ucieszył się tem niezmiernie nasz szlachcic, a uściskawszy nas, zapewnił, że jesteśmy bardzo zacnymi ludźmi, że dla nas żywi niezmierny szacunek, że zresztą od dni piętnastu szuka po mieście tak zacnych kompanów, aby się przekonać, czy birbantka (*la debauche*) nie będzie dla niego zdrowszą od abstynencyi i że to istotne nadużycie doktorów, jeżeli nakazują ludziom umierać z postu i wstrzeźliwości...

„Towarzysz mój, który niczego innego nie pożądał tylko siedzieć przy stole, odpowiedział nader uprzejmie na ową oracyą szlachcica i uprosił mnie, abym dotrzymał kompanii.

„Podano nam jadła i napoju, i nie robiąc żadnych ceremonii, zasiedliśmy na nowo i rozpoczęliśmy pijatykę (*nous n'y a'llions que d'une dent*).

„Nasz szlachcic dotrzymywał nam dzielnie placu... Obdarzony był ustami odpowiadającemi w zupełności jego tuszy. Nie przesadzę, jeśli powiem, że sięgały one od ucha do ucha, a przytem uzbrojone

były dwoma rzędami zębów, wartującemi tyle, ile kły dzika (*que le defense d'un marcassin*).

„Wychyliwszy około piętnastu dużych kielichów, towarzysz mój, który nie mógł już podolać dalszym libacyom, zażądał podania fajek i tytoniu. Nie była to, zdaniem mojem, zła myśl, gdyż tytuń podnieca pragnienie i dzielnie podtrzymuje rozmowę.

„Nie umiałbym powiedzieć, czy nasz Polak pragnął również niejakiego wypoczynku i czyli sądził, że dym tytoniu wyprze parowanie wina, które już mózgiem jego opanowało, lecz zaledwie ujrzał ogień fajki, zażądał i dla siebie paliwa.

„Towarzysz mój podał mu tedy fajkę. Ów biedak, który nigdy nie palił, a tytoniu używał jedynie w postaci tabaki, nie zapytawszy się nawet, jak się należy obchodzić z fajką, porwał w swoje ręce rozpaloną stambułkę i wsadził w gardło rurkę przewodnią, a wciągnawszy w siebie brzuch, pił zapalczywie dym tytoniu, starając się, by nic zeń nie uciekło. Czyniąc to, twierdził, że dym pić należy, a pykać nim i puszczać w powietrze...

„Cztery razy rozpoczynał taką zabawę, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu i w tem przekonaniu, że tytuń, nie mając zwyczaju schodzić tak nisko, prawdopodobnie starać się będzie znaleźć sobie ujście na zewnątrz...

„Szlachcie nasz niebawem mógł się o tem przekonać z lekkiego wzruszenia, jakie nim opanowało, lecz będąc nadzwyczajnej tuszy i siły, nie sądził, aby zwykły dymek, mógł się z nim obejść tak nie-należycie.

„Niebawem jednak twarz szlachcica zaczęła przybierać niezwykły wyraz. Jak opętany, porwał się nagle z miejsca i krzycząc w niebogłosy i wijąc się, chwycił za lichtarze ze świecami, uderzył głową w ścianę i padł na wznak na podłogę. Jeden z pacholków przybiegł do niego z pomocą, lecz miał się z pyszna, gdyż porwany za kołnierz, otrzymał od swego pana niezliczoną liczbę szturchańców...

„Tymczasem gwałtowne ruchy rozbijania ściany głową, okręcanie pacholka, ryki szalone, bieganina, uśmierzyły nieco gwałtowność działania tytoniu. Po kilku lekkich ewakuacjach, szlachcic nasz stał się nieco spokojniejszym, i mieliśmy prawo sądzić, że się ta awantura na tem skończy...

III.

Uspokojenie. — Nowe libacje. — Wesołość wzmagą się. — Propozycja małżeństwa. — Toasta partykularne i generalne. — Od pijatyki do polityki. — Przebranie. — Polonus esto! — Pasowanie na rycerza.

Muszę przyznać, że nikt jeszcze nie znajdował się w takim, jak ja podówczas, zakłopotaniu. Nie spodziewałem się zupełnie, aby mnie miano przytrzymać dłużej i sądziłem, że przyjdzie mi tylko zapłacić część hulanki. I towarzysz mój, Niemiec, nie okazywał zbytniej radości, a choć nas było dwóch na jednego, nie chcieliśmy, aby przyszło do utarczki ręcznej. To też staraliśmy się, ile można, uspokajać szlachcica zapewnieniem, że przypadłości, jakich doznał, były jedynie następstwem zwykłym tytoniu, jeśli się go nadmiernie używa...

Lecz jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy usłyszeli żarciki szlachcica z naszego strachu i zapewnienie jego, że należy użyć sił większych nad wino i tytuń, aby zwyciężyć Polaka. Chcąc nas o tem przekonać, krzyknął, aby przyniesiono nową porcję wina, piwa i wódki, i wezwał nas do biesiady. Mój

towarzysz i ja, którego przeszłość uczyniła roztro-
pniejszym nieco, staraliśmy się ugłaskać nieco na-
szego szlachcica i zręcznym obrotem nieznacznie
zbliżyć się do drzwi.

Podstęp ten jednak nie udał się nam, gdyż nasz
szlachcic, wzięwszy nasze gładkie słówka za dobrą
monetę i uwierzywszy temu, że istotnie jest naj-
grzeczniejszym i światowym człowiekiem, pragnął
okazać tem szczerzą wdzięczność. Rzucił się też
na mnie a objawszy za szyję, jakby mnie chciał
udusić, ucałował kilkadziesiąt razy i jał przysięgać,
że musi za przyjaźń naszą odplacić się sowicie. Ja-
koż oświadczył, wśród całusów, że zostanie jego zię-
ciem, że ma dwie córki, z których jedną daje mi
do wyboru, razem z dziesięcioma tysiącami dukatów
posagu i dwustu chłopami.

Możecie sobie wyobrazić z jaką miną przyją-
łem tę propozycją i ile byłem wdzięcznym za ów
zaszczyt! Przyzwoliłem tedy pozornie na owe mał-
żeństwo a nie chcąc sciągnąć na swoje barki gniewu
szlachcica, przyrzekłem spełnić wszystko, czego by
tylko w tej mierze zażądał.

Przyniesiono tedy wina i dla uczczenia mojego
małżeństwa należało rozpocząć pijatykę na nowo.

Towarzysz mój służył za świadka, stwierdziwszy
nowemi haustami ów niespodziewany związek.

Teść, ze swej strony, nie chciał się okazać
mniej rozradowanym. Jakoż szklanką po szklance pi-
liśmy na zabój, bez przerwy...

Od związku tego pojedynczego przeszliśmy

nieznacznie do aliansu między koroną francuzką a polską.

Jakkolwiek ów alians był już dosyć dawnej daty, nie sądziliśmy, aby mógł trwać dłużej, o ilebyśmy nie pokrzepili go naszą pijatyką, a wśród owych nieustannych toastów, mogliśmy sądzić o potędze armij sprzymierzonych i inklinacyi wzajemnej do jej utrwalenia — z ilości wypróżnionych kielichów wina...

Nareszcie uświęciwszy, co się zowie, związek nasz hucznemi toastami, wstaliśmy od stołu. Szlachcie nasz oświadczył, że ma dosyć. Uznałem to oświadczenie za bardzo rozumne, gdyż okrutnie byłem zmęczony, gdy nagle ujrzałem mego szlachcica kładącego się wzdłuż na podłodze. Sądziłem zrazu, że dostał ataku wielkiej choroby, lecz jakież było zdziwienie moje, gdym usłyszał wołanie leżącego, aby mu przyniesiono wina, gdyż pragnie wypić na zagładę Turków i ruinę Cesarstwa Ottomańskiego...

Nigdy jeszcze o podobnym toaście nie słyszał i nie sądziłem, aby można było winem uczcić podobne zaklęcie.

Wkrótce jednak mogłem się przekonać o tej możliwości, gdyż należało mi uczynić toż samo.

Obawiałem się tylko, aby podczas owej ceremonii, gość nasz, widząc nas w tak dziwnej pozycyi, nie wziął nas za Turków i nie obszedł się z nami po nieprzyjacielsku.

Po wszystkich tych wybrykach, towarzysz mój, Niemiec, po wielu prośbach otrzymał pozwolenie opuszczenia piwnicy, a ja zostałem sam ze szlachci-

cem, nie chcącym mnie puścić na wolność. Wszelkie moje usiłowania w tym kierunku były płonnemi, co więcej, aby mnie silniej jeszcze zobowiązać, szlachcic nasz jał mi przypominać, że jestem jego zięciem, i że w tym charakterze nie wypada, abym gdzie indziej zamieszkał, i że jak tylko zaświta, siądziemy w kolaskę i pojedziemy razem. By mnie w tem upewnić, oświadczył, że przecie jestem już Polakiem i że należy mi się stosownie przebrać...

Jakoż istotnie zabrał się do przystrojenia mnie w swoją czapkę, a następnie przysłała mu fantazyja ubrać mnie od stóp do głów we własne szaty. Zdjął tedy żupan szkarłatny ze srebrnemi agrafami, obłożony futerkiem i wdział mi go na wierzch mojego ubrania. Obuł mnie nawet w swoje buty, a wyjąwszy szablę z pochwy i dawszy mi do pocałowania jej rękojeść, upewnił, że szabla ta jest zaszczytem jego ojczyzny, że nieraz już stawiała w obronie tronu i że zadała wiele klęsk potędze Turków. Po tej oracyi przypasał mi szablę do boku.

Otóż (dzięki pijatyce) jestem uzbrojony należycie i niech drżą przedemną wszyscy Turcy!

IV.

Figle Morfeusza. — Ucieczka Francuza. — Zniknięcie kontusza i szabli. — Restytucya rycerska. — Dalsza podróż. — Toruń. — Warszawa. — Do Krakowa. — Pod Małogoszczem. — Zaczepka i okup. — Nowy atak. — Szablą i szpada.

Sam już nie wiedziałem, jak wybrnąć z całej tej awantury. Przeklinałem chwilę, w której owego człowieka napotkałem. Próżne były wszystkie moje wysiłki, aby się dostać do drzwi i drapnąć na cztery wiatry.

Nakoniec, po wszystkich tych żartach, znużenie i pijatyka, wino i tytoń zmorzyły tak dalece mego Argusa, że należało mu się poddać. Zażądał tedy łóżek dla teścia i dla zięcia. Dawno już gospodyni piwnicy i pacholćkowie drzemali snem spokojnym. Narobiwszy tedy strasznego hałasu, gdy usłyszał, że nikt na wołanie nie odpowiada, szlachcic mój podniósł się i wyszedł z pokoju dla przyzwania służby. Sposobność ta zbyt była ponętną, by z niej nie skorzystać. Jakoż wysliznałem się pokryjomu i nie zważając na strój mój i szablę, które z sobą zabrałem, puściłem się w cwał do mojej oberży.

Pozostawiam domyślności waszej zdziwienie, jakie owładnęło moim teściem, gdy po powrocie do piwnicy nie zastał już swego zięcia, ani też swego kontusza i szabli, które ze mną powędrowały...

Co do mnie, dotarwszy do łóżka rzuciłem się na nie w ubraniu i przespałem w takim stanie godzin dwanaście, aby odzyskać utracone siły.

Mój towarzysz uradował się niezmiernie, widząc mnie z powrotem, a do tego w stroju polskim.

Odesłałem naturalnie we dwadzieścia cztery godziny wszystkie te przybory, a co najucieszniesza, to to, że mój szlachcic zmuszonym był przeleżeć w pokoju cały ów czas i byłby tam pozostał dłużej, gdybym się nie był nad nim ulitował. Nie miał bowiem innej szabli i kontusza nad te, jakie mi tak wspaniałomyślnie był ofiarował, a nie miał pieniędzy na kupno nowych; obyczajem bowiem Polaków jest, nie posiadać więcej nad jeden kontusz, jedną szablę, jednego konia i bardzo wiele brawury...

Wracając do dalszego opisu podróży, Payen zwraca uwagę na znajomość języków, jaką się Polacy odznaczają. Dzieci mówią tu po niemiecku, po polsku, po łacinie, a bardzo wielu kupców włada językami: polskim, niemieckim, łacińskim, włoskim i francuzkim.

Jakkolwiek Gdańsk jest miastem wolnem i posiada swój senat, królowie polscy corocznie przysyłają tu swego urzędnika do prezydencji, lecz musi być wybieranym z grona senatorów.

Toruń jest jednym z najważniejszych miast

pruskich. Posiada gmachy i ratusz wielkiej piękności.

Warszawa leży w Mazowszu. Jest to rezydencja królów zbudowana nad Wisłą, nie wielkiej rozległości, lecz dobrze zaludniona.

Rynek, piramida, (?) arsenał, kilka domów prywatnych, pałac, zamek i ogród królewski, kościoły Jezuitów, Ś-to Jański, Ś-go Marcina, godnemi są uwagi.

Kobiety są tu ładne, uprzejme i wesołe (*enjouées*).

Z tego miasta wybraliśmy się do Krakowa. Już przebyliśmy Tarczyn, Nowe miasto, Radoszyce, gdy o pół mili przed Małogoszczem ujrzelśmy, że jakiś szlachcic polski stanął nam w poprzek drogi. Człowiek ów nie miał na sobie nic szlachetnego (*de noble*), krom swej czapki i szabli.

Wyraz twarzy jego pełen srogości kazał nam się spodziewać niezwykłych następstw tego spotkania.

Zapytawszy się, kim jesteśmy, gdy usłyszał od naszego woźnicy, że jesteście cudzoziemcami, nie znającymi języka miejscowego, jął do nas przemawiać po łacinie wołając:

— *Heu, tu quis? loquere!* Kim jesteś? Odpowiedz!). Odpowiedziałem skromnie, pytając, czego by od nas żądał? Lecz zaledwie przemówiłem, podnosząc głos i tupiąc nogami o ziemię, z porwaniem się do szabli, szlachcic mój ze strasznemi kontorysyami w twarzy zawoła:

— *Quis tibi, fecit potestatem transeundi per terri-*

torium meum, insalutato me, Domino? (Któż ci dozwolił przechodu przez moje terytoryum, bez powitania mnie, dziedzica?).

Istotnie, nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć i zaledwie mogł się zdobyć na słów kilka, w których wyjaśniłem, że jestem cudzoziemcem, że sądziłem, iż jadę drogą królewską, każdemu dostępną.

Na to mój szlachcic krzyknął:

— *Amici Galli, tres solvendi sunt Imperiales!* (Przyjaciele Francuzi, należy zapłacić trzy talary!).

Dla takiej drobnostki nie chciałem się długo trudzić i z obawy czegoś groźniejszego zapłaciłem żądane trzy talary. To dobrze usposobiło naszego szlachcica i starał się odtąd być dla nas niesłychanie grzecznym.

Lecz zaledwieśmy się oddalili na sto kroków, gdy ów opętaniec zaczął krzyczeć na naszego woźnicę, aby się zatrzymał i niebawem spostrzegliśmy szlachcica tuż przy naszej bryce.

Usłyszeliśmy nagle, że opłata należy się od osoby, a ponieważ otrzymał tylko trzy talary, należy mu się drugie tyle od mego towarzysza.

Bez dalszego sporu zapłaciliśmy i tę daninę, lecz zaledwieśmy znowu ujechali sto kroków, nasz szlachcic pędząc za nami, zaczął wołać:

— *O pessima animalia, vos fugitis! Iterum atque iterum et sine mora tres pro auriga et equis solvendi sunt Imperiales!* (O bydlęta, uciekacie! Dajcie tu znowu, i to zaraz, jeszcze trzy talary za woźnicę i za konia!)

Wyznam, że ten ostatni powrót zaczął mnie

nieco gniewać, a nie widząc innego środka odczepienia się od owego natręta, wydostałem się z bryki ze szpadą w rękę, chcąc się bronić, lecz ponieważ byłoby to wielką nieroztropnością narazić się w obcym kraju na bójkę, jeśli się nie zna języka i jest się bez pomocy, poszedłem za radą mego cichego towarzysza i zapłaciłem za woźnicę i konie jeszcze trzy talary...

V.

Opłata celna. — Dwór pod Małogoszczem. — Nagła przemiana. — Bigos hultajski. — Biesiada bez końca. — Fajeczki i dań wdzięczności. — Kraków. — Zabutki. — Córa Sorbonny. — Kaźmirz. — Żydzi. — Arka Noego.

Z tem wszystkiem, te ustępstwa czynione z naszej strony pogorszyły tylko nasze położenie, gdyż widząc, że mamy z sobą tłómaczki, natrętny ów człowiek zapytał się, czyśmy od nich opłacili myto i czy mamy pokwitowanie z opłaty; poczem rozkazał woźnicy zawrócić. Upornie twierdziłem, że nie jesteśmy kupcami i że zaniosę skargę na takie prześladowanie.

Nie było jednak rady. Musieliśmy zawrócić do dworu owego szlachcica i zaledwieśmy tylko weszli w progi jego mieszkania, gdy nagle zmieniając swoją taktykę, rzucił się nam na szyję z wielką serdecznością i oświadczył, że musimy się z nim czegoś napić.

Dwór ów stanowił zabudowanie z drzewa, o jednym piętrze i za całe urządzenie miał jedną obszerną niską salę. Była to rezydencya naszego szlachcica, służąca jednocześnie za pokój jego stołowy

i sypialnię. Mogliśmy w ten sposób zaznajomić się ze wszystkim naraz. Całem umeblowaniem był tu tapczan. Szlachcic nasz zajął się osobiście ugoszczeniem nas i na wzór Turków poleciwszy nam usiąść na ceracie, która służyła za dywan, przyniósł cztery baryłki rozmaitych win i wyjął z kominka rądel napełniony różnem mięsiwem i dziczyzną. Była tam pieczeń, mięso gotowane, potrawka, frykasy, w ilości takiej, że możnaby nią obdzielić cztery najmniej kompanie. Jakoż uraczyliśmy się po same uszy. Nie umiałbym objaśnić, ileśmy wypili, dosyć, że wspomnienie owej uczty sprawia mi dziś jeszcze zawrót głowy. Konwie (*les brocs*) wina reńskiego, francuzkiego, hiszpańskiego i węgierskiego opróżniały się z szybkością niewypowiedzianą i bez względu na wymagania poszczególne roli, z której owe wina powstały, mieszano je tak wyśmienicie, że nie mogłyby się na to żalić. To znaczy, żeśmy popuściwszy pasa (*à ventre deboutonné*) pili zapamiętale, czerpiąc jedynie wytchnienie z zastawionego przed nami bufetu. W tym stanie gospodarz nasz przedstawił się nam człowiekiem jaknajmilszym, a jeśliśmy odczuwali jakie zmartwienie podówczas, to tylko na myśl, że przyjdzie nam z nim rozstać się wkrótce. Gdyśmy już mieli siadać na brykę, gospodarz nasz wśród pożegnalnych całusów i uprzejmych słówek oświadczył, że tak jest z nas zadowolonym, iż nam zwraca pobrane pieniądze, któreśmy już uważali za wynagrodzenie sprawionego nam bankietu...

Szczyt owej uprzejmości wprowadził nas w istotny kłopot i uważaliśmy, że będzie to niejako odwdzię-

zeniem się z naszej strony za tyle łaskawości, jeśli ofiarujemy naszemu gospodarzowi z pół tuzina fajeczek holenderskich z pudełkiem tytoniu chińskiego, co znowu wprawiło szlachcica w tak wyśmienity humor, że nas od siebie puścić nie chciał. Trzeba więc było wrócić do dworu i rozpocząć pijatykę na nowo...

Spędziwszy na tak miłym zajęciu resztę dnia i większą część nocy, należało wreszcie położyć kres temu wszystkiemu, tem więcej, że gospodarz nasz nie mogąc już podolać, legł jak długi na podłogę i zasnął...

Zarówno ze świtem wybraliśmy się w drogę i po pięciu dniach podróży zajechaliśmy do Krakowa.

Kraków był ongi siedliskiem i rezydencją królów polskich. Miasto to, bogate i ludne, leży nad Wisłą. Uniwersytet jego używa wielkiego rozgłosu. Założonym został przez Kaźmirza Wielkiego przed trzystu laty i ściągał do siebie z Sorbonny paryskiej profesorów, którzy byli pierwszymi twórcami rozgłosnej reputacji tutejszej wszechnicy. Zamek piętrzący się nad Wisłą jest bardzo rozległy, a jakkolwiek niema wyrazistej na pozór formy, jednakże wielkość jego zabudowań, wysokość wież, rozkład jego sal, pokojów i przedpokojów, złożone jego ozdoby, świadczą o potędze tych, którzy tutaj przemieszkiwali.

W skarbcu kościoła biskupiego tutejszego znajdują się relikwiarze wartości około pięćdziesięciu tysięcy liwrów, mitry kosztowne i drogie kamienie

w niezliczonej ilości. Rynek tutejszy jest istotnie wspaniały, położony w środku miasta z mnóstwem wychodzących zeń ulic, otoczony czterema rzędami pysznych gmachów struktury włoskiej, zamkniętych bramami żelaznymi, zdolnych pomieścić książąt z licznym orszakiem.

Nazywają Kraków Rzymem polskim a Akademia jego jest córą uniwersytetu paryzkiego.

Kaźmirz, przedmieście oddzielone Wisłą od Krakowa, stanowi twierdzą zdolną do odparcia najazdu Szwedów. Żydowska część owego przedmieścia mogłaby słusznie być nazwaną pierwszą ulicą piekła. Brudne to, cuchnące i tak zaciśnięte, że gdyby nie dostęp powietrza, mogłoby ono służyć za siedlisko zarazy na wiek cały. Ulice tu nie są zabrukowane, domy są jednopiętrowe, podobne do naszych stajen. Dzieci tu sypiają, bawią się i wrzeszczą pod otwartem niebem, a drabinka do siana służy tu właścicielom owych mieszkań za łóżko i za stół jadalny. Rozkosz to prawdziwa patrzeć na takie gospodarstwo przypominające Arkę Noego.

Ojcowie rodzin żyją tylko z oszukaństwa, które jest bezgranicznem, a skąpstwo ich jest otchłanią bezdenną. Widzisz ich w czapkach wysokich, szkarłatnych, sukiennych, zdolnych do przyjmowania najrozmaitszych kształtów. Włosy czeszą raz na trzy lata, a żaden grzebień nie miałby zębów tak wytrzymałych, aby im podolać. Z pomarszczonem czołem, nosem wietrzącym tylko zysk i lichwę, o brodzie zakończonej rodzajem cielecego ogona —

oto jest obraz, którego sztuka nie byłaby w stanie naśladować. Szanowni ci ojcowie rodzin, noszą chałaty, złożone z niezliczonej liczby kawałków, równających się liczbie przeżytych dni. Używają tu oni rozległych przywilejów.

VI.

Refleksye i uwagi. — Rycerstwo. — Mieszczanie. — Chłopi. — Horoskopy i przestrogi.

Szlachta polska odznacza się okazałym wzrostem; szablą włada dzielnie, posiada znajomość języków obcych, usposobienie rycerskie i pobożność. Taż sama szlachta, jeśli odwrócić medal na drugą stronę, jest nieokrzesaną, zuchwałą i dumną, nie znającą innego hamulca nad poczucie swej wolności. Zkąd poszły owe zwycięstwa, jakie ongi odnosiła nad Tatarami? i jakim sposobem stać się to mogło że król szwedzki na czele czterdziestu tysięcy żołnierza, doprowadzić mógł kraj, liczący najmniej dwieście tysięcy walczących, do ostatecznej ruiny? wytłumaczyć to tylko można bezsilnością ich monarchy, nierozwagą ich przywódców, niezgodą i niesubordynacją, jaka panuje między ich wojskiem.

Terminator chce tu uchodzić za mistrza, a prosty szlachcic, który od dziecka widział tylko bitwy na obrazie, czuje się na siłach, już dla tego samego, że jest szlachcicem, prowadzić zastępy armii całego państwa.

Księża są tu w wielkiej liczbie, kupców polskich bardzo mało, a chłopci są tak biedni, że zgoła niczego nie posiadają.

Beneficya nie są tu zbywalnemi, województwa i starostwa i inne urzędy państwowe, nie są dziedzicznemi, lecz zależą od króla, który niemi rozporządza i honoruje według swego uznania, pod warunkiem, aby obdarowany był szlachcicem. Najdrobniejszy szlachcic może dojść do najwyższych urzędów. Wszystka szlachta uważa się za równą sobie, jednakie mając prawa, przywileje i wolności, z różnicą tylko bogactw.

Arcybiskup Gnieźnieński korzysta z renty trzykroć sto tysięcy liwrów rocznie; on to uważa się za następcę króla w razie śmierci tego ostatniego. Królowie i królowe są zazwyczaj cudzoziemcami.

Senat składa się z arcybiskupów, biskupów i wojewodów, lecz stan duchowny zajmuje pierwsze w nim stanowisko.

Na sejmikach prowincjonalnych wolno każdemu uczestniczyć, tak, że nawet prosty chłop może się przysłuchiwać rozprawom, jakie się tam prowadzą i rozpowszechniać wiadomości, któreby nigdy nie powinny były przekraczać ścian gabinetu monarchy. Jeśli mowa tam o wojnie, nieprzyjaciół ma doskonałe wiadomości o wszystkim, uprzedzając powzięte uchwały stosownemi środkami. Wie on, ilu ludzi pozostanie w rezerwie, kto stanowić będzie straż przednią, słowem, doskonale jest informowany o wszystkich planach i środkach do ich zniweczenia...

Gdy się rozważy ów stan samowoli szlachty

i wszystkie sprężyny poruszające owem państwem, można przyjąć do przekonania, że taka polityka nie zwiastuje niczego pomyślnego i że sprzymierzeńcy owego państwa nigdy nie odniosą z aliansu z Polską korzyści, lecz z drugiej strony, polityka tego państwa bardzo jest dogodną dla interesów drobnej szlachty z powodu wolności głosów, jaką ta ostatnia rozporządza.

NOTATKI ANGLIKA MORISONA,

Z PODRÓŻY PO POLSCE,

ODBYTEJ W ROKU 1593.

Relacye cudzoziemców o Polsce XVI wieku przeważnie dotyczą wiadomości o politycznych i dyplomatycznych stosunkach tego kraju.

Rzadko kiedy zaglądali tu podróżnicy z celem poznania zwyczajów i obyczajów miejscowych, dla przyjemności, lub dla nauki.

Tem ciekawszą przeto jest relacya Anglika, o Polsce, z epoki tak już od nas odległej, jaką znajdujemy w rzadkiem dziele, pod tytułem: *An itinerary written by Fynes Moryson, Gent. countaining his ten yeers travels thorow twelve dominions.* („Itinerarium“ napisane przez Fynesa Morysona, szlachcica, obejmujące dzieiesięcioletnie jego wędrówki po dwunastu państwach) wydane w Londynie, w r. 1617, lecz sięgające epokę swego powstania roku 1593 t. j. czasu pobytu naszego podróżnika w Gdańsku i w innych główniejszych miastach ówczesnej Polski.

I.

Będąc studentem Kolegium św. Piotra w Cambridge, dostąpił był Morison w ośmym roku życia stopnia bakałarza (*bachelor of arts*) i wkrótce potem, z rozkazu królowej Elżbiety, dopuszczonym został do uniwersytetu tamecznego. Po upływie lat trzech pozyskał Morison stopień magistra, (*Master of arts*), z prawem wykładu prawa cywilnego.

Dla okraszy zatem i nabycia niezbędnego doświadczenia w obcych krajach, postarał się Morison od rodziców i władzy uniwersyteckiej o pozwolenie wyjazdu za granicę i mając lat dwadzieścia trzy, wyjechał na ląd stały w towarzystwie kilku Holendrów, w roku 1589.

Zwiedziwszy po drodze Liège, Lubeke, Lunenburg, Magdeburg, Lipsk, Wittenberg, Meissen, Drezno, Pragę, Norymbergę, Augsburg i miasta Szwajcaryi, popłynął w dół Renu, a następnie lądem do Holandyi i Danii, a ztąd okrętem dostał się do Gdańska.

Było to właśnie w roku 1593, gdy po śmierci Jana, króla szwedzkiego, brat jego, Karol, książę

Sudermanii ogłosił się rejentem i zwoławszy synod do Upsali zaczął rozgłaszać o Zygmuncie, królu szwedzkim, wieści, jakoby wstąpienie jego na tron Szwecyi było zapowiedzią wprowadzenia katolicyzmu do tego kraju protestanckiego.

Z obawy utracenia dziedzictwa swych przodków, zwołał Zygmunt III sejm na dzień 11 Maja 1593 r., a otrzymawszy od sejmujących stanów zezwolenie na wyjazd do Szwecyi i subwencję w kwocie kilkukroć stu tysięcy złotych, ruszył król w drogę w towarzystwie żony, Anny Austryackiej, podkanclerzego Tarnowskiego, sekretarza Tarnowskiego, nuncjusza papieżkiego Malaspiny, oraz liczego pocztu dworzan.

Przybywszy do Gdańska zatrzymał się orszak królewski w oczekiwaniu pomyślnych wiatrów w porcie, o milę angielską od miasta oddalonym.

„Byłem ciekawy — pisze Morison — zobaczyć króla polskiego i jego orszak i dla tego wybrałem się nazajutrz do portu, oddzielonego od miasta górą piaszczystą. Niema w tej okolicy ani jednej wioski, lecz tylko szopa, w której się król umieścił ze swoją świtą.

W oddaleniu zaś niewielkiem znajduje się twierdza okrągłej formy.

Król miał na sobie strój żałobny, mianowicie, długą czarną opończę wełnianą, (*of woolen cloth*) a na głowie czapkę jedwabną, z wstęgą opasującą mu szyję, pas czarny około bioder! Królowa była ubrana na wzór szlachcianek niemieckich (*noblewomen of Germany*); głowę miała przykrytą wełnianą podróżną

czapeczką, z której na twarz spadał welon. Dworzanie nosili na sobie długie płaszcze, okrywające ubiór ze srebrnemi guzami, z jedwabnej materyi. Mieli oni na głowie maleńkie czapeczki.

„Wiatr zdawał się pomyślnym do podróży morskiej, lecz ponieważ katolicy są przesądni, a ani król ani królowa nie chcieli odjechać ani w Poniedziałek, ani w Piątek, dla tego stracili dużo czasu na oczekiwaniu.

„Gdańsk jest bardzo pięknem miastem, a choć niedawno jeszcze nie miało ani jednego domu murowanego, obecnie posiada już wiele domów z kamienia, wystawionych z wielkim przepychem (*with great magnificence*).“

Opisuje Morison publiczne ogrody miejskie, ratusz i zamek (*the Court*).

„Mieszkańcy mają dziwny zwyczaj obnażania głowy przechodząc przed jego frontem.“

Rynek miejski ma kształt okrągły, od niego zaś aż do *Hohethor*, bardzo pięknie ozdobionej bramy, ciągnie się ulica nazwana *Langgasse*, prowadząca do wzgórz okalających miasto.

Sławna rzeka Wisła nie przerzyna miasta, lecz obchodzi je ze strony wschodniej i wpada do Bałtyku. Mała tylko jej część ukazuje się w stronie południowej miasta, płynąc ku północy.

„Urządzone są tu sztuczne wody, które gromadzą się w cysternach i za pomocą rur dostają się do wszystkich ulic i domów prywatnych.“

„Spichrze tutejsze są bardzo piękne. Składają tam obywatele zboże sprowadzone z Polski i trans-

portowane w miarę potrzeby do rozmaitych krajów Europy. Niejednokrotnie ocalało ono żyźne prowincye od głodu.“

„Królowa polska przybyła przebrana dla obejrzania spichrzów.“

„Istnieje prawo, że nie wolno nikomu wchodzić tam ze światłem.

II.

„W kościele farnym (*Parkirk*) znajduje się obraz przedstawiający Zmartwychwstanie Zbawiciela, malowany z talentem (*with great art*) i taż sama scena przedstawiona jest w oszklonym relikwiarzyku, który to rodzaj jest tutaj dosyć rozpowszechnionym.

Miasto dzieli się na trzy okręgi: *Vorstadt*, *Altstadt* i *Reichstadt*. To ostatnie stanowi centrum Gdańska.

Od zachodu ciągną się dosyć wyniosłe wzgórza i tam to obozował król Stefan, gdy oblegał miasto obwarowane wysokimi wałami.

Gdańsk ma swego Patrona — św. Jerzego, jak Genua i Chios.

„Za jedzenie zapłaciłem 5 groszy, a ponieważ miałem się udać w dalszą podróż do Polski, gdzie jadło nie wszędzie jest dobre, dla tego zabrałem ze sobą do karety dwie kury, za które zapłaciłem pięć groszy, a za miarkę wina, mniejszą od kwarty — groszy dziesięć.

„Wynajawszy karete (*a Coach*) na cztery osoby do Krakowa, zapłaciłem za przejazd 40 złotych.

„Pierwszego dnia podróży zrobiliśmy pięć mil w ciągu pięciu godzin, jadąc przez żyzne okolice i przez jedyny las w tej części Prus, około Tczczewa.

„Dojechaliśmy do Gratenis (Grudziąża), miasta należącego do Zborowskich.

„Następnego dnia byliśmy w Comersea (Chełmno), gdzie właśnie odbywał się sejmik szlachecki (*a metting*).

„Jeśli wyłączymy Kraków i większe miasta, to budownictwo w tym kraju jest bardzo nędzne (*poor*). Domy pokryte są tu słomą lub gontami (*tiles of wood*), a zabudowania szlachty są dosyć od siebie odległe, bez żadnych ozdób.

„Przybywszy do Torunia zakupiliśmy wina i produktów. Za obiad każdy z nas zapłacił po dwa talary.

„Uiściwszy podatek 2 groszowy za przejazd przez most, wstąpiliśmy w granice Mazowsza.

„Czwartego dnia zajechaliśmy do Konotopu. Przejazd kosztuje tu grosz od mili, lecz należy się zaopatrzyć w listy podwodne¹). (*Podwoda brief*). Zaję-

¹) „Za dostarczenie koni i powozów, które niegdyś posłańcom królewskim przez kraj podróżującym za darmo dawane być musiały, później, za każdym razem pewną cenę płacono, lecz na to z miasteczek i wsi pewien podatek wybierano, który dla tego podwodnem się nazywał. Po uchwaleniu w r. 1620 poczt publicznych i po zaprowadzeniu ich istotnem, dochód z nich na korzyść skarbu królewskiego był opłacany“. Lengnich: „*Prawo posp. Król. Pols.* str. 125. (Kraków 1836).

chaliśmy do Łęczycy, zapłaciwszy znów pół grosza od mili, a za najem koni — 6 groszy.

„Bryka (*Countrey waggon*) kosztowała nas 11 groszy od mili i tak dojechaliśmy do Piotrkowa (*Peterkaw*), gdzieśmy kupili mięsa, chleba, piwa i zapłacili po groszu gospodyni za ugotowanie nam obiadu.

„Płaciliśmy po trzy grosze za gęś, dwa grosze za kaczkę, dwa grosze za ćwiartkę baraniny.

„Wreszcie przez Miechów dostaliśmy się do Krakowa.

„Warownych miejsc bardzo mało w Polsce, gdzie bardziej polegają na dzielności oręża i jezdnych, niż na wałach, (*placing their strength in their swords and horsemen, rather than in walles*).“

Resztę notatek poświęca Morison opisowi Krakowa, jego kamienicom pięknym, rynkowi, ratuszowi, kramom i zamkowi. Opisuje tu pokoje królewskiej pary i pokoje królowej wdowy Anny Jagiellonki.

Poświęca słów kilka opisowi żydowskiej dzielnicy (*Cagmer*).

III.

Po opisie podróży mającym bardziej sprawozdawczy, aniżeli malowniczy charakter, przystępuje Morison do uwag natury ogólniejszej i podnosi zdolności mieszkańców do językoznawstwa, zwłaszcza do łaciny, którą wszakże w Polsce dosyć kaleczą.

„Szlachta jest tu swarliwą i skłonną do bójek, zwłaszcza gdy sobie podpije (*especially if they be heated with drinks*).

Ma ona na swoich ziemiach prawo życia i śmierci nad poddanymi, a ponieważ może być ona pociągana do spraw karnych jedynie przed sejm (?) odbywający się co trzy lata, a złożony również ze szlachty, dlatego pokrewieństwo, powinowactwo i przyjaźń wpływają tu na łagodność wyrokowania“.

Szlachta, która była w obcych krajach, ma obyczaje łagodniejsze (*are much more civil than the rest*). Trzyma się ona tutaj w kupie, uważając nie-szlachtę za niewolników (*slaves*) (?)

Bezpieczeństwo podróżnych po drogach jest bardzo małe w Polsce.

Polska po największej części stanowi kraj płaski.

Przejazd z Gdańska do Krakowa powozem kosztuje około czterdziestu czterech guldenów niemieckich. Na moją osobę wypadło to sześć guldenów, lecz po czterech dniach podróży należało konie zmienić, jako bardzo już zmęczone.

W czasie drogi w jednym mieście pięciu z nas zapłaciło po 2 talary za obiad, lecz ja zazwyczaj obiadując po wsiach, płaciłem po 2 lub 3 grosze za obiad, a za kolacją od 4 do 6 groszy.

Mają tu zwyczaj brać ze sobą do powozu pościel i siedzieć na niej podczas dnia. Gdzieindziej łóżka znajdują się tylko po miastach. Toż samo z winem, w które się zaopatrywać należy po miastach.

„Konie nasze, jak powiedziałem, musieliśmy zostawić jako bardzo zmęczone i na zasadzie listu królewskiego (*kings letter*) udzielonego jednemu z naszej kompanii, zabraliśmy się wierzchem w podróż, płacąc 2 grosze od konia za milę niemiecką.

Polacy po większej części podróżują w ten sposób. Ma to swoją niedogodność, że nie można brać ze sobą pościeli, lecz na przystankach odpoczywa się na pierwszej lepszej ławie.

Po gospodach ogrzewają się tu gorącemi kamieniami (*hot stones*), a rodzina gospodarzy spoczywa na słomie“.

IV.

Anglicy mieli prawo składu swych towarów w Gdańsku.

„Pod składowem (*staple*) — pisze Morison — pojmuję przywilej sprowadzania do miasta towarów z prawem ich transita, lub też sprzedawania na miejscu.

Następnie jednak Gdańszczanie pod naciskiem wojny ze Szwedami zażądali od Anglików opłaty talara od każdej sztuki sukna, a nawet po ustaniu wojny nie zwolnili ich od tego podatku. Ograniczenia handlu Anglików i nałożenie na nich takiegoż samego jak na kupców żydowskich podatku, zmusiło pierwszych do zawarcia z magistratem miasta Kłajpedy (*Melvin*), układu na lat jedenaście, z opłatą sześciu groszy od każdej sztuki sukna, za prawo urządzania składów w Kłajpedzie.

Gdańszczanie poróżniwszy się o to z Kłajpedzianami, rozesłali publiczną odezwę nietylko do nich, ale do Lubeki i Królewca, z wyrzutami, iż pozwalają Anglikom ze szkodą tuziemców sprzedawać swoje towary.

Anglicy sprowadzali tutaj płótno, sukno i inne przedmioty, a zabierali ztąd drzewo na maszty, len, konopie, sól, potaż do wyrabiania mydła, rzadziej jednak zboże, którego nie potrzebują dla siebie, chyba do transportowania dla innych narodów, np. dla Hiszpanów.

Bursztyn nie znajduje się w tych okolicach, lecz około Królewca i na wybrzeżach Kurlandyi, gdzie leży w bryłach na piasku.

Na pozór jest on ciemny i brudny, lecz po oczyszczeniu staje się przezroczystym.

Widziałem w Gdańsku dwie sztuki czystego bursztynu, za jedną z nich obecny tu król polski ofiarował pięćset talarów.

V.

Dochody szlachty są umiarkowane, zaledwie wystarczające na utrzymanie obfitego stołu i dla wymiany na wina, korzenie i inne zagraniczne towary, jedwabne i wełniane.

Polska obfituje w dzikiego i domowego zwierzę i hoduje konie, wprawdzie niskie, ale silne i wytrzymałe. Nigdzie szlachta nie żywi takiego upodobania do koni, jak tutaj. Obwiesza je łańcuchami złotymi i drogiemi przy uszach kamieniami, maluje je świetnemi barwami, które jednak zupełnie sierści jej nie odpowiadają, a części tylne obwiesza cennemi futrami i skórami lwów i lampartów, zarówno dla straszenia wroga, jak i dla ozdoby rumaków.

Obfituje również Polska w mięsiwa, miody, ryby, owoce różnego rodzaju. Posiada ona niewielkie kopalnie złota i srebra w okolicach Karpat.

Nic dziwnego, że kupcy sprowadzają tu jedwab z Włoch, sukno z Anglii, wino z Hiszpanii, a korzenie z Indyi. Wszystko to sprzedaje się tutaj z zy-

skiem i daje możność wyprowadzania ztąd pożądaných towarów.

Ludność tutejsza żyje zadowolona ze swego stanu, ale bogactw wielkich nie posiada, gdyż obraca je na zakup rzeczy obcych, z daleka sprowadzanych i drogich... (*they are not rich, because they want the foresaid foraigne commodities, farre brought, and so deare*).

Istotnie, sam zauważyłem, że w Polsce wszystkie przedmioty potrzebne są bardzo tanie, a srebro wielce poszukiwane. To wywołało we mnie przekonanie, przeciwne ogólnemu mniemaniu, że taniość niezbędnych przedmiotów nie jest dowodem kwitnącego dobrobytu społeczeństwa (*that there is no more certaine signe of a flourishing and rich commonwealth then the deare price of these things*).

Wyjaśnił mi się też powód, dla którego u nas stare i przesądne kobiety przypisują nierozsądnie drożyznę lat ostatnich zmianie religii, wysławiając dawne czasy, gdy dwadzieścia jajek sprzedawano za penny: gdyż w naszym stuleciu nasi królowie i szlachta mają więcej dochodów, a kupcy więcej zysków niż nasi przodkowie.

Polacy używają mało wina, lecz za to piją dużo piwa i miodu; szczególniej wyrób miodu na Mazowszu jest bardzo udoskonalony.

Ryby przyrządzają tu bardzo pieprzno. Ten rodzaj kucharstwa bardzo jest lubianym w Niemczech.

Gospód w całym kraju jest niewiele, lecz podróżny może tutaj zejść do piekarza lub do kar-

czmy i uraczyć się sowicie za niewielką opłatą. Zdaje mi się, że dziedzice każdej wsi nakładają niejako obowiązek na swoich poddanych, aby gościnnie podejmowali podróżnych. Gospodyni taka, podejmując cię, nie żąda niczego dla siebie, a bardzo jest zadowolona, jeśli ją kto do biesiady zaprosi. (*The hostesse will give the labour for nothing, except in curtesie you desire her to eate with you*), jeśli zaś jej dasz trzy pensy za całą kompanię, to ci podziękuje najuprzejmiej i nie będzie żądać niczego więcej.

W żadnym kraju Europy niema tak taniej żywności jak w Polsce. Ja sam i moi towarzysze zaprosiliśmy raz na obiad cztery osoby i kosztowało nas to cztery i pół grosza.

Po wioskach i miasteczkach kupowałem dzieśnię jaj za grosz, gęś za trzy grosze, indyka za dwa grosze, wieprzka za trzy grosze, ćwiartkę baraniny za dwa grosze i w tym stosunku były wszystkie przedmioty żywności tak tanio sprzedawane.

VI.

Polacy golą głowy z wyjątkiem miejsca od czoła, od którego włosy zarzucają w tył. Jako broń noszą turecką szablę; obówie skórzane lub drewniane malowane i podkute, w taki sposób, że chodząc, gwoździami dziury wiercą. Szlachta nosi łańcuchy ze złota, opasujące biodra i trzyma w ręku młotek ze srebra, lub może pozłacany (?). Węgrzy pod względem stroju mało się od Polaków różnią, lecz nie noszą piór, chyba z powodu jakiegoś czynu waleczności, a liczba piór przy czapce oznacza liczbę takich rycerskich czynów. Widziałem w Krakowie kasztelanów i dużo szlachty, jadących do dworu, a oczekująca ich szlachta miała u niskich czapeczek pióra. Konie ich były siodłane bardzo zbytkownie, przy uszach końskich wisiały łańcuszki ze złota i srebra, wędzidła były pozłacane, a każdy ze szlachty nosił szablę przy boku i kandziar krótki u pasa, prócz tego trzymał młotek w ręku. Strój ich był bardzo świetny, czapeczka z cienkiego płótna; wielu z nich miało bardzo kosztowne łańcuchy na szyi wartości do pięciu set talarów.

Dziewczęta noszą strój z cienkiego płótna, z obnażoną głową. Włos zaś dzielią na dwie połowy jak kobiety holenderskie i warkocze ujęte są w aksamitne wstążki. Wychodząc z domu okrywają głowę chustką, lecz twarze mają odsłonięte. Kobiety zamężne noszą chustki na głowie, okrywając niemi twarz aż do ust.

Strój noszą poważny, w rodzaju delij, okrytych na brzegach futerkiem, lub też barankiem. Pośledniejsze niewiasty używają wyłącznie stroju płóciennego.

MASKA ŽELAZNA.

W bibliotece Raczyńskich w Poznaniu, w dziale rękopisów, pod nr 278, znajduje się zagadkowy manuskrypt, pod zagadkowym również, nieortograficznie, jak cały dokument, wypisanym tytułem: „*Not(t)es sur le Masque de Fer, envoyées(s) de Paris au Roi de Pologne*“.

Bez owego końcowego dodatku, rękopis, o którym mowa, nie zwróciłby na siebie uwagi szperacza.

Chęć wykrycia osobistości adresata, dla którego ów odpis był przeznaczony, oraz nadzieja dorzucenia do wiązanki legend o Masce Żelaznej, nowych szczegółów, prawdopodobnie dotychczas jeszcze nie ujawnionych, a nie pozbawionych historycznej doniosłości, skłoniły piszącego do bliższego obeznania się z osnową manuskryptu i do wysnućia tkanki domniemań o jego pochodzeniu, których zasadność rozwadze czytającego ogółu postawioną być musi.

Kto był redaktorem owych luźnych, niezdarnie skopiowanych notatek o głośnej Masce Żelaznej? dla kogo z królów notatki owe zrobione? — oto

dwa pytania główne, narzucające się przedewszystkiem uwadze szperacza.

Pod tym względem rękopis nasz ułatwienia nie nastrecza, a nawet początkiem swoim i końcem rodzi znaczne wątpliwości.

Sądząc z osnowy wstępu, pochodzić jakoby mającego od redaktora notatek, przypuścićby należało, że rękopis pochodzi z czasów Augusta II, Mocnego; czytamy w nim bowiem: „*On me demande à la fin de mes jours, et dix ans après la mort de Louis XIV, quel etoit ce prisonnier au masque de fer? C'etoit la question, que je faisoit en 1719 à la Princesse adorable, que le Regent aimoit, mais dont il etoit detesté*”, — z czego widoczna, że autor tych słów mówi o roku 1725, który zamykał dziesięcioletni okres od daty śmierci Ludwika XIV i przypadał w epoce panowania Augusta II.

Tymczasem końcowe stronnice manuskryptu powołują się na szczegółowe wersye o Masce Żelaznej, ogłoszone po raz pierwszy bez osłonek kryptomymowych w dziele Voltaire'a (*Le siècle de Louis XIV*), które wyszły w epoce następnego Sasa, Augusta III.

Co większa, w dalszym ciągu manuskryptu, redaktor notatek wyraźnie pisze: „*Louis XV est mort depuis 13 ans; notre Roi est clément, si bon, si tolerant, que sous son regne nous jouissons en quelque sorte de la liberté de la presse*”.

Ponieważ Ludwik XV umarł w r. 1774, a redaktor rękopisu mówi o kresie czasu, jaki nastąpił w lat 13 po objęciu tronu Francyi przez Ludwika

XVI, czyli o roku 1787, nie ulega zatem wątpliwości, że pochodzenie manuskryptu odnieść należy do tego ostatniego roku.

Pewność w tej mierze zdaje się być ustaloną, z uwagi, że w manuskrypcie naszym, obejmującym prawie wszystkie szczegóły, jakie do epoki wielkiej rewolucyi we Francyi, t. j. do roku 1789 wiadome były o Masce Żelaznej, zamilcza zupełnie o faktach jakie w d. 14 lipca 1789 r. ujawniły się w tej sprawie, skutkiem zdobycia Bastylii przez wzburzony lud paryski.

Kiedy po pierwszym upojeniu zwycięstwem i po uwolnieniu ośmiu uwięzionych z twierdzy bastylskiej, lud ten, przypomniawszy sobie szczegóły o tajemniczej Masce Żelaznej, rozbiegł się po kurytarzach i po celach twierdzy, aby z resztek papierów i z napisów pomieszczonych na ścianach przez nieszczęśliwe ofiary wykryć istotną prawdę o osobistości trzymanego tam w ścisłej tajemnicy przez lat pięć więźnia, znanego pod nazwą Maski Żelaznej, jeden ze zdobywców, głośnym krzykiem oznajmił, że znaleziono wielki regestr Bastylii, w którym niezawodnie znajdą się szczegółowe daty odnoszące się do każdego trzymanego w niej więźnia.

Z tryumfem podniesiono ów regestr na Ratusz, gdzie rozpoczęło się urzędowe śledztwo; lecz nadzieja zdobywców doznała zawodu, gdyż właśnie stronice odnoszące się do lat 1699 i 1703 zamykających okres więzienia Maski Żelaznej w Bastylii znaleziono wydartemi, i tym sposobem wszelki ślad dalszych poszukiwań w tym kierunku zatarty został.

O owym szczególe manuskrypt nasz nie nie wzmiankuje; a ponieważ notatki swoje kończy na roku 1787, widoczna zatem, że sporządzono go nie w innym, tylko w tym ostatnim roku, uprzedzającym datę wielkiej rewolucyi we Francyi i przesłano z Paryża panującemu podówczas królowi — Stanisławowi Augustowi.

I.

Od owego czasu literatura odnosząca się do dziejów Maski żelaznej, znakomicie się wzbogaciła mnóstwem dzieł, które, same w sobie, małą biblioteczkę, tego przedmiotu dotyczącą, stanowić mogą¹⁾.

¹⁾ Ważniejsze źródła do historyi Maski Żelaznej mieszczą się w dziełach i rozprawach: „*Histoire de l'homme au masque de fer*“ z dzieła Voltaire'a: „*Siècle de Louis XIV*“, Paryż, 1783. 2) „*Le véritable masque de fer, d'après les archives de la Bastille*“, 1789. 3) „*Histoire d'un fils du roi*“, 1789. 4) „*L'homme au masque de fer dévoilé*“, 1789. 5) „*Recueil fidèle de plusieurs manuscrits trouvés à la Bastille*“, 1789. 6) Veltheim: „*Anecdoten vom franz. Hofe, vorzüglich aus den Zeiten Ludwigs des XIV und des Duc Regent, nebst einem Versuch über die Masque de fer*“, Brunświk, 1789. 7) Saint Michel: „*Le véritable homme dit Masque de fer*“, 1790. 8) Cravford: „*Hist. de la Bastille*“, 1798. 9) Roux Fazillac: „*Recherches histor. et critiques sur l'homme au masque de fer*“, 1801. 10) Servières: „*La véritable clef de l'histoire*“, 1802. 11) Regnault Varin: „*L'homme au masque de fer*“. 12) Delerat: „*Histoire de l'homme au masque de fer*“, 1825. 13) Taules Jean: „*L'homme au masque de fer*“, 1825. 14. Dover: „*The history of the state prisoner, called the iron masque*“, 1827. 15) Paul Lacroix (Bibl. Jacob) „*L'homme au masque de fer*“. 16) Dumas: „*Une année à Florence*“.

Wszystkie jednak owe dzieła, jako oparte na przypuszczeniach, mniej lub więcej zasadnych, nie ustaliły ostatecznie ani nazwiska tajemniczego więźnia, ani też przyczyn, które zastosowanie do niego tak wyjątkowego środka przymusu spowodowały.

Jak wygląda historia Maski Żelaznej w świetle faktów niewątpliwie ustalonych przez dokumenta historyczne?

W roku 1680 za panowania Ludwika XIV, do twierdzy Pignerol, w prowincyi piemonckiej, zdobytej w r. 1630 przez kardynała Richelieu'go i wcielonej do Francyi, pod której władztwem aż do r. 1696 pozostawała, sprowadzono zamaskowanego więźnia i oddano go pod nadzór p. de Saint-Mars, gubernatora twierdzy.

Gdy wkrótce potem p. de Saint-Mars był przeniesiony na urząd gubernatora fortu Exilles, odległego o dziesięć kilometrów od Turynu, zamaskowany więzień do tego nowego siedliska przeprowadzony został.

Towarzyszył on, jako cień nieodstępny p. de Saint-Mars i na wyspach Ś-tej Małgorzaty, dokąd w r. 1687 go wysłano, i z kąd, dnia 20 stycznia roku 1687, adresowano do p. de Louvois, ministra Ludwika XIV list, z zapewnieniem, że środki ostrożności względem zamaskowanego więźnia nieodstępnie będą i nadal zachowywane.

Tu, na wyspach św. Małgorzaty, urządzone dla Maski Żelaznej więzienie specjalne, opatrzone jednym tylko zakratowanym okienkiem, z widokiem na morze.

Rzadko kiedy wchodził p. de Saint-Mars do celi więźnia, a jeśli się nadarzała konieczność rozmówienia się z nim, p. de Saint-Mars stawał zwykle na progu, z kąd mógł dokładnie patrzeć na obie strony kurytarza więziennego.

Pewnego wszakże dnia, syn jednego z przyjaciół gubernatora, szukając p. de Saint-Mars, wszedł niepostrzeżony na kurytarz i zastał szukanego, w chwili żywej rozmowy z więźniem.

P. de Saint-Mars, ujrzawszy młodzieńca, cofnął się o parę kroków i zatrzasnął drzwi celi, a następnie blady ze wzruszenia zapytał przybyłego: czyli cokolwiek widział, lub słyszał? Gdy młodzieniec zapewnił go, że to było niemożliwem, gubernator ochłonał nieco z przestachu, lecz zażądał, aby młodzieniec niezwłocznie opuścił wyspę.

Innego znów dnia, tajemniczy więzień, któremu jedzenie podawano na srebrnych talerzach, napisał na takim talerzu gwoździem słów kilka i wyrzucił go przez okno więzienia. Jakiś rybak znalazł talerz nad brzegiem morza, a domyśliwszy się, że go wyrzucono z zamku, odniósł zgubę gubernatorowi. P. de Saint-Mars przedewszystkiem upewnił się, czy rybak umie czytać, a gdy usłyszał odpowiedź przeczącą, powinszował mu owej nieznajomości abecadła i zalecił na przyszłość ostrożność.

W r. 1698 otrzymał p. de Saint-Mars rozkaz przeprowadzenia więźnia do Bastylii.

Zastosowano wyjątkowe środki ostrożności podczas transportu; a za przybyciem więźnia umieszczono go w wieży de la Bazinières, następnie zaś,

pan Dujonca przeprowadził go do wieży de la Bertaudière, gdzie też, w charakterze szczególnego nadzorcy, umieszczony był stróż więzienny z wyspy św. Małgorzaty, p. Rosanges.

W tem to więzieniu zamaskowany człowiek pozostawał aż do d. 19 listopada r. 1703.

W dzienniku Bastylii pod pomienioną datą znajduje się notatka następującej osnowy:

„Nieznany więzień, o zamaskowanej czarnej maską twarzy, zachorowawszy nagle dnia wczorajszego, po mszy, umarł dzisiaj, o dziesiątej wieczorem. P. Giraut, nasz jałmużnik, spowiadał go wczoraj. Śmierć niespodziewana przeszkodziła opatrzeniu go św. Sakramentami. Pogrzebano go we środę, dnia 20 listopada, o 4 po południu na cmentarzu św. Pawła. Pogrzeb ten kosztował czterdzieści liwrów“.

W regestrach pogrzebowych cmentarza kościoła św. Pawła, mieści się notatka następująca:

„Roku 1703 dnia 19 listopada, Marchiali, wieku około lat 45 liczący, zmarł w Bastylii i pogrzebiony został na cmentarzu św. Pawła, parafii właściwej, d. 20 tegoż miesiąca, w obecności p. Rosarges'a i p. Reih'a, chirurga, którzy akt ten poświadczyli“.

Środki ostrożności stosowane do więźnia za jego życia, nie przestały go prześladować i po śmierci. Twarz jego oblano witryolejem, spalono wszystkie jego meble, rozkopano podłogę jego więzienia, przeszukano wszystkie zakątki jego celi, zdrapano i pobielono na nowo jej mury, przełożono

wszystkie kawałki posadzki, z obawy, aby się tam nie znalazło ukrytem nazwisko więźnia.

W takim stanie przetrwała tajemnica aż do d. 14 lipca r. 1789, do sceny poprzednio już opisanej.

Tyle mówią fakta wiarogodne, historyczne.

Przejdźmy teraz do osnowy naszego rękopisu.

II.

Pierwsze jego karty obejmują historią wydobycia szczegółów o tajemniczym więźniu od Filipa II księcia Orleańskiego, który, po śmierci Ludwika XIV, pełnił urząd regenta Francyi. Opowiadanie to osnute jest na romansie, jaki regent usiłował zawiązać z pewną księżniczką, która, ze swej strony, odrzucając hołdy swego wielbiciela, przyjmowała natomiast hołdy jego rywala i dzięki namowom tego ostatniego, zgodziła się uleść chwilowo kaprysom regenta, pod warunkiem, że jej wyjawia tajemnicę stanu, odnoszącą się do osobistości Maski Żelaznej.

Rywalem owym, ile się z dalszej osnowy rękopisu domyślać można, był — Armand du Plessis, książę Richelieu, jeden z siostrzeńców kardynała, zwany: *le type le plus accompli des roués du XVIII siècle*, członek akademii, uczestnik wszystkich głośniejszych wypraw za Ludwika XV, zdobywca Hanoweru, który usunąwszy się pod koniec życia z widowni spraw wojennych, cofnął się do życia dworskiego, aby w intrygach zakulisowych szukać ukojenia dla swej awanturniczej natury.

W papierach pozostałych po śmierci księcia Richelieu'go, znalazł się rękopis, zatytułowany: *Relation de la naissance et de l'éducation du prince infortuné, soustrait par les cardinaux Richelieu et Mazarin à la société, et renfermé par ordre de Louis XIV, composée par le gouverneur de ce prince, a son lit de mort*".

Sekretarz księcia, Girard Soulavie, ogłosił ów manuskrypt, oparty na zwierzeniach poufnych regenta, a według osnowy tych zwierzeń, Maską Żelazną był brat Ludwika XIV, urodzony 5 września 1639 r. w kilka godzin po przyjściu na świat Delfina.

Ludwik XIII, przerażony wiadomością o owym niespodziewanym powtórnym połogu królowej Anny austriackiej, który mógł Francyi zgotować ważne zawikłania, zwołał na tajemną naradę kanclerza, biskupa z Meaux i akuszerkę, i tu postanowiono wypadek ów utrzymać w najściślejszej tajemnicy; drugiego zaś Delfina oddać na wychowanie akuszerce, pani Perronnette.

W takich warunkach wychowywało się dziecko aż do dziewiątego roku życia, lecz rażące podobieństwo do królewskiego brata, oraz wykrycie tajemnicy pochodzenia, udzielone wychowawcowi pani Perronnette, zniewoliło Ludwika XIV do wydania rozkazu uwięzienia dziecka i okrycia jego twarzy maską żelazną, który to rozkaz bezwzględnie wykonano.

Opowieść ta stała się treścią dramatu pp. Fournier'a i Arnoult'a wystawionego za naszych już czasów z wielkiem powodzeniem na scenach teatrów francuzkich.

W dalszym ciągu, rękopis biblioteki Raczyń-

skich przytacza szczegóły zaczerpnięte z głośnego za czasów Ludwika XVI dzieła, wydanego pod tytułem: *Mémoires pour servir a l'histoire des Perses*“.

Pod osłoną kryptonymów kryją się tu anekdotki dworu francuskiego. Król nazwany jest tu *Cha Abbas*; Delfin *Sephi Mirza*; hr. Vermandois — *Giafer*; książę Orleański — *Ali Hamajou*, Bastylia nosi nazwę twierdzy *Ispahan*, a wyspa św. Małgorzaty — cytadeli *Ormuz*.

Według wersji owej historyi perskiej, Ludwik de Bourbon, hrabia Vermandois, był, jak wiadomo, synem naturalnym króla Ludwika XIV i panny de la Vallières. Król bardzo kochał swego naturalnego syna i pozwalał mu na różne wybryki, które nakoniec doprowadziły młodzieniaszka do takiej śmiałości, że pewnego razu wymierzył policzek Delfinowi.

Obelga taka nie mogła ujść bezkarnie. Jakoż, z rozkazu króla wysłano młodzieńca na wojnę do Flandryi, gdzie pewnego dnia uśpiono go w namiocie narkotykiem, i okrywszy twarz maską żelazną, wtrącono do więzienia, naprzód na wyspie św. Małgorzaty, a następnie w Bastylii.

Dalsze karty naszego rękopisu obejmują relacyą o Masce Żelaznej, zaczerpniętą z dzieła Voltaire'a „*Siècle de Louis XIV*“.

Szczegóły tu przytoczone stwierdzają fakta powyżej już podane, o środkach ostrożności, jakie stosowano do tajemniczego więźnia, w miejscach jego pobytu. Hypotezy rodowodu Maski Żelaznej powtórzone są tutaj według już znanych nam wersji.

Następne notatki rękopisu zawierają relacyą p. Lagrange'a Chancel'a, osnutą na autentycznych danych o Masce Żelaznej, zebranych przez historyka na wyspie Św. Małgorzaty, od gubernatora tejże wyspy, p. de Lamoth Guérin'a.

Według tej relacyi, Maską Żelazną miał być jakoby słynny książę de Beaufort, wnuk Henryka IV, jeden z przywódców Frondy, nazwany przez gmin paryzki — *le rois des halles*. Pośpieszywszy na pomoc Wenecyanom, obleżonym w r. 1669 na wyspie Kandyi, przepadł od owej chwili bez wieści.

Twierdzi p. Lagrange Chancel, że już od roku 1664 książę de Beaufort za nieposłuszeństwo, popadł w niełaskę u Ludwika XIV i podczas wyprawy na Turka uprowadzono go z rozkazu tegoż króla i więziono na wyspie św. Małgorzaty, gdzie go dla niepoznaki w żelazną przybrano maskę.

III.

Ostatnie notatki rękopisu obejmują wiadomość o tajemniczym więźniu, zebrane w Bastylii przez więzionego tamże p. Linguet'a, adwokata i pisarza. Dotyczą one środków wyjątkowej ostrożności stosowanych do więźnia, lecz nowszych szczegółów jego rodowodu nie przytaczają.

„Wszystkie powyższe uwagi i spostrzeżenia — nadmienia autor notatek — dowodzą, że Maską Żelazną była osobistość bardzo wybitna, i że zagrożenie śmiercią każdemu, ktoby się silił tajemnicę tę przeniknąć, świadczy o wielkiem niebezpieczeństwie, na jakie dwór mógł być narażony w razie jej ujawnienia. Mając na względzie, że z chwilą śmierci kardynała Mazarin'a nie zniknęła z widowni dziejów żadna głośniejsza osobistość, wynika, że Maską Żelazną była jedynie osoba, której rodowód i położenie należało ustrzedz od ciekawości współczesnych.

„Osobą tą, mógł być tylko brat Ludwika XIV, rażąco do króla podobny, a skazany na dożywotnie więzienie, z rozkazu, powodowanego wyższymi racjami stanu.

„Ludwik XV okazywał więcej względów ludzkości w tej sprawie i często nękał regenta pytaniami, dotyczącymi Maski Żelaznej. Regent odpowiadał zawsze, że Jego Królewska Mość dowie się o wszystkim, z chwilą dojścia do pełnoletności.

„W wigilią tego uroczystego dnia znowu zagadnął regenta w tej sprawie, lecz otrzymał w obecności wielu dworzan odpowiedź:

— „Byłbym W. K. M. uchybił swemu obowiązкови, gdybym dziś już tajemnicę tę zdradził; lecz jutro będę obowiązany być posłusznym rozkazom Waszej Królewskiej Mości“.

„Nazajutrz, w obecności dworzan, przystąpił król do regenta z żądaniem wyjawienia sekretu, i ze zmiany rysów twarzy słuchacza mogli się widzowie domyśleć, jak wielkiem był opanowany wzruszeniem.

— „Gdyby żył dotychczas — rzekł Ludwik XV, byłbym mu przywrócił wolność...

„Lecz i Ludwik XV ze swej strony ściśle dochowywał tajemnicy stanu, i wobec pism Ojca Grifeta Jezuity i p. de St.-Foix, którzy się bardzo sprawą Maski Żelaznej zajmowali, odezwał się pewnego razu do dworzan:

— „Pozwólcie im pisać, co się podoba. Nikt jeszcze nie wypowiedział prawdy o Masce Żelaznej.

„Wiedziano również, że Delfin, ojciec Ludwika XVI, częstokroć zapytywał ojca o rodowód Maski Żelaznej.

— „Lepiej uczynisz — odrzekł król pewnego razu, — jeżeli się o to pytać nie będziesz...

„Oto wszystko — kończy autor notatek — cokolwiek dało się zebrać o tej dziwnej osobistości. Byłoby do życzenia, aby przedsięwziąć wszelkie możliwe poszukiwania, dla wykrycia nazwiska więźnia, aby przeszukać jego cele, gdzie możeby się znalazły jakie ciekawe rzeczy; należałoby przetrząsnąć bibliotekę królewską i protokoły metryczne urodzenia Ludwika XIV, gdyż, o ileby się przekonano, że więźniem był wistocie brat królewski, pewność ta uczyniłaby Maskę Żelazną bardziej jeszcze sympatyczną dla tych, którzy już oddawna jej losem się zajmują“.

Zwracając się obecnie do pytania, dotyczącego autorstwa rękopisu, przypomnieć należy uwagę zamieszczoną na początku, że pewne ustępy tego rękopisu pochodzą z roku 1787, lecz nie dotyczą już faktów późniejszych, ujawnionych skutkiem zdobycia Bastylii.

Nie będzie przeto zbyt śmiałem przypuszczenie, jeśli zatrzymamy się na nazwisku przyjaciółki i gorliwej korespondentki Stanisława Augusta, pani Teresy Geoffrin, która, prawdopodobnie, chcąc zaspokoić ciekawość jego, zebrała krążące podówczas pod wpływem wykryć Voltaire'a o Masce Żelaznej pogłoski i przesłała mu je w kształcie bezładnych notatek.

Dalsze ustępy rękopisu, odnoszące się do epoki późniejszej od daty śmierci pani Geoffrin (1777) mogły być dodane przez późniejszych korespondentów i zebrane w jedną całość, przez przepisywacza, mało widocznie z ortografią francuską obeznanego.

RAMSES BALTAZZANI,
VULGO WINIARSKI.

DZIWNA HISTORYA Z CZASÓW AUGUSTA III.

I.

Józef Jędrzej Załuski, biskup kijowski, w swej „*Bibliotece*“ wierszem białym z pamięci spisanej i w roku 1768 po raz pierwszy w druku wydanej, wzmiankuje o dziełku pod tytułem: „*Le mal épidémique des Franc-maçons*“, ogłoszonem w r. 1742 w Augsburgu, obejmującym „opis tragedyi“, której bohaterem był swego czasu głośny awanturnik Winiarski, wysłany przez angielską lożę wolnomularską do Polski, celem urządzenia w tym kraju łóży, kapituł i warsztatów masonskich.

Odszukanie owej broszurki augsburskiej w jednym z bogatszych księgozbiorów warszawskich nastręcza możliwość uzupełnienia i wyjaśnienia drastycznych szczegółów opowiadania Załuskiego. Opowiadanie to uchyla zasłonę kryptonymów, jaką autor francuzki okrył działające w owej „tragedyi“ osobistości, i pozwala oprzeć mętłą nieco opowieść na autentycznych danych, ze wspomnień autora „*Biblioteki*“ zaczerpniętych.

W czasie bezkrólewia po śmierci Augusta II, pojawił się był w Polce awanturnik nazwiskiem Ram-

ses, mianujący się wysłańcem „Wielkiego Wschodu Anglii“ — łoży wolnomularskiej, której filie niedawno przedtem we Francyi założonemi zostały.

Snując się po rozmaitych województwach pod zmienionemi nazwiskami, to hr. Ragoczy, to znów hr. Baltazzani, awanturnik ów usiłował zjednać sobie między szlachtą zwolenników do zakładania łoż masonskich, na wzór tych, jakie na dworze Augusta II, już pod koniec panowania tego króla, utworzono.

Jeszcze podówczas nie istniała bula papieża Klemensa II „*In eminenti Apostolatus specula*“ dopiero w r. 1738 wydana, potępiająca wszelkie tajne towarzystwa masonskie, i dlatego Ramses mógł z zupełną swobodą pełnić tajemniczą misję oszałamiania umysłów praktykami podejrzanej pobożności i frazesami, których znaczenia niepodobna było prostaczkom przeniknąć.

Szeptano sobie wprawdzie po cichu, że tajemniczy hrabia cudzoziemski o dziwnem nazwisku egipskiem, jestto zwykły awanturnik, nazwiskiem Winiarski, który, ukończywszy studia w Krakowie, szastał się przez długie lata na obczyźnie i praktykował sztukę kuglarską, wyłudzając za to po dworach i dworach pieniądze; z tem wszystkiem, ślepe zaufanie niedoświadczonych do wyroczeni i urywanych zdań tajemniczego gościa — zdwajały tylko zamęt w umysłach i pozwalały Ramsesowi zakreślać coraz szersze koła zwolenników masonskiej sztuki.

Przedstawiał się on oczom wierzących w charakterze przywódcy ligi przeciw nieprzyjaciołom religii, jako apostoł zasad prawdziwej pobożności mię-

dzy niedowiarkami. Ustanowiwszy przybocznych ministrów, wciągał nowych zwolenników w zasadzkę, narzucając im przysięgę, iż o przystąpieniu do związku wiernych, nawet przy spowiedzi dousznej nie dadzą wiadomości. Każdy z nowoprzybyłych prozelitów obowiązany był przybrać pod swoją komendę dwóch nowych członków, na tychże samych warunkach, a każdy z tych ostatnich miał działać w ten sam sposób, wskutek czego, armia Ramsesa ciągle się zwiększała, formując oddziały z pułkownikami na czele, z hasłami i symbolami, na wzór dzisiejszej „armii zbawienia“.

Głównem ogniskiem działalności Ramsesa były miasta: Warszawa, Kraków i Lublin, gdzie zastępy głów gorących kupiły się około mniemanego mistrza, zwabione tajemniczością jego nazwiska i postaci, ukrywanej pod ubiorami mnichów, żołnierzy i wróżbitów.

II.

W Warszawie awanturnik Ramses przedstawił się w charakterze gorącego zwolennika praktyk pobożnych i ciągle przesiadywał w kościele karmelitów, gdzie go widywano pogrążonego w cichej zadumie, lub zatopionego w książce do nabożeństwa.

Razu pewnego jednak, ktoś, zajrzawszy przez ramię klęczącego Ramsesa, spostrzegł, że zamiast modlitewnika, w rękach jego była książka: „*Alberius Magnus: de secretis.*“ Zdumienie adepta było tak wielkie, że nie śmiał otwarcie zedrzeć maski z oblicza hypokryty, lecz, udzieliwszy tej wiadomości innym prozelitom, postanowił dalej śledzić postęпки mistrza o czem, gdy, ten ostatni się dowiedział, uznał za właściwe opuścić, przybrany za chłopą, mury Warszawy.

Błąkając się po rozmaitych dworach, zawiązał Ramses niebawem stosunek z wdową Denhoffową, urodzoną Karską, której brat był marszałkiem dworu biskupa Jędrzeja Załuskiego, księcia siewierskiego, a następnie chorążym sochaczewskim. Wieści o „nie-

foremnych przyjaźniach“ awanturnika z damą głośnego nazwiska i rozległych w kraju stosunków doszły do uszu Karskiego, który, postanowiwszy pomścić niesławę swej rodziny, otoczył się zastępem szlachty, napadł znienacka na zasypiającego w kapuańskich rozkoszach awanturnika i dopuścił się na nim gwałtu okrutnego... ¹⁾.

Dźwigał się długo Ramses ze swego kalectwa i choroby, schroniwszy się do miasteczka Witów, w Piotrkowskiem. Ozdrowiał jednak i zebrał na nowo zastępy swoich adeptów. Wmówił w nich, że mocą posiadanej przez siebie sztuki uczyni ich nietykalnymi na wszystkie pociski, i że w walce, jaką przeciw Karskiemu podejmą, zwycięstwo po ich zostanie stronie. Jakoż, aby ich o tem przekonać, nabił w ich przytomności pistolet srebrnemi kulami i rozkazał jednemu z adeptów strzelić do siebie. Ze zdumieniem przekonali się obecni, że strzał najłżejszej nie wyrządził Ramsesowi szkody. I nic dziwnego, pistolet bowiem naładowany był żywym srebrem, które przy strzale rozprysło się w powietrzu. Taką napoiwszy ślepą wiarą zastęp adeptów, zabrał się Ramses do wykonania planu zemsty nad Karskim. Po długich wędrówkach i zasadzkach, udało mu się plan ów urzeczywistnić rychlej, aniżeli sam przewidywał. Osaczony w jednym z dworów, uległ Karski przemocy. Związanego sznurami i pokrwa-

¹⁾ „Temu zrobił, co sobie samże Orygines, a kanonik paryzki Fiulbert Abelardowi“. Załuski: „*Biblioteka*“, str. 33, (wyd. 1832 r.).

wionego jeńca włókł za sobą Winiarski, znęcając się nad bezwładnym i coraz dotkliwsze zadając mu udręczenia.

Doszła do dworu Augusta III wiadomość o nadużyciach Winiarskiego. Wysłano przeciw niemu zastęp wojska, z rozkazem ujęcia nietylko wodza, ale i jego pięćdziesięciu podkomendnych. Schronieniem bandy stały się gęste, lesiste okolice pod Kielcami. Tam podążyło za nią wojsko i osaczyło awanturnika w karczmie, lecz, mimo wszelkich wysiłków, oblężeni bronili się tak dzielnie, że dowódzca oblegających zmuszonym był odwołać się do pomocy kardynała Lipskiego, podówczas w Kielcach rezydującego, z prośbą o wysłanie warty biskupiej z działami, dla przypuszczenia ostatecznego sturmu do karczmy.

Ramses-Winiarski przeczuł, że się zbliża ostatnia jego godzina. Zachęciwszy po raz ostatni gorącą przemową swoich adeptów do rozpaczliwej walki, zamknął się sam ze skrepowanym Karskim w izbie karczemnej i tam, dopuściwszy się na nim podobnego, jakiego sam doznał, gwałtu, palnął z pistoletu do ofiary, lecz gdy życie z niej nie uchodziło, kamieniem rozbił głowę nieszczęśliwemu.

Po tym czynie okrucieństwa udało się Winiarskiemu umknąć z karczmy tyłami i podążyć do poblizkiego lasu. Jeden z dragonów kardynała Lipskiego, dostrzegłszy uciekającego, podążył za nim. Winiarski ukrył się w zbożu, lecz go tutaj przytrzymał nacierający i w szamotaniu się ze schwytanym, szablą rozplatał mu głowę i dobil.

Tymczasem i karczma została zdobytą. Wylapano i powiązano sznurami uczestników bandy. Nie chcieli oni wierzyć wieści o zgonie dowódcy; dopiero, gdy im okazano okaleczonego trupa, z pokorą ulegli losowi. Zwołano sąd doraźny nad schwytanymi w grodzie sandomierskim i ukarano główniejszych przywódców na gardle, innych zaś, poddawszy infamii, skazano na długoletnie więzienie; mniej winnych, wciągniętych do związku pobudkami religijnymi, uwolniono.

Na trupie Winiarskiego znaleziono nieznany jakiś order, w kształcie jakiejś gwiazdy złotej, emaliowanej, o sześciu promieniach, z dziwaczniemi napisami, jak również wstęgę niebieską, z wyobrażeniem haftowanego lwa śpiącego. Te emblamaty umieścił autor broszury augsburskiej z r. 1742 pod tytułem: „*Le mal épidémique de francs maçons*“ w dokładnem wykonaniu tamecznego sztycharza. Oprócz tego znaleziono w papierach Winiarskiego dziwaczne jakieś projekty i pamiętniki, spisane w rozmaitych językach, z hieroglifami, znaczenia których wyrozumieć nie zdołano. Z czytelnych ustępów memoriału awanturnika dowiedziano się, że zawierają one ustępy o środkach wywrotowych, jakieby należało w rozmaitych państwach stosować; odezwy, głoszące potrzebę wolności, równowagi i odwagi, a między innemi odcyfrowano jakieś prawo drakońskie, wymierzone przeciw wszystkim, którzy władzy mistrza poddać się nie chcieli; czułe apostrofy do towarzyszek mistrza, Augusty, wreszcie spis osób, skazanych przez awanturnika na śmierć. Figurowały w tym spisie

nazwiska: hrabiego Tarły, wojewody sandomirskiego który go najbardziej prześladował; Józefa Załuskiego, starosty rawskiego, męża głośniejszego swego czasu oratorki polskiej, i wielu innych.

Wszystkie te pisma awanturnika Winiarskiego wydanemi zostały następnie drukiem, lecz ślad tego rzadkiego skryptu zaginął i, jak wzmiankuje autor biblioteki: „*il est introuvable*“.

Związki masonskie w Polsce, skutkiem bulli papieża Klemensa XII, na czas pewien ustały, lecz, jak podaje ks. Stanisław Załęski w dziele swoim o „*Masonii w Polsce*“ (Kraków, 1889, str. 62), w roku 1742, Stanisław Mniszech, chorąży lit. wraz z Jędrzejem Mokronowskim i księciem Konstantym Jabłonowskim podjęli na nowo robotę tworzenia łóż wolnomularskich, przedewszystkiem w Wiśniowcu, na Wołyniu. W roku zaś 1744 francuzki mason Longchamp założył dwie loże francuzkie: jedną „Trzech braci“ w Warszawie, a drugą „Trzech bogiń“ we Lwowie.

SPIS RZECZY.

	Str.
Marek Reverdil	1
Obrazek Warszawy	127
Wspomnienia trybunalskie	181
Przygody Francuza Payen'a	293
Notatki Anglika Morisona	325
Maska Żelazna	345
Ramses Baltazzani	363



Dostrzeżone omyłki druku.

Str.	5. wiersz	14.	zamiast	<i>polepszenie</i>	czytać	<i>polepszeniu</i>
"	23.	"	18.	" <i>Tribustram</i>	"	<i>Tristram</i>
"	53.	"	5.	" <i>blondynka</i>	"	<i>blondynka</i>
"	124.	"	2.	" <i>opodlenia</i>	"	<i>upodlenia</i>
"	141.	"	9.	" <i>karkulavya</i>	"	<i>karkulacya</i>
"	170.	"	13.	" <i>tryczaka</i>	"	<i>tryszaka</i>
"	184.	"	22.	" <i>zdezelowane</i>	"	<i>zdezolowane</i>
"	202.	"	24.	" <i>naukewej</i>	"	<i>naukowej</i>
"	205.	"	9.	" <i>obezsilona</i>	"	<i>obezwładniona</i>
"	209.	"	13.	" <i>wyczerpała</i>	"	<i>wyczerpało</i>
"	210.	"	3.	" <i>Kuryerza</i>	"	<i>Kuryerze</i>
"	231.	"	3.	" <i>Dnmnik</i>	"	<i>Dominik</i>
"	241.	"	13.	" <i>nadchmurzone</i>	"	<i>przychmurzone</i>
"	264.	"	17.	" <i>zajęcie</i>	"	<i>zajęciu</i>
"	297.	"	14.	" <i>przejrzyjmy się</i>	"	<i>przyjrzyjmy się</i>
"	304.	"	28.	" <i>a'llions</i>	"	<i>allions</i>
"	349.	"	25.	" <i>podniesiono</i>	"	<i>poniesiono</i>
"	368.	"	14.	" <i>przybrany</i>	"	<i>przebrany</i>

Kraushar, Alexander,

Drobiazgi historyczne

Bd.: II

1892

Polon. 122 o-2

urn:nbn:de:bvb:12-bsb11885816-5